

**Kane Stacia**

*Megan Chase 03*

**Opętany demon**

**Demony namawiają ludzi do złego, to prawda. Ale to chyba nie fair oszukać demona – zwłaszcza (bardzo) osobistego?**

**Odkąd psychoterapeutka Megan Chase poznała Greysona, jej życie piekielnie się zmieniło. Teraz, rok później, wciąż przeżywa upojny romans z demonem i wciąż nie jest pewna, czy sama chce stać się demonem. Nagle wszystko komplikuje się jeszcze bardziej: FBI chce, by Megan zdradziła Greysona, ktoś nastaje na jej życie, a wokół krąży tajemniczy egzorcysta...**

**Czy Megan zdoła się wyplątać z tej diabelskiej sieci? I przełknąć gorzką pigułkę, gdy odkryje nieprzyjemną prawdę o swoim demonicznym kochanku...**

## Rozdział 1

Kobieta z uśmiechem poprawiła się na skórzanej kanapie koloru kości słoniowej.

- Dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć mnie w tak krótkim czasie, doktor Chase.

Megan skinęła głową i z wysiłkiem odwzajemniła uśmiech, jakby to była jej pacjentka.

Tymczasem jej gość - Elizabeth Reid - przyszła tu w innej sprawie. Elizabeth Reid była agentką FBI.

Jedenaście miesięcy wcześniej sam pomyślał, że agent federalny ma w ogóle powód, żeby z nią rozmawiać czy przesłuchiwać, wydałby się zaskakujący i tak zabawny, że Megan z pewnością rozlałaby drinka, gdyby akurat coś piła. Ale nie teraz. Niech to szlag. Zaskoczyło ją jedynie, że federalni postępują tym razem jawnie, że spotykają się z nią otwarcie.

- Oczywiście. - Splotła ręce na kolanach, ale uznała, że wygląda zbyt pruderyjnie, jakby miała coś do ukrycia, więc zmusiła się, by przybrać bardziej zrelaksowaną pozę; oparła ręce na poręczach fotela, skrzyżowała nogi w kostkach. Swobodnie. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Agentka Reid chyba nie dostrzegła problemu. Megan usiłowała ją czytać, najdyskretniej jak umiała; kobieta

zdawała się całkowicie skoncentrowana na swoim zadaniu i to wystarczyło, by Megan poczuła niezbędny przyływ siły.

- Nie zapytała mnie pani, dlaczego tu jestem, pani doktor.
- Przypuszczam, że sama mi pani powie. Kobieta się uśmiechnęła.
- Chyba tak. Zastanawialiśmy się, czy pani coś wie o hotelu Belleive.

Dobrze. Jeszcze przed chwilą w ogóle o tym nie myślała. Dobrze, że Megan ostatnio miała sporo okazji, by doskonalić zachowanie spokoju, nieokazywanie uczuć i emocji. Megan zawsze uważała, że jest w tym dobra, teraz uznała, że chyba właśnie obroniła doktorat w tej dziedzinie.

- Słyszałam o nim - odparła. - Nigdy tam nie byłam. Nie sądzę, żeby było mnie na to stać. A czemu pani pyta?

Agentka Reid uśmiechnęła się promiennie, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwała. Jak zresztą prawdopodobnie było. Wsunęła za ucho kosmyk kruczoczarnych włosów i pochyliła się do przodu. Jej czarny kostium odcinał się mroczną plamą od jasnej kanapy i ścian. Wszystko w tym gabinecie było jasne; taka próba przeciwwagi dla ponurego pokoju bez okien w niewielkim centrum handlowym.

Chociaż nie było znowu tak źle. Miała dość miejsca, okolica uchodziła za przyzwoitą, ale przecież nie o tym marzyła, decydując się otworzyć własny gabinet.

Ale i tak jest dobrze. Nie można przecież mieć wszystkiego, a w pozostałych dziedzinach życia naprawdę nie było powodów do narzekań.

- Cóż, skoro już pani zapytała... - powiedziała agentka Reid. - Otrzymaliśmy interesujące informacje. Zwłaszcza dla pani, ponieważ właśnie pani dotyczą.

- Domyślam się, skoro pani tu przyszła - mruknęła Megan. - Ale trudno mi sobie wyobrazić, jaki to ma związek ze mną.
- Z naszych informacji wynika, że w przyszłym tygodniu w Bellreive ma się odbyć spotkanie. Będą na nim obecne osoby, które... nas interesują.
- Obawiam się, że nic o tym nie wiem.
- Z pani grafiku wynika, że wzięła pani sobie wolne w przyszłym tygodniu...  
Megan wstała. Dość tego.
- W przyszłym tygodniu są moje urodziny. O czym pani zapewne wie. Tak, wzięłam sobie wolne. Mam do tego prawo, prawda?
- Więc potwierdza pani udział w spotkaniu? Megan wpatrywała się w nią bez słowa.
- Pani Chase, próbuję... Chcę pani coś zaproponować. Bezkarność. Całkowitą nietykalność. - Elizabeth sięgnęła do lśniącej czarnej teczki, leżącej u jej boku jak zwinięta żmija. - Gdyby zechciała pani przejrzeć te dokumenty... Wiemy, że nie ma pani z tym nic wspólnego, ale pani zeznania... Gdyby pani się zdecydowała...
- Bardzo przepraszam, ale zaraz przyjdzie umówiony pacjent. - Megan uchyliła się przed papierami i minęła Elizabeth, by otworzyć drzwi. - Dziękuję za poświęcony czas, ale nie mam pojęcia, o czym pani mówi.
- Może wie to Greyson Dante. - Elizabeth trwała w bezruchu, nie odrywając oczu od Megan. - Greyson Dante. Jest pani z nim związana, prawda? Proszę nie zaprzeczać. I tak wiemy.
- Dziękuję, że poświęciła mi pani czas - powtórzyła Megan. Uniosła brwi, rzuciła okiem na otwarte drzwi i puste pomieszczenie za nimi. Jej zdaniem umeblowanie gabinetu stanowiło jedną z jego głównych zalet; może nie jest to najwspanialsze miejsce pod słońcem, ale

pacjentom nie brakowało tu prywatności. Wychodzący wychodzili tymi właśnie drzwiami, podczas gdy kolejni pacjenci czekali w przytulnej poczekalni z gazetami i wodą. Nie widzieli się wzajemnie. Nigdy nie pomyślała, że to rozwiązanie tak bardzo jej się przyda. Co prawda, agentka Reid nie miała liter FBI wytatuowanych na czole, ale mimo wszystko... Gdyby nie oddzielne wyjście, Megan nie mogłaby tak stać w drzwiach, prawda? Nie teraz; pacjent umówiony na czternastą pewnie już czeka, a ten człowiek boi się nawet własnego cienia.

Elizabeth Reid w końcu dała za wygraną. Wstała powoli z westchnieniem i wsunęła dokumenty do teczki.

- Niech pani się zastanowi, doktor Chase. To tylko kwestia czasu. Pani? Osoba publiczna?

Megan myślała, że agentka zrezygnowała. Akurat. Czekwała na odpowiednią chwilę, by mocniej dokręcić śrubę.

Ale Megan potrafiła udawać gruboskórną. Puściła za-woalowaną groźbę mimo uszu, nie zareagowała na nią.

- Jak mówiłam, mam pacjenta...

- Oczywiście. - Agentka Reid wyjęła z kieszeni czarnego żakietu zwykłą białą wizytówkę. Niebieskie logo FBI lśniło na jasnym tle. - Ale proszę chociaż wziąć moją wizytówkę. I zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie. Albo jeśli przypadkiem znajdzie się pani w hotelu Bellreive w przyszłym tygodniu.

Megan wzięła wizytówkę. Nie ma sensu odmawiać współpracy. Czy raczej robić to bardziej ostentacyjnie niż do tej pory.

Sprawa jest bez znaczenia, taką przynajmniej miała nadzieję. Ale mimo to nie umiała zachować spokoju. Nadzieja, że to nic ważnego. Nadzieja, że agentka Reid i jej dziwaczna próba wyciągnięcia od Megan informacji

okaże się równie nieistotna jak kilka słów, które Megan zamieniła z kasjerką z warzywniaka. Owszem, to prawda, ale w tej chwili niewiele mogła na to poradzić... Zaklęła tylko cicho pod nosem, gdy agentka Reid w końcu zamknęła za sobą drzwi wyjściowe.

Tymczasem nieśmiałe skrobanie w drugie drzwi oznajmiło, że nie myliła się i pacjent z czternastej - Ted Anderson - już przyszedł. Nawet jeśli Megan nie sprawdzała godziny na zegarku, on to robił. Zawsze.

Nie, nie powinna być dla niego surowa. Wraz z nią odszedł z Serenity Partners poprzedniej zimy i ta lojalność wiele dla niej znaczyła. Owszem, wraz z nią przeszła do nowego gabinetu większość jej pacjentów, co wcale nie umniejszało wagi ich lojalności.

Drzwi otworzyły się z lekkim zgrzytem. Trzeba naoliwić zawiasy. Budynek, w którym mieścił się jej gabinet, nie był stary, ale najwyraźniej poprzedni najemca prowadził terapie rodzinne, w których trzaskanie drzwiami było na porządku dziennym.

Ted stanął w progu, jak to on, zgrabiony jak Syzyf pchający swoje zmartwienia na szczyt góry. Światło przeświecało przez jego rzadkie włosy, barwiło skórę głowy na różowo.

- Wejdz, Ted. - Megan się cofnęła.

Zazwyczaj niemal ją przewracał, energicznie wpadając do gabinetu. W sumie nic w tym dziwnego. Żona Teda ignorowała go, podobnie dzieci. Lata zaniedbania wycisnęły na nim piętno. Przykre. Ale Megan zawsze miała uczucie, że odnosi sukces, namawiając go, by działał, walczył w domu o swoje zdanie i częściej wychodził na świat. Dziś jednak nie ruszył się od progu.

- Doktor Chase, chciałem tylko... Właściwie chciałem tylko powiedzieć, że już nie będę przychodził. Uznałem, że powiem to pani osobiście.

A niech to szlag. Najpierw pojawia się u niej agentka FBI, wygłasza zawołane groźby i oferuje mętne umowy, a teraz to. Trudno się cieszyć z utraty pacjenta.

- O co chodzi, Ted? Co się dzieje? Wejź, porozmawiamy.

Zawahał się.

- Proszę. Uszanuję każdą twoją decyzję. Nie będę cię namawiała do zmiany zdania. Ale skoro chciałeś powiedzieć mi osobiście, sam pomyślałeś, że wyjaśnienie jest potrzebne, prawda?

Jeszcze czekał, wahał się, jak piłka golfowa na krawędzi dołka. W końcu skinął głową i przemknął za nią.

- Dobrze. - Opadła na fotel i przywołała na twarz wyrozumiały uśmiech. - Co się dzieje?

- Nie może mi pani pomóc - wymamrotał. Dopiero teraz w jego dłoniach zauważyła kartkę papieru; składał i rozkładał ją tak starannie, jakby niepoprawne wykonywanie ruchów zaowocowało zniszczeniem wszechświata. - Pani... pani nie jest w stanie mi pomóc.

- Z tobą wszystko jest jak trzeba. Nie jesteś gorszy. Nie powinieneś czuć się...

- Zostałem opętany.

- Nieprawda - rzuciła bez zastanowienia. Świetnie, po prostu świetnie. Opętany? Do cholery, skąd mu to przyszło do głowy?

Zwłaszcza że to nieprawda. Ani trochę. Nadal mogła go czytać, co byłoby niemożliwe, gdy coś go opętało.

Sporunował ją wzrokiem, co zdziwiło ją niemal tak samo, jak poprzednie słowa.

- Mówił, że tak pani zareaguje.

- Kto?

- Wielebny Walther. Wiedział, że tak pani powie. Tacy jak pani za wszelką cenę chcą mieć nas na smyczy i dalej wyciągać od nas pieniądze.

- Skąd do cholery...

- Przychodziłem do pani tyle lat, myśląc, że cos jest ze mną nie tak. A to nie moja wina. To demon.

- Ted. Nie opętały cię demony. - To akurat wiedziała na pewno. Prawdopodobnie jako jedyny człowiek nt świecie mogła tak zdecydowanie orzec, że jego problemy nie mają nic wspólnego z demonami. A najwyżej niewiele. Ted miał tylko dwa demony osobiste, dwa małe Yezer Ha-Ra, które były w miarę zadowolone z tej sytuacji.

W każdym razie teraz. Odkąd Megan stanęła na czele lokalnego klanu Yezer, zdarzyło się parę trudnych chwil. W pewnym momencie niemal straciła wszystkie demony. I własne życie.

Ale od tamtych wydarzeń minęło kilka miesięcy. Teraz jej stosunki z Yezer osiągnęły poziom równowagi; co prawda demony nie rozkwitały na ludzkim nieszczęściu, ale też nie głodowały.

W tej chwili jednak nic z tego nie miało znaczenia. Nie wierzyła, by Ted mówił o Yezer, zwłaszcza że demony osobiste nikogo nie opętują, tylko siadają na ludzkich ramionach i podsuwają różne pomysły... może nie zawsze złe, ale też nigdy dobre. Namawiają do egoizmu. Głupoty. Okrucieństwa. Wszystko w zależności od charakteru danej osoby.

- Nie oczekuję, że pani mi uwierzy. Ale cała ta terapia, psychologia... To, co pani robi... nie pomoże. Demony sprowadzają na ludzi nieszczęścia, demony każą nam postępować źle i wielebny Walther może mi pomóc. Więc nie wrócę do pani. Chciałem to po prostu powiedzieć.

Ups. Nawet nie miał pojęcia, jak bliski był prawdy, mówiąc, że demony namawiają ludzi do złego... Opętanie... Walther... Brzmiało znajomo. Chyba o nim słyszała. Albo widziała w telewizji. Choć niewiele mogła sobie przypomnieć, jednego była pewna.



- Masz na myśli egzorcyzmy? Ted skinął głową.

Cholera.

- Ted, proszę. Stanowczo ci to odradzam. Wiesz, że to może się okazać niebezpieczne?

Ted wstał. Megan mogła powiedzieć tylko jedno - kimkolwiek jest wielebny Walther, dał Tedowi więcej siły, niż kiedykolwiek u niego widziała.

Oczywiście, ta siła opierała się na fałszu i obietnicy szybkiego uzdrowienia, bliżej jej zatem do zapału fanatyka niż rzeczywistej mocy. Ale czemu spierać się o szczegóły? I tak nic nie mogła na to poradzić.

- Niebezpieczeństwem byłoby żyć jak do tej pory - odparł. - Pozwolić, by demon rósł w siłę i opętał mnie coraz bardziej. O nie, doktor Chase, wielkie dzięki. Wiem, że istnieje rozwiązanie moich problemów, ale to wymaga wiary. I ja tę wiarę otrzymałem.

- Musisz uwierzyć w siebie, Ted. Nie potrzebujesz egzorcyzmów, tylko...

- Dziękuję, doktor Chase, ale muszę już iść. Lily czeka na mnie w samochodzie, zaraz jedziemy do wielebnego. - Wstał i podał jej rękę.

Uścisnęła ją, opuściła bariery i przyjęła wizję: żona Teda, Lily, przekonująca go, że egzorcyzmy stanowią rozwiązanie jego problemów. Dlaczego Ted nigdy nie powiedział, jak bardzo religijna stała się Lily w ciągu minionych sześciu miesięcy? Spowita cieniem twarz mężczyzny - wielebnego Walthera, jak się domyślała. Twarz, której instynktownie nie lubiła, nie wiedziała jednak, czy dlatego, że według niej, jest szarlatanem, bo okłamał jednego z jej pacjentów, czy z jakiegoś innego powodu. Ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Był dopiero kwadrans po drugiej. W ten piękny lipcowy dzień chciała jedynie wrócić do domu i wejść pod kołdrę.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy, zawsze możesz do mnie zadzwonić. -

Uśmiechnęła się. -Nadal tu będę.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział.

Stali tak niezręcznie przez chwilę, niepewni, czy dalej ścisnąć sobie ręce, czy już puścić. To było jak powitanie z dawno niewidzianym krewnym, za którym nigdy się nie przepadało. Zapomnieć, że wtedy zamknął mnie w piwnicy i pocałował serdecznie? A może potraktować jak nieznajomego? Właściwie ile znaczą więzy krwi?

W tym wypadku niewiele, a raczej nic. Ted puścił jej dłoń, skinął głową i wyszedł tylnymi drzwiami, a Megan została. Miała pełne czterdzieści minut i mnóstwo spraw do przemyślenia. Między innymi FBI.

## Rozdział 1

W pierwszym odruchu chciała sięgnąć po telefon, ale wstrzymała się, nim zdążyła zacisnąć palce na słuchawce, i odsunęła się do tyłu razem z krzesłem. Zresztą Greyson i tak był dzisiaj nieosiągalny.

Miał spotkania przez cały dzień.

Z pewnością odpowiedziałby, gdyby zadzwoniła albo wysłała wiadomość, że to coś poważnego. Ale to wcale nie jest poważne. Fakt, że ma się fatalny dzień - albo że dobry dzień ni z tego, ni z owego zmienił się w koszmar - to jeszcze nic takiego. Podobnie jak wizyta agentki FBI, mimo że propozycja współpracy stanowiła nowość.

Co do Bellreive... Cóż, to może się okazać ważne. Bardzo ważne. Wbrew temu, co powiedziała agentce Reid,

rzeczywiście w przyszłym tygodniu odbędzie się tam spotkanie z udziałem Megan.

Nie miała innego wyjścia. To spotkanie wszystkich Gretneg, a zatem jej obecność była wymagana. W świecie demonów Meegra przejęcie rodziny Yezer Ha-Ra to coś więcej niż tylko nowa i dość niezręczna sytuacja dla niej jako dla terapeutki. Musiała na przykład nauczyć się współpracy z innymi Gretneg, znaleźć sposób na zachowanie równowagi między przyjaznymi stosunkami a odruchem, by trzymać się jak najdalej od ich... czasami nader interesujących zajęć.

W stosunkach z demonami Megan najbardziej nie odpowiadała sama istota ich istnienia - dokuczanie ludziom, zwodzenie ich i robienie na tym fortuny. Meegra były jak mafia, tyle że pozbywanie się zwłok sprawiało im znacznie mniej kłopotu - demon ognia zmieniał ciało w popiół szybciej, niż ona smażyła stek.

Chociaż to chyba nie najlepsze porównanie, zważywszy, że wieczorem wybierała się na steki z osobistym demonem ognia.

Powiedzmy, że swoim osobistym.

Im mniej się nad tym zastanawia, tym lepiej.

Oparła ręce na biurku i ukryła twarz w dłoniach. Został jeszcze tylko jeden pacjent - w ten czwartek zamykała gabinet wcześniej, piątek wzięła wolny, podobnie jak cały przyszły tydzień, choć jej urodziny były raczej pretekstem niż rzeczywistym powodem. Tak naprawdę chodziło o spotkanie, które teraz stało pod znakiem zapytania. Chociaż kogo właściwie chciała oszukać? Nie odwołają go, a już na pewno nie zmienią lokalizacji. Bellreive to najdroższy, najbardziej luksusowy hotel w mieście i każdy Gretneg prędzej własnoręcznie odciąłby sobie głowę, niż zatrzymał się w gorszym, tańszym.

Jej zdaniem to idiotyzm przeprowadzać się na tydzień do hotelu, skoro każdy z nich miał w okolicy piękny dom. To znaczy, ona miała dom. Wszyscy Gretneg posiadali rezydencje.

Ale ustalenie, kto kiedy ma kogo gościć, ilu trzeba asystentów i służby, okazało się tak stresujące, że postanowiono pójść na kompromis, jakim właśnie okazał się Bellreive. Każdy mógł sam sobie zarezerwować taki apartament, jaki mu odpowiadał, i sam wszystko ustalić. Zorganizowanie spotkania zajęło prawie dwa miesiące. Co zrobią, gdyby teraz zrezygnowali z Bellreive?

A może odwołają całe to cholerne spotkanie? Nie miałyby nic przeciwko. Rzecz nie w tym, że miała tam dużo do roboty, jako że odmawiała brania udziału w finansowych operacjach innych Meegra.

Szczerze mówiąc, wolałyby, żeby odwołano zjazd. Wiedziała, że jednym z tematów rozważań będzie rytuał Haiken Kra i dywagacje, dlaczego dotąd go nie wykonała.

Wszyscy tego chcieli. Pragnęli, żeby pozwoliła, by koło jej serca rozrósł się kawałek demona. Chcieli, by dzięki magii stała się demonem, a w każdym razie bardziej demonem niż człowiekiem. By demoniczna część przejęła kontrolę.

Nie chciała tego. W grudniu było blisko, gdy musiała pozwolić, by demon i część, która łączyła ją z Yezer, nabrały sił. Wtedy sądziła nawet, że właśnie to był rytuał Haiken Kra i że decyzję podjęto poza nią, ale nie. Tamte wydarzenia wzmocniły demona, ukształtowały jego moc, ale nie dokonały transformacji.

Natomiast zdefiniowały ją jako demona duszy. Demona o mocy psychicznej, nie fizycznej. Dzięki temu jej dar przybrał na intensywności, ale nic więcej.

Idealnie, jeśli chodzi o nią, ale pozostali Gretneg nie podzielali jej zdania. Nie pojmowała, czemu tak im

zależało, by odprawiła rytuał. Odpowiadał jej obecny stan rzeczy.

- Nie wydajesz się zbyt szczęśliwa.

Uniosła głowę z wysiłkiem, jakby ręcznie podnosiła most zwodzony. Świetnie. Akurat tego jej brakowało w chwili przygnębienia.

- Cześć, Roc.

- Wydawało mi się, że Ted miał dzisiaj wizytę. -Oczy małego demona na chwilę spochmurniały, przypominały mroczne kamyki w jego czarnozielonej twarzy. Rocturnus, jej asystent i zarazem, z braku lepszego określenia, jej osobisty demon, bardzo lubił Teda. A raczej jego problemy. Według niego znaczyło to dokładnie to samo.

- Ted już więcej nie przyjdzie.

- Och. - Kolejny błysk w oczach. Tym razem ze względu na nią, nie na Teda.

- Nie rób tego, proszę. Nie, kiedy patrzysz mi prosto w oczy. Drażni mnie to.

Roc wzruszył ramionami.

- Mamy umowę. Pomagam ci, a w zamian mogę się tobą żywić. Twoje zmartwienia to mój pokarm.

Myślałem, że już się przyzwyczaiłaś.

- Myślisz tak, bo nie ma w tobie za grosz współczucia. Mówię poważnie, Roc. Jeśli już musisz, czerp energię z moich zmartwień, ale czy musisz to robić na moich oczach? To okropne.

- Przecież i tak to czujesz, więc co za różnica? Podświadomie mocniej objęła się ramionami, i zaraz przestał, ledwie uświadomiła sobie, co robi. Owszem, teraz to czuła. Wcześniej nie, teraz tak. Czyżby kolejna wątpliwa korzyść jej... demoniczności? Nieważne.

- Po prostu wolałabym, żebyś tak bardzo nie rozkoszował się moimi problemami.

- Bez przesady, w końcu ostatnio nie masz ich aż tylu. Korzystam z okazji.  
- Specjalnie dla ciebie obejrzałam wczoraj *Listę Schindlera* I płakałam, czego nie znoszę. Tylko dlatego, że narzekałeś, że ci słabo.

- O tak, to było dobre. Może dziś wieczorem powtórzymy?

Był niepoprawny. Nieprawda; była wobec niego nie fair. Roc jest tym, kim jest, podobnie jak ona, w pewnym sensie. Kiedy na niego patrzyła, poczuła w sercu ciepło. Sympatię?

Zmarszczył brwi.

- Grasz nieczysto. Wiesz, że to mi na nic.

- Świetnie, pomyślę o Tedzie, jeśli obiecasz, że nie będziesz na mnie patrzył. Wpadł w szpony jednego z egzorcystów. Tych uzdrawiających wiarą.

Roc zachichotał.

- Naprawdę?

- To nie jest zabawne, coś może mu się stać. Naprawdę wierzy, że opętał go demon, kradnąc jego energię czy coś takiego. Czytałam go i wydawało mi się, iż wierzy, że ten demon go deprymuje.

Pomarszczona twarz Roca wykrzywiła się jeszcze bardziej w powstrzymanym śmiechu.

- Zdajesz sobie sprawę, że...

- Tak, ale nie w taki sposób, jak wy to robicie. On myśli, że demon jest w nim, że panuje nad nim.

Myśli, że nie ma wyboru.

Roc w końcu przestał się śmiać.

- Ależ wybór to najważniejsza część. Jeśli nie ma wyboru, nie ma zwycięstwa, a jeśli nie ma zwycięstwa, to jest jak ciasteczko bez lukru.

Nie na takie podejście liczyła, ale przynajmniej rozumiał. Przeważnie.

- No właśnie. Widziałam tych egzorcystów w telewizji. To może być naprawdę niebezpieczne, że już nie wspomnę o możliwości spowodowania urazu psychicznego. Niektórzy z nich wiążą pacjentów, głodzą ich albo godzinami poją... O ile pamiętam, doszło nawet do wypadków śmiertelnych. Była tego niemal pewna. Czy przypomni sobie coś jeszcze? Może właśnie dlatego zrobili ów reportaż?

Później sprawdzi to w Google. Myśl o człowieku związanym i głodzonym skojarzyła się jej z przesłuchaniem, a to z kolei - z FBI. Co wcale jej nie uszczęśliwiło i zaowocowało lekkim drżeniem kręgosłupa, zdradzającym, że Roc wie, cieszy się i rozkoszuje przekąską. Fuj. Im mniej o tym myśli, tym lepiej.

Obecność Roca przypominała objadanie się fast foodem na obiad. Wszystko jest w porządku, dopóki sobie nie uświadomisz, co wyprawiasz. A wtedy ma się ochotę wyszorować wnętrzności ługiem.

Równie nieprzyjemna perspektywa.

- Co jeszcze chodzi ci po głowie?

- Była tu agentka FBI. Tuż przed Tedem. Wypytywała o spotkanie w przyszłym tygodniu.

- Agentka FBI? Naprawdę? Miała dużą błyszczącą odznakę, jak ostatnio? Widziałaś jej broń? Czy...

- Tak... nie. - Agentka Reid na pewno miała broń, ale Megan jej nie widziała. Nie patrzyła. Celowo. - Zresztą nie w tym rzecz. Problem w tym, że wie o spotkaniu. FBI wie o spotkaniu.

Roc przechylił głowę na bok. Jedno ucho, cienkie i suche jak papier, poruszyło się lekko w podmuchu powietrza z przewodu wentylacyjnego; teraz, gdy nadeszła fala letnich upałów, klimatyzacja wyrabiała nadgodziny.

- A co powiedział lord Dante?

- Jeszcze mu nie powiedziałam.

- Czemu?
- Jest cały dzień zajęty i nie chcę go martwić. To nic pilnego. Zresztą zobaczymy się za kilka godzin.
- Och, no tak. Od jutra masz wolne. Zapomniałem. Spakować cię?
- Nie, muszę się spakować na cały tydzień, zrobię to sama.
- Jak chcesz. Erica dzisiaj przyjdzie?
- Tak, za pół godziny.

- Poczekam. I tak chciałem się porozumieć z Altarus. Skinęła głową. Altarus był jednym z demonów Eriki,

którego Roc darzył szczególną sympatią. Megan odnosiła wrażenie, że Altarus jest rodzaju żeńskiego, ale szczerze mówiąc, wolała nie zagłębiać się zbytnio w rozważania o reprodukcji demonów osobistych. Wystarczy, że to robią, a kiedy już do tego dojdzie, musi im gratulować. Technika to nie jej sprawa, co bardzo ją cieszyło.

Oczywiście, być może wcale nie z tego powodu Roc chciał się spotkać z Altarus. Często przestrzegają narzuconych przez nią zasad, a jednocześnie nie przymierają głodem. O ile można mówić o głodzie - to nieodpowiednie słowo. Ale, jej zdaniem, „żywienie” brzmiało jeszcze gorzej, zwłaszcza w odniesieniu do pacjentów.

Telefon komórkowy rozdzwonił się, wrywając ją z ponurej wędrówki wąskim korytarzem myśli. Przez dobrą minutę szukała go. Zanim znalazła komórkę, uderzyła czołem o kant biurka.

- Halo?

- O, cześć, Megan. Myślałem, że będę musiał się nagrać.

Poczuła się lepiej. Trochę.

- Cześć, Brianie. Pacjent odwołał wizytę. Co się dzieje? Cisza. Hm, to prawdopodobnie nie wróży najlepiej.

Brian Stone był dziennikarzem śledczym w największym



miejskim dzienniku, a także jej przyjacielem. I człowiekiem, który bardzo starannie dobiera słowa, zwłaszcza gdy ma do przekazania złe nowiny.

- Brianie?

- Przepraszam. Prawdę mówiąc, nie chciałbym rozmawiać przez telefon. Może spotkamy się później? O cholera, na pewno coś jest nie tak. Domyślała się, że on to wie. Brian miał wielu informatorów i kumpli w policji; co więcej, od dziewięciu miesięcy był związany z policjantką.

- Kończę o czwartej. Możesz być u mnie koło wpół do piątej?

- Greyson będzie? Westchnęła.

- A to ma znaczenie?

- Cóż... zazwyczaj nie. Ale tym razem tak. Kłamstwo. To zawsze miało znaczenie. Machnęła ręką.

- Nie, nie będzie go.

- Dobrze. Więc do zobaczenia koło wpół do piątej.

Rozłączyli się, ale jeszcze chwilę wpatrywała się w telefon. Złe wieści od Briana. To znaczy przypuszczała, że są złe; może jest inaczej, ale czy w takim wypadku byłby w rozmowie tak cholernie ostrożny? Ludzie zazwyczaj nie mają problemów, by przez telefon przekazywać dobre informacje, takie jak na przykład zdobycie Nagrody Pulitzera. A już na pewno nie upewniali się, że rozmówca będzie sam, gdy pojawią się, by im to obwieścić. Do cholery, gdyby Brian dostał Nagrodę Pulitzera, chciałby, żeby Greyson przy tym był, chciałby się z nim trochę podrażnić.

Bzdury. To nie tak, że oni się nienawidzą. Po prostu za sobą nie przepadają. Głuptasy.

Ale jeśli Brian chciał jej powiedzieć o agentce FBI albo o prowadzonym dochodzeniu... To mógłby być problem.

Szybko rozwiązała kwestię poprzednich kontaktów z FBI i powiedziała Greysonowi, a Greyson wysłał kogoś - nie wiedziała, kogo i nie chciała tego wiedzieć -na rozmowę z agentem. Co prawdopodobnie oznaczało hipnozę albo inny przebiegły psychologiczny podstęp. Niewykluczone też, że doszło do wręczenia łapówki, nie było natomiast mowy, o ile jej wiadomo, o rozlewie krwi. Tylko że z tego, co wiedziała, poprzednie kontakty z FBI zarówno jej, jak i pozostałych Gretneg, sprowadzały się do jednego czy dwóch agentów, którzy kierowali się instynktem, niejasną informacją lub czymś w tym rodzaju. Łatwo ukreć sprawę łeb, gdy wplątanych jest w nią tylko kilka osób. Ale jeśli sprawa stała się tak duża, że Brian o niej usłyszał, rzecz się komplikuje.

Nie można też zapomnieć, że Brian, podobnie jak Megan, miał zdolności parapsychiczne, co oznacza, że niełatwo go zahipnotyzować. Brian nie zapomni o prowadzonym dochodzeniu. I nie podobały mu się jej związki ze światem demonów.

Brian był rozsądny. Brian potrafił być obiektywny. Zatem powinien rozumieć, że najmniejsza oznaka nieprawidłowości mogła zniszczyć jej karierę. Musiała chronić swój wizerunek publiczny; co tydzień prowadziła audycję radiową. Nie przepadała za tym, ale to stanowiło źródło regularnych dochodów, a raczej dochody z radia pozwalały różnicować stawki dla pacjentów, tak że zamiast ustalonej z góry kwoty płacili tyle, ile mogli, w zależności od swoich zarobków. Bardzo jej się to podobało. Poza tym audycja pozwalała przynajmniej trochę pomóc ludziom, którzy potrzebowali terapii, a nie mieli na nią szans w innej formie.

Wszystko to legnie w gruzach, gdy do opinii publicznej dotrze, że jest związana z kryminalistą.

Najrozsądniej byłoby zakończyć ten związek. Naj-rozsądniej byłoby skończyć go, zanim w ogóle się zaczął, na samym początku. Wtedy, gdy po raz pierwszy do niej dotarło, w co się pakuje, kiedy zdała sobie sprawę, że to nie tylko przelotna znajomość ze wspaniałym seksem, ale że... angażuje się emocjonalnie. Te głupie uczucia są w stanie zniszczyć wszystko, na co tak ciężko pracowała. Tyle, jeśli chodzi o rozsądek.

### Rozdział 3

Brian wiercił się w fotelu.

- Więc uznałem, że powinnaś wiedzieć.

- Dzięki. - Cholera. Cholera, cholera, cholera. I jeszcze raz cholera. Tak, Brianowi chodziło o śledztwo FBI, ale to nie wszystko. Brianowi chodziło o to, że tym razem FBI ukradkiem zbiera informacje, korzystając z pomocy miejscowych stróżów prawa.

Między innymi agenci skontaktowali się z dziewczyną Briana, sierżant Julie Richards.

- Megan, naprawdę mi przykro.

- Tak. Wiem. - Zdobyła się na uśmiech, co sprawiło, że prawie znikł mars z jego czoła. Brian wyglądał na zmęczonego; cienie czały się pod niebieskimi oczami, na szyi sterczały kępki jasnokasztanowych włosów. Przydałaby się wizyta u fryzjera.

- Brianie, Julie nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, że mi to mówisz, prawda?

- Fakt.

- Więc czemu to robisz? Jeżeli mogę zapytać...

Wzruszył ramionami. Odwrócił wzrok.

- Jestem twoim przyjacielem. Zresztą zdajesz sobie sprawę, że wcale nie chodzi o ciebie. Przecież nikt nie sądzi, że...

- Tak. Wiem - powiedziała trochę za ostro. Dlaczego tak bardzo przeszkadza jej myśl, że wszyscy uważają ją za niewinną ofiarę sytuacji?

Zwłaszcza że to prawda. Nie miała pojęcia, o jakie przestępstwa chodzi. Nie miała pojęcia, jakie zbrodnie popełniono, nie licząc drobnych wykroczeń, jak istnienie kasyna.

Ale nie brała w nich udziału. Nie była burdelmama. Śmieszny pomysł. Miała na to za mały biust. Poza tym wątpiła, by wiele z takich pań miało doktorat, choć nie wykluczała takiej możliwości.

Może właśnie w tym rzecz. Wszyscy zakładają, że Megan nie ma pojęcia, z kim sypia, kim naprawdę jest Greyson. Dlatego z politowaniem głaszczą ją po głowie i tłumaczą, że jest małym głuptaskiem, idiotką, która nabrała się na piękną twarz, drogi samochód - choć to akurat nieprawda, jaguar Greysona nie był wcale taki bajerancki - i drogie prezenty.

Wiedziała, kim jest. Nigdy nie miała co do niego żadnych złudzeń.

Ale wiedziała też, kim sama się stała. Póldemonem. Stoi na czele klanu demonów osobistych, które niosą rozpacz i nieszczęście - a w każdym razie próbują. Innymi słowy, nikt nie jest doskonały. Ale z Greysonem tak właśnie się czuła.

- Słuchaj, ja nie chcę... - zaczął Brian.

- Przepraszam, nie powinnam była na ciebie warczeć - przerwała. - To wszystko wyprowadziło mnie z równowagi.

- Zrozumiałe.

- Tak, ale to nie znaczy, że mogę się na tobie wyżywać, zwłaszcza nie wtedy, gdy usiłujesz mi pomóc. Po prostu cały dzień jest do bani... A propos. Co wiesz o egzorcystach?

Brian uniósł brwi.

- Wiesz, jeśli chcesz się rozstać z Greysonem, istnieją chyba mniej dramatyczne sposoby?

- Ha, ha, ha. Nie, naprawdę. Czy raczej - nie naprawdę.

- Och, jasne, teraz już rozumiem.

Śmiech dobrze jej zrobił, a jeszcze lepiej świadomość, że go z kimś dzieli. To nie tak, że w jej życiu brakowało radości, po prostu miała za sobą naprawdę kiepski dzień.

- Jeden z moich pacjentów uważa, że jest opętany. Najwyraźniej poznał jednego z kaznodziejów uzdrawiających wiarą. Wiesz, o co mi chodzi?

- Och. Egzorcyzmy. Nie katolickie.

- Nie. Przepraszam, powinnam była od razu to powiedzieć. - W rzeczywistości na moment zapomniała, że Brian jest katolikiem, regularnie uczestniczy we mszy i w ogóle. Oczywiście wyobraził sobie modły, pokutę i tak dalej.

Brian pochylił się, wziął niemal pustą puszkę po coli i przekręcił w dłoniach. Megan bez słowa wstała, rozsunęła drzwi na taras i podała mu ciężką szklaną popielniczkę, którą chowała w barku z alkoholem. Zamrugnął powiekami.

- Och. Nie, nie trzeba, a zresztą... co tam. Megan stłumiła śmiech i usiadła, gdy wyjął z kieszeni paczkę papierosów i tanią plastikową zapalniczkę. Brian twierdził, że nie pali. I rzeczywiście, nie palił - spędziła z nim wiele dni, podczas których nie zapalił ani razu. Ale żaden znany jej niepalący nie palił tyle, co on.

Ale nie rozwiewała jego złudzeń. Lepiej niż ktokolwiek wiedziała, jak to jest ukrywać pewne rzeczy przed samym sobą.

- Niewiele wiem - powiedział, zapaliwszy papierosa. - Katolicki egzorcyzm to stary rytuał. Istnieje niemal od początku kościoła. Ale jest... no cóż, rozumiesz, na pewno nie taki sam jak to, o co pytasz. Nie sądzę, żeby ci uzdrowiacze przejmowali się zdrowiem i bezpieczeństwem swoich... pacjentów.

- Ten na pewno nie.

- Pamiętam sprawę sprzed paru lat. Chyba ktoś zmarł właśnie wskutek źle przeprowadzonego pseudo-egzorcyzmu.

- Tak, też przypominam sobie coś takiego.

- Szukałaś w Google?

- Jeszcze nie. Skinał głowę.

- Sprawdź. Wiesz, jak facet się nazywa? Popytam, jeśli znajdę chwilę, sprawdzę w archiwum gazety.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Wstał, gotowy do wyjścia, ale złapała go za rękaw.

- Brianie, naprawdę doceniam, wiesz...

- Wiem. - Uśmiechnął się.

Nie pierwszy raz żałowała, że jej nie pociąga. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby... Nie, nieprawda. To znaczy, FBI nie zawracałoby jej głowy, ale Brian nie byłby zachwycony, gdyby w środku nocy zrywała się z łóżka, by rozwiązać problemy demonów. Brian nie szykowałby przekąski, która czekałaby po powrocie - Greyson zawsze zostawiał ser i krakersy albo grzanki i ciasteczka, cokolwiek było w zasięgu ręki. Coś lekkiego, co nie wymagało wysiłku, ale liczyła się sama myśl. Brian nie robiłby tego. Nie pojmowałby, co Megan robi i dlaczego. Nie stałby obok, gotów służyć radą, gdy tylko poprosi, i trzymać język za zębami, gdy - co zdarzało się często - załatwiała sprawy w sposób, z którym się nie zgadzał.

Więc nie. Związek z Brianem nie mógł się udać. Ale, jak zawsze, cieszyła się z ich przyjaźni. Właśnie. Zapomniałyby.

- Och. Chodź.

- Po co?

Poszedł za nią do niewielkiej kuchni i czekał, aż otworzy lodówkę i wyjmie plastikowy pojemnik.

- Masz. - Podała mu naczynie. - Wczoraj zrobiłam ciasto z masłem orzechowym. Czy raczej - dwa ciasta. Jego oczy zaśniły.

- Dla mnie?

- Tak, dla ciebie. Tylko później oddaj opakowanie.

- Oto dlaczego ci pomagam - powiedział. Otworzył pudełko i zajrzał do środka. - Fantastycznie pieczesz.

- Tyle, jeśli chodzi o etykę dziennikarską.

- Ejże, jestem taki sam jak inni. Można mnie kupić.

- Nie, ciebie nie można.

- To prawda, mnie nie można - przyznał z ustami pełnymi ciasta. - Ale kiedy pieczesz takie pyszności, pokusa rośnie.

- Tylko zostaw coś dla Julie - powiedziała, ignorując lekkie ukłucie, które poczuła przy wzmiance o dziewczynie Briana.

Dziewczynie Briana, obecnie pracującej przy śledztwie, które koniec końców mogło wysłać chłopaka Megan - z braku lepszego określenia - za kratki.

Nie wierzyła, by naprawdę miało do tego dojść, ale i tak nie chciała o tym myśleć.

Wolała skupić się na pakowaniu i przyszłym tygodniu. I na wielebnym Waltherze. Tak więc zamknęła drzwi za Brianem pałaszującym ciasto i poszła do sypialni.

Godzinę później nadal myślała o tym wszystkim. Zniosła bagaże do samochodu. Lipcowa noc była gorąca

i duszna; powietrze wydawało się nieruchome. Fala upałów nadeszła dziesięć dni temu, a końca nie było widać.

Zatrzasnęła bagażnik, odwróciła się w stronę domu i wydawało jej się, że krew zakrzepła jej w żyłach. Co prawda, sprawiało to pewną ulgę przy tak wysokiej temperaturze, ale przecież nie o to chodziło. Ktoś tu był. Nie ktoś. Demon. Poczowała drżenia wzdłuż kręgosłupa jak wtedy, gdy Roc się nią żywił. Ale to nie był Roc.

Więc kto? Kto w milczeniu wysyła sygnały? Smakuje ją, sprawdza?

Wzdłuż ulicy rósł rząd drzew. Samochody przycupnęły na podjazdach jak pluskwy. Tyle kryjówek; nagle uświadomiła sobie ich bliskość, widziała drogę i domy pełne ludzi zajętych własnym życiem, oglądaniem telewizji albo jedzeniem kolacji o zmierzchu. O tej porze roku ciemność zapada późno, ale choć słońce dopiero przed chwilą zaczęło zachodzić, na ulicy słały się już długie, mroczne cienie. Odruchowo opuściła bariery ochronne. Tak, dużo ludzi w domach; poczuła ich wszystkich, widziała, na co patrzyli, powódź informacji napłynęła łatwiej, niż powinna. Demon duszy - bo tym stała się istniejąca w niej cząstka demona - przyswajał sobie te informacje bez wahania, bez wysiłku. Ona także.

Ale żadna z tych osób nie przyprawiała jej o dreszcz. Było tam coś jeszcze, obserwowało ją, groza zawisa ciężko w nieruchomym powietrzu. Ocierała się o nią. To nie była zwykła wizyta. To, co czaiło się w ukryciu, chciało wyrządzić jej krzywdę. Było złe.

Jeden krok w stronę drzwi wyczerpał z niej resztki sił. Nie wszystkie demony są widoczne przez cały czas. Czy stoi tuż koło niej? Za nią? Odwróciła się, wsłuchana we własny głośny, chrapliwy oddech. Paliło ją w płucach. W gęstym, gorącym powietrzu zdawało się brakować tlenu. Duszyła się.



Miękkie światło zmierzchu oślepiło ją, spowijało wszystko szarością, którą zazwyczaj tak lubiła. Teraz miała wrażenie, że wszystko - jej dom, jej uliczkę - wszystko dokoła przysłoniły szare całuny. Chciała widzieć, a nie mogła. Pragnęła światła, ale słońce zniknęło za horyzontem. Była sama. Zaledwie dziesięć metrów od domu. To idiotyzm. Zebrała się na odwagę i, wpatrzona w blask światła z własnych okien, zrobiła kolejny krok.

Znowu przeszył ją dreszcz. Tym razem silniejszy. Jej pozorna nonszalancja tylko dodawała śmiałości prześladowcy, kimkolwiek - czymkolwiek - był. Zbliżał się.

Drzwi wejściowe stały otworem. Nie mogła po prostu wsiąść do samochodu i odjechać. Nawet gdyby zaraz posłała Malleusa, Maleficarum albo Spuda - ochroniarzy Greysona - żeby je zamknęli, będą otwarte na oścież co najmniej przez godzinę, a w tym czasie nieznany prześladowca będzie miał dostęp do jej domu. Do jej rzeczy. Do wszystkiego.

Hałas - cichy zgrzyt metalu o chodnik. Odwróciła się szybko. Nic. Krew pulsowała jej w skroniach, serce waliło jak młotem. To, co się tu kryło, musiało wiedzieć, że wyczuwa jego obecność. I milczało. Nie ujawniło się, choć przecież jej strach był wyczuwalny, namacalny. Obserwator wiedział, że się boi, i właśnie tego chciał.

Zdenerwowało ją to, i dobrze. Chce ją straszyć, czając się w zaroślach o zachodzie słońca? Olać to. Wyprostowała się, uniosła głowę. Ten prosty akt odwagi dodał jej sił.

Jeden krok w stronę domu. I następny. Powietrze wokół niej gęstniało, zaciskało się na jej skórze jak rozpalone żelazo. Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo. Słowo niesło się echem w jej głowie, wprawiało ciało w drżenie.

Japonki głośno uderzały w chodnik, informowały o każdym jej kroku. Starła się nie zwracać na to uwagi, podob-

nie jak ignorowała pot spływający po skroni i karku. Na nic. W odgłosie kroków, w biciu jej serca kryły się szepty i chichot, odgłosy jej prześladowcy, jego kroków, jego oddechu. Zatrzymała się i odwróciła jeszcze raz. Tym razem dostrzegła ruch. Naprawdę? A może z przerażenia wyobraźnia płata jej figle? Nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że lada chwila na jej barkach, na ustach zaciśnie się dłoń, lada chwila napastnik dopadnie ją i powali. W łydce eksplodował okropny, piekący ból. Potknęła się. Cholera, co to było? Nie czas się oglądać. Szła dalej, ale miała wrażenie, że brodzi wśród wodorostów, a w rękach i nogach poczuła nieprzyjemne odrętwienie. Drzwi przed nią zadrgały, przechylone pod dziwnym kątem. Dlaczego nie są proste? I znowu ostry ból w nodze. Otworzyła usta, próbowała krzyczeć, ale wydała z siebie jedynie dziwny, ściszony bulgot. Wpadła w panikę. Czowała, jak krew w jej żyłach krąży coraz szybciej. Czowała, że jej dłonie dotykają rozpalonego chodnika. Upadła. Wilgotne od potu włosy oblepiały jej szyję i usta, coś zimnego boleśnie dotknęło nogi. Ostatnie, co zobaczyła, to rozbłysk przeraźliwie jasnego światła przed domem.

#### Rozdział 4

Dlaczego zawsze musi wymiotować?

W sytuacji stresowej jej przewrażliwiony żołądek jak zawsze reagował pierwszy i pozbywał się zawartości, gdzie popadnie.

Co gorsza, ostatnio zawsze robiła to publicznie. A najgorsze ze wszystkiego, że świadkiem był Greyson. Znowu.

- Przepraszam - wychrypiała.

Pot skapywał z jej włosów do muszli klozetowej, ale nie był to skutek gorąca. W każdym razie nie temperatury na zewnątrz, od której odgradzały ich ściany domu i kojący warkot klimatyzacji. Nie, płomień pochodził z wnętrza; płonęła, a jednocześnie dygotała z zimna, jej mięśnie drżały, miała wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie. Czemu nie? Żołądek już to zrobił. Byłaby zachwycona, że jest pusty, gdyby to miało choć odrobinę pomóc.

- Nie wygłupiaj się. - Greyson wytarł jej czoło wilgotną chusteczką; westchnęła z ogromną ulgą. - Jad *litobory* jest wyjątkowo trujący. Każdy by się pochorował. O ile w ogóle by przeżył.

- Jeśli to można nazwać przeżyciem - zaczęła, ale umilkła, widząc opuszczone kąciki jego ust. No tak. To poważna sprawa. I tak też do niej podejdzie, kiedy będzie w stanie. Teraz była zbyt obolała, by myśleć o czymkolwiek.

Dotknął chusteczką jej szyi.

- Spróbujesz przenieść się na łóżko? Odpowiedziała dopiero po kilku sekundach.

- Skinęłabym głową, ale boję się nią ruszać.

Jego cichy śmiech pocieszył Megan. Podobnie jak ciepło jego ciała, gdy delikatnie pomógł jej wstać. Żołądek drgnął ostrzegawczo, ale nie protestował. Greyson powoli zaprowadził ją do sypialni. Nogi się pod nią uginały.

- Może wezmę cię na rękę?

- Nie, dam sobie radę.

Z trudem zrobiła parę kroków i padła wyczerpana na łóżko z wdzięcznością. Pościel była lodowata. W całym pomieszczeniu nagle zrobiło się przeraźliwie zim-

no, jeszcze bardziej, niż gdyby w środku zimy wyszła na dwór w kostiumie kąpielowym.

- Zimno mi.

Cisza trwała kilka sekund, dość czasu, by zaczęła się zastanawiać, co on robi. A już po chwili poczuła na sobie jego nagą skórę i dymny zapach z nutą jego wody po goleniu. Och jakie to przyjemne - i ciepło, i zapach. Jako *pregonis*, demon ognia, miał zawsze podwyższoną temperaturę ciała. Stanowiło to element dodający mu zimną atrakcyjności i jeden z powodów, dla których w jej domu wiecznie panowała temperatura jak w chłodni. Odruchowo obniżała wskaźnik ciepła w domu mniej więcej pół godziny przed jego przyjściem, jednak teraz - nieważne, chora czy nie - niemal oczekiwała, że zobaczy sople lodu na nietkniętej szklance sprite'a, którą Malleus, ochroniarz Greysona, postawił przy łóżku.

Ale o ile podwyższona temperatura Greysona stanowiła latem wyzwanie, w tej chwili była mu za nią bardzo wdzięczna. Miała wrażenie, że jej skóra zaskwierczała pod jego dotykiem. Napięte mięśnie Megan rozluźniły się trochę.

Ale zaraz napięły się ponownie, gdy spod półprzy-mkniętych powiek zobaczyła drugiego z ochroniarzy Greysona i brata Malleusa - Maleficarum; szedł w jej stronę ze strzykawką w ręce. Z czubka igły coś strzyknęło złowieszczo.

- O, nie - zdecydowała. - Nie zrobisz mi zastrzyku.

- Tylko podskórny, pani. Nawet tego nie poczujesz, naprawdę. - Twarz Maleficarum nie przypominała niewiniątka; wyglądał jak seryjny morderca ukrywający za plecami odciętą głowę. Nie jego wina. Taki już był. Łysa głowa, rogi, potężne ciało, świdrujące spojrzenie. Dobrze, że był demonem strażniczym, bo taki wygląd stanowiłby problem w wielu innych zawodach; Megan na przykład

w żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić Maleficarum jako pediatry. Ani jego, ani żadnego z jego braci. Spud, trzeci z nich, zapewne patroluje ulicę przed domem.

- Nie chcę...

- Pozwól mu. - Greyson masował jej ramiona. - To tylko surowica. I środek przeciwbólowy.

- I właśnie dlatego tego nie chcę. Muszę ci powiedzieć, co się dzisiaj stało.

- Po tym nie zaśniesz. Po prostu pozwól, żeby Maleficarum zrobił ci zastrzyk... Proszę.

Zawahała się. Z jednej strony, wcale nie była pewna, czy może mu wierzyć, gdy powiedział, że nie zaśnie. Z drugiej - cudownie byłoby pozbyć się bólu głowy i przeszywających ukłuc w całym ciele.

W końcu skinęła głową.

- No dobrze. Ale jeśli zasnę, to będzie twoja wina.

- A twoja zemsta będzie przerażająca. Już to widzę.

- Tak właśnie będzie. - Zacisnęła powieki, by nie patrzeć, jak Maleficarum przeciera skórę na jej ramieniu watką z alkoholem i wbija w nie igłę. Właściwie nie bolało -zresztą nie bała się zastrzyków - ale przykry był sam fakt, że tego potrzebuje... Przed tym właśnie chciała uciec.

Atak demona. Atak *litobory*, toksycznego demona duszy. Gdyby Greyson i Malleus zjawili się chwilę później, gdyby nie to, że byli już bardzo blisko jej domu -umarłaby. Ból w jej ciele zelżał i ten prosty fakt nie dawał jej spokoju, zagłuszał inne myśli, nie zostawiał miejsca na nic więcej.

- Ktoś to na mnie nasłał, prawda? - zapytała, bojąc się usłyszeć odpowiedź. - Przecież ten demon nie pojawił się przypadkiem.

Niech go szlag, jego i Maleficarum, który dyskretnie wymykał się z pokoju. Powieki jej ciążyły; nie wiedziała, co jej wstrzyknął, ale na pewno był to środek usypiający.

Ale wraz ze snem nadeszło rozluźnienie i tak naprawdę nie powinna narzekać.

- Tak sądzę. - Greyson przyciągnął ją mocniej do siebie. - Lew sam z siebie nie przyjdzie pod twój dom. *Litobora* też nie.

- Więc najwyraźniej ktoś próbuje mnie zabić? Pauza. Długa pauza. Wyczuła napięcie jego mięśni przy swoim ciele.

- Tak. Tak sądzę.

- Cholera. - Po raz kolejny pomyślała, że powinna się zdenerwować i po raz kolejny stwierdziła, że nie ma na to sił. Środek w strzykawce musiał być bardzo mocny. - Jak myślisz, kto?

- Nie wiem.

- Ale dowiesz się, prawda?

Jego wargi na jej czole... Miała wrażenie, że całuje ją przez watę.

- Na pewno spróbuję.

- Nie podoba mi się „spróbuję”.

- Mnie też nie. - Westchnął.

- Dlaczego ktoś miałby mnie zabijać?

- Naprawdę chcesz teraz o tym mówić?

Nie, nie chciała. Ale nie miała innego wyjścia. Choć ogarniała ją senność, choć żołądek wreszcie przestał się buntować, a ciało się uspokoiło, na łydce nadal czuła pieczenie w miejscu ukąszenia.

Wciąż pamiętała tamto przerażenie, gdy była przed domem, sama i zarazem wcale nie sama.

- Nie chcę. Ale sądzę, że powinniśmy.

Greyson pomógł jej się odwrócić, teraz leżała twarzą do niego; świat zawirował w jej głowie. Ostre rysy, ciemne włosy, piwne oczy, teraz już tak dobrze znane, niosły ukojenie, ale nie podobał jej się błysk w jego spojrzeniu. Martwił się i już to wystarczyło, by nią wstrząsnąć.

Począł, aż Megan ułoży się wygodnie, po czym zaczął mówić:

- Prawdopodobnie jest mnóstwo powodów, dla których ktoś chciałby cię zabić. Dobrze wiesz, że władza i wysokie stanowisko narażają na ataki.

Owszem, wiedziała. To była ich odwieczna dyskusja. Jej praca - spotkania z pacjentami i, w mniejszym stopniu, program radiowy - stanowiła źródło ryzyka. Ale co miała zrobić?

Były trzy możliwości, przy czym żadna do niej nie przemawiała. Pierwsza - sięgnąć po swój kawałek tortu pozostałych Gretneg, czyli zaangażować się w działania o charakterze niewątpliwie przestępczym. Kuszące, ale jednak wolałaby co rano z czystym sumieniem patrzeć w lustro. Drugi wariant - niech Greyson ją utrzymuje. Wolała nawet nie myśleć, jak w takim układzie mogłaby spojrzeć sobie w oczy... Zresztą co robiłaby całymi dniami.

I trzecie wyjście - zaangażować się bardziej w pracę w mediach. Przyjmować zlecenia występów na żywo. Pójść do telewizji. Nie chciała tego i była przekonana, że Greyson dostałby apopleksji, gdyby tylko o tym wspomniała. I bez tego drażniło go, że występuje w radiu, choć na szczęście ucichło już medialne zainteresowanie, które zorganizował właściciel radiostacji, gdy program po raz pierwszy wchodził na antenę. A telewizja... Cóż, chyba nie sposób stać się osobą bardziej publiczną. A do tego dochodziła śliska kwestia takiej osoby pozostającej w związku z kryminalistą.

Trzy możliwości, z których żadnej nie chciała wybrać. W pewnym momencie jednak będzie musiała dokonać wyboru - na przykład teraz. Nieważne, że do ataku doszło przed jej domem. Podobnie jak to, że dotyczył jej relacji ze światem demonów. Była łatwym celem; zdawa-

ła sobie z tego sprawę, ale liczyła, że uda jej się odsunąć w czasie podjęcie decyzji. Obecnie jednak wszystko wskazywało, że nie wolno zwlekać.

Ale wszystko po kolei. Pukanie do drzwi dawało pretekst, by przerwać te rozmyślenia, więc skorzystała z niego skwapliwie:

- Proszę.

Nie zdziwiła się ani trochę, gdy w progu stanął zakłopotany Rocturnus.

- Megan, bardzo mi przykro. - Gdyby miał kapelusz, pewnie teraz nerwowo ściszałby go w małych dłoniach. Z braku kapelusza wykręcał palce ze wzrokiem wbitym w dywan. - Powinienem tu być.

- Nic takiego się nie stało, Roc. Nie wiedziałeś.

- Nie wezwałeś mnie.

- Myślałam, że... Och, mniejsza o to. Przecież i tak niewiele mógłbyś zrobić.

Wyprostował się z urazą wyraźnie wypisaną na twarzy. Tak przynajmniej się wydawało Megan. Nie widziała zbyt wyraźnie, wszystko rozpływało się jej przed oczami.

- Pomógłbym ci. Zrobiłbym coś.

- Oczywiście - westchnęła. - Na pewno zrobiłbyś coś. Przepraszam.

- Myślisz, że to ma związek z FBI?

- Nie, federalni nie... - zaczęła, ale Greyson wpadł jej w słowo.

- FBI?

No, świetnie. Nie zdążyła mu powiedzieć.

- Przyszło dzisiaj do mnie.

- Całe Biuro?

Roześmiałaby się, gdyby miała dość siły, ale zadowolona się uśmiechem.

- Nie, tylko jedna agentka. W związku ze spotkaniem w Bellreive. Zaproponowała mi immunitet.



- W zamian za co?
- Zeznania. O tym, co się wydarzy na spotkaniu, jak się domyślam.
- Jak się nazywa?

Megan wymieniła nazwisko agentki i dodała:

- Poza tym jeden z moich pacjentów zrezygnował, bo woli poddać się egzorcyzmom.
- Co?

Zacząła opowiadać, ale w połowie musiała przerwać; Greyson śmiał się tak, że nie mogła mówić dalej, a Roc dosłownie zwił się ze śmiechu.

- Przestań, to nie jest zabawne. No dobrze, może jest. Ale nie śmiej się, trzęsiesz łóżkiem.

Ta prośba podziałała. Greyson opanował się z wyraźnym trudem; chyba jeszcze nigdy nie widziała, żeby śmiał się tak bardzo. Roc chichotał dalej, jego śmiech był tak dziwnym odgłosem, że Megan ponownie zamknęła oczy.

- Egzorcyzmy? Kochanie, twoi pacjenci nie przestają mnie zdumiewać. Egzorcyzmy... nie do wiary.
- Tedowi może stać się krzywda.
- Takiego dokonał wyboru. Jest dorosły. Jeśli chce popełnić głupotę - ma do tego prawo. Nie sądzisz, że mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie?

Otworzyła jedno oko - uniesienie obu powiek przerastało jej siły - i łypnęła na niego gniewnie. O ile to możliwe jednym okiem.

- Próbuję o tym nie myśleć.
- Aha. Dobrze. Więc rozkoszuj się ostatnim wieczorem niemyślenia, bo jutro musimy brać się do pracy. A będzie tego niemało.
- Spotkanie. - Westchnęła.
- Spotkanie - powiedział. - A także fakt, że ten, kto chciał cię zabić, prawdopodobnie tam będzie.

## Rozdział 5

Surowica czy serum, to coś, co było w strzykawce Ma-leficarum, zadziałało. Albo to, albo jad *litobory* działa krótko.

Nieważne, następnego dnia po południu czuła się dobrze, przynajmniej fizycznie. A psychicznie? To już całkiem inna sprawa.

Chociaż musiała przyznać, że o wiele przyjemniej czuć się podle w apartamencie hotelu Bellreive niż we własnym domu. Ba, było to niemal przyjemniejsze od czucia się podle w domu Greysona, potężnej białej budowli, oficjalnej rezydencji Gretneg jego Meegra. Ieuran-lier Sorithell było wspaniałe i - co ważniejsze - znajome; miała tam trochę swoich rzeczy. Niezbyt dużo: szczoteczkę do zębów, szampon i trochę ciuchów na wszelki wypadek.

Ale chwileczkę. Tu, w hotelu, też ma swoje rzeczy -wylewają się z walizek, a jeśli chodzi o widok z okna, hotel bił Ieuranlier na głowę, szczególnie o zachodzie słońca. Stała na balkonie przy otwartych drzwiach; bardzo skuteczna hotelowa klimatyzacja chłodziła jej plecy, a ciepła bryza pieściła włosy. Patrząc z wysokości czternastego piętra na turkusowy basen kąpielowy, biało-żółte parasole słoneczne i, nieco dalej, jezioro, mieniające się różem w blaskach zachodzącego słońca, nie mogła uwierzyć, że w tym hotelu ktoś prawdopodobnie chce ją zabić.

Zauważyła ruch; Greyson pochylił się nad balustradą. Widok zbladł, rozmył się, jakby jego wyraźny profil stanowił jedyny prawdziwy element na tle tej scenarii.

- I co ty na to?

- Myślę, że jest tu pięknie. - Wzięła ze stolika z kutego żelaza dzin z tonikiem, dzieło Spuda, i wypła łyk. Doskonały. - Ale nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy. Szczególnie po tym, co rano powiedział Win.

Greyson wzruszył ramionami.

- Nikt się szczególnie nie przejmuje FBI, a wszyscy chcą się spotkać, więc raczej nie jest możliwe, żeby coś się zmieniło w tak krótkim czasie.

- Przecież poszli do jego domu. Do jego żony. Nie wierzę, że się tym nie martwi.

- Owszem, martwi się. Po prostu tego nie okazuje, czego zresztą nie zrobiliby żadne z nas. Nie zapominaj, kim on jest.

- No tak. - Demony przywiązywały wielką wagę do pozorów. Potężne demony Gretneg tym większą, a Winston Lawden - Win - był Gretneg domu Caedes Fullean, demonów krwi. - Czy nie możemy zostać dzisiaj w pokoju? Zamówić kolację i oglądać płatną telewizję?

Uśmiechnął się i złote światło na jego skórze sprawiło, że na moment straciła dech.

Zauważył to. Wiedziała, że tak będzie. W jego oczach rozbłysły czerwone iskry, które nie miały nic wspólnego z zachodzącym słońcem.

- Mamy jeszcze trochę czasu do kolacji - rzekł przeciągle, obejmując Megan. - Szkoda marnować go, stojąc, nie sądzisz?

- Nie nazwałabym tego marnowaniem... - zaczęła się przekomarzać.

Nie protestowała, gdy jej przerwał, a jego pocałunki kazały jej zapomnieć o rozmowie. Miał rację. Szkoda czasu.

I pięknego balkonu, gdzie bryza uniosła jej włosy z ramion i szyi tak, że jego usta miały ułatwiony dostęp do nagiej skóry. Czego nie zrobił wiatr, naprawiały je-

go dłonie, zgarniały luźne kosmyki, splatały je delikatnie z tyłu jej głowy.

Ręce Megan także nie próżnowały, szukały guzików jego koszuli, rozpinając je po kolei, powoli, rozkoszując się każdym ruchem. Poprzednia noc była oczywiście niewinna, a przedtem, pochłonięci pracą, nie widzieli się przez kilka dni. Wydawało im się, że trwało to znacznie dłużej.

Przeszyła ją moc, gładka i ciepła jak roztopiona czekolada. Moc Greysona, zabarwiona ogniem i dymem, rozpaliała jej zmysły. Czuła, jak iskierki drażnią jej nerwy, a potem odwzajemniła się, odesłała jego moc splątana ze swoją.

Gwałtownie zaczerpnął tchu, co sprawiło, że napała mocniej. Dawała mu coraz więcej energii, która, jak wiedziała, miała jej zapach i smak. Demoniczna moc, wątpliwy dar gwiazdkowy, miała jedną zaletę i wykorzystywała ją, wysyłała całą siebie w niego, czuła, jak ją przyjmuje. Czuła, jak oddycha coraz szybciej, całuje ją mocniej, jak nabrzmiewa z każdym haustem.

Weszli powoli do środka, świadomi, że nawet balkon na czternastym piętrze nie gwarantuje całkowitej prywatności. Greyson zatrzasnął drzwi nogą i przyciągnął Megan do siebie. Oddawał jej moc, łączył się z nią w obiegu zamkniętym, nie wiedzieli już, czyja moc jest czyja. Nie byli już osobnymi istotami - w jej ciele, w jej zmysłach złączyli się w jedno.

Palila ją ich energia, złota od ognia, ciemna od tajemnic, roziskrzona pożądaniem. Oddawała się, ulegała tak, jak jej ciało ulegało jego dłoniom.

Chłodne powietrze muskało jej skórę, budziło dreszcze na każdym odsłoniętym skrawku ciała.

Muskał ją dłońmi, rozgrzewał, wzbudzał inne dreszcze... Zdjął jej stanik i rzucił na podłogę. Tylko jego silne ramię

podtrzymało ją przed upadkiem, gdy odchylił ją do tyłu, zamknął usta na jej piersi, pomknął dłonią do złączenia ud.

- Tęskniłem - wyszeptał z ustami na szyi Megan.

Chciała odpowiedzieć, ale nie mogła, za bardzo pochłonęło ją rozpinanie jego spodni i wstrzymywanie pragnienia. Energia buzowała w niej tak intensywna, że drżała; gdy mu ją zwróciła, on także zadygotał.

Ich ubrania poniewierały się na podłodze. Czuła ciepłą skórę Greysona, jego moc wszędzie tam, gdzie jej dotykał. Na suficie zapłonęły ogniki, wprowadzały nastrój intymności do pokoju zalanego blaskiem zachodzącego słońca.

Na środku pokoju stało wielkie łóżko z baldachimem i czystą, świeżą pościelą. Osunęli się na nie spleceni rękami i nogami, przy akompaniamencie cichych szeptów.

- Ja też - wykrztusiła. Ale Greyson już jej nie słyszał. Wszedł w nią, ciało i moc, silniej niż przedtem. Tak mocno, że krzyknęła i wbiła mu paznokcie w plecy, odpowiedziała tym samym i dawała mu tyle rozkoszy, co on jej.

Jego jęk i drżenie energii, gdy ją przyjmował, zdradzały, że osiągnęła zamierzony cel. Poruszał się coraz szybciej, czuła napięcie jego pleców pod palcami, gdy oddawał jej energię.

Teraz była przytłoczona energią. Teraz jej kolej, by go oszołomić, by przyjąć jego moc, nakarmić się namiętnością. Intymność, poczucie, że ma go w sobie, ciało i duszę, przyprawiło jej oba serca, ludzkie i demoniczne, o drżenie.

Pchnęła Greysona na plecy i patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Od jedenastu miesięcy przyglądała mu się częściej niż komukolwiek innemu; zajęło jej to kawał życia. Za mało.

Przesunęła się trochę i zaczęła się kołysać w przód i w tył. Greyson objął ją za szyję i przyciągnął do siebie; dawał i brał energię. Zesztywniała.

Opadli na posłanie. Koniec gry. Z przeciągłym jękiem wyszeptał kilka słów w języku demonów i posłał strumień energii, aż w Megan zawrzała krew. I to w połączeniu z ruchami jego ciała i jego ustami na jej wargach wystarczyło.

Jej ostatnią logiczną myślą było, żeby mu odpowiedzieć tym samym; zrobiła ten gest. Unosili się razem do chwili, aż płomienie w powietrzu zgasły i świat wrócił na miejsce.

Winston Lawden albo Win, jak zwykła go nazywać, był pierwszą osobą, którą zobaczyła, gdy półtorej godziny później weszli do jadalni. Ucieszyła się. Poza Greysonem nie знаła zbyt dobrze żadnego innego Gretneg, a Win zawsze był dla niej miły. Zawsze opowiadał się po jej stronie. Tak się jej wydawało.

Przy czym „wydawało się” stanowiło słowo kluczowe. Nigdy nie zrobił nic, co wzbudziłoby nieufność Megan, to jednak nie oznaczało, że mu ufa; lubiła go, ale nie była głupia, a w świecie demonów jej wrodzony sceptycyzm bardzo się przydawał; o ile zasada „nie ufaj nikomu” sprawdzała się wśród ludzi, wśród demonów stanowiła podstawę.

Winston przywitał ich tak entuzjastycznie, że Megan zastanawiała się, czy nie pił. A raczej, czy nie pił więcej niż zwykle; w pokoju pełnym demonów alkohol znikał szybciej niż cnota.

Gdy jednak pocałował ją w policzek, zdała sobie sprawę, że jest po prostu szczęśliwy. Może trochę zdenerwowany, ale głównie szczęśliwy. Jego niebieskie oczy błyszczały w rumianej twarzy. - Megan, poznałaś już Saritę?

- Nie. - Uśmiechnęła się, wyciągając rękę do ślicznej brunetki u jego boku. I wtedy zrozumiała, co robi. Zrozumiała, kim dla Wina jest Sarita.

Za późno, by cofnąć dłoń. Poszła więc za ciosem i uścisnęła rękę nieznajomej, uśmiechając się najszczerzej, jak umiała, choć żołądek jej się ścisnął. Nieznajoma nie była jedną z Gretneg.

Niewykluczone, że to jedna z *rubenda* Wina, że należy do jego klanu.

Niewątpliwie była jego kochanką. Nałożnicą. Tą drugą. Nieważne, jak to określić. Rzecz w tym, że nie była jego żoną, Alvią, którą Megan знаła. Dla Mvii Megan gotowała pewnego wieczoru, gdy zaprosiła ją na kolację, a potem Alvia jej się zrewanżowała. Alvia, która robiła na drutach i przygotowywała domowy makaron i która wychowała Winowi czworo dzieci, która miała miły uśmiech i patrzyła na męża jak w obraz.

- Miło mi. - To nie wina tej dziewczyny, tłumaczyła sobie i starała się nie zwracać uwagi na cichy głosik, który podpowiadał, że owszem, na pewno tak. Win nosił obrączkę, do jasnej cholery. Był Gretneg, był osobą... demonem znanym w tych kręgach. Wszyscy go znali, znali jego synów, córkę i żonę. Do licha.

Starała się słuchać innego głosiku, który szeptał, że to nie jej sprawa. I to prawda. To, jak Win organizuje sobie życie, z kim spędza czas i sypia - to nie jej rzecz. Ale nic nie poradzi na to, że jakaś jej częśćka - która nie miała nic wspólnego z tkwiącym w niej demonem - skręca się ze wstydu na myśl, że bierze udział w takim świństwie, że milczeniem popiera jego zdradę.

Mogła natomiast zareagować na coś innego - na serdeczność, z jaką Greyson powitał Saritę.

Pocałunek w dłoń. Rozmowa, która zdradzała, że już się znają.

- Jak ci się tu podoba, Megan? - Win uśmiechał się jak gdyby nigdy nic, jakby nie postawił jej w bardzo nie-

wygodnej sytuacji i nie zakładał z góry, bez pytania, że zachowa dyskrecję. Co takiego zrobiła, co powiedziała, że tak o niej myślał? Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne. Bardzo.

Powiedział coś do Greysona. Nie wiedziała co, bo nie patrząc Winowi w oczy, odnalazła wzrokiem Gunna-ra Ryalla, Gretneg domu Aąuiast, demonów wody. Był to mały klan - większy niż jej, ale jednak mały - i jego członkowie jeszcze mniej niż pozostałe demony kontaktowali się z obcymi.

Ale poznała Gunnara i jego żonę. Z pewnością nie była to młoda kobieta u jego boku, którą obejmował nonszalancko.

Co tu się dzieje, do cholery?

Wróciła myślami do zebranych, gdy Greyson znacząco ucisnął jej dłoń. No tak. Musi się uśmiechać i miło zachowywać.

Zwłaszcza gdy do towarzystwa dołączyła nowa postać. Kobieta, dokładnie rzecz biorąc. Megan niemal zakrztusiła się drinkiem. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że na bankiecie znalazła się Tera; po chwili zdała sobie sprawę, że kobieta wcale nie jest tak bardzo podobna do czarownicy i zarazem jej najlepszej przyjaciółki. Jej jedynej przyjaciółki. Co Tera powiedziałaby na to wszystko? Przez chwilę bardzo żałowała, że nie ma tu Tery, ale zaraz sobie przypomniała, gdzie się znajduje.

Animozje między czarownicami a demonami trwały od stuleci i były nie do pokonania, więc obecność Tery nie przyniosłaby niczego dobrego.

Kobieta u boku Wina była ładną szczupłą blondynką, tak jak Tera. Co ważniejsze, otaczała ją ta sama aura pewności siebie, ten sam chłód. Oto kobieta, której



makijaż nigdy się nie rozmazuje, której nigdy nie pójdzie oczko w rajstopie, fryzura się nie zepsuje. W przeciwieństwie do Megan. Chociaż musiała przyznać, że odkąd odkryła talenty wizażystów i fryzjerów w Malleusie, Maleficarum i Spudzie - skutek uboczny setek lat spędzonych na pilnowaniu ważnych kobiet - ona także nie miała już takich problemów.

Różnica między nimi polegała na tym, że w przeciwieństwie do nieznajomej Megan do tego nie przywykła i spodziewała się, że lada chwila tusz się rozmaże, oczko pójdzie w rajstopach, włosy zmienią się w kopę siana. Nawet w taką noc jak ta, gdy w czarnej jedwabnej sukni ozdobionej ciemnozielonymi piórami - ciemna zieleń to jeden z kolorów jej klanu - stała z brylantami w uszach i na szyi, świątecznym prezencie od Greysona. Nadal nie mogła się przyzwyczaić do swego wyglądu.

Win z uśmiechem objął dziewczynę ramieniem. Jezu, ile kochanek sprowadził?

- Megan, poznaj moją córkę, Leorę.

Jasne. Dlatego dziewczyna wydała jej się znajoma. Podobieństwo kryło się w błękitach oczu i ładnym, prostym nosie. Megan знаła już obu synów Wina, ale do tej pory nie poznała... o rany, więc to jego córka? Przeprowadził córkę na spotkanie, na którym była także jego kochanka?

Co za denerwująca myśl. Miała ochotę stamtąd odejść. Leora powiedziała do Greysona coś o pobycie w Waszyngtonie, skąd pochodził. Sarita wtuliła się w Wina.

Nieważne, że Greyson obejmował ją mocno, nieważne, że w ten sposób dodawał jej otuchy - potrzebowała drinka. I nie chciała uśmiechać się grzecznie do mężczyzny, który zradzał żonę. W dodatku publicznie.

Greyson chyba zauważył, że nie uczestniczy w rozmowie.

- Meg, może pójdziemy po coś do picia?

Skinęła głową. Skierowali się do baru, ale nieco zmienili kurs. Zatrzymali się w połowie drogi, przy jednej z marmurowych kolumn. Znajdowali się w imponującej sali, foyer eleganckiej jadalni, jasne ściany i wysokie sklepienia sprawiały, że pomieszczenie zdawało się przestronne.

Z sufitu zerkały na nich malutkie światełka. Ten blask przypominał ściany w ich pokoju. Gniew Megan trochę opadł.

Trochę, ale nie całkowicie. Chyba nawet kąpiel w kadzi dżinu nie zmyłaby go do końca.

- Co się dzieje?

- Co? - Nie chciała mówić za głośno, ale to słowo wysyczała z irytacją; na szczęście zagłuszyła je opleciona wokół kolumny winorośl. Powtórzyła więc, tym razem z lepszym skutkiem: - Pytasz: co się dzieje? Musiałam stać i udawać, że nic mnie nie obchodzi, że Win przyszedł z kobietą, która nie jest Alvią, którą znam. Jak teraz spojrzę jej w oczy?

Chyba niczego nie rozumiał. Zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego Alvia...

- Alvia, Alvia. Żona Wina. Rozumiesz? Znasz ją. Spójrz, oni wszyscy przyszli z kochankami. Czy ja też...

- W porządku. Uspokój się, proszę, zanim zaczniemy zwracać na siebie uwagę. - Objął Megan ramieniem, przyciągnął do siebie tak, że ich ciała i twarze znalazły się bardzo blisko i mieli odrobinę prywatności. A jeszcze więcej, gdy stanęli tyłem do zebranych.

Była to niewielka grupka: Gretneg, ich kochanki i asystenci. I koniec. Coś ją uderzyło, ale postanowiła wrócić do tego później.

- Spokojnie możesz nadal patrzeć Alvii w oczy, a to dlatego, że ona doskonale wie, co Win porabia i z kim. Nie

sądziłaś chyba, że postawiłby córkę w sytuacji, w której musiałaby wybierać lojalność wobec jednego z rodziców?

- Co? Ona wie? Skinął głową.

- Wszystkie żony wiedzą. Kochanka to symbol statusu społecznego. Mężczyźni są bogaci, stać ich na utrzy-mankę. Im ładniejsza, im lepszy ma samochód i bogatszy dom... Proszę cię, *bryaela*. Wiesz, jak to jest.

No tak. Owszem. Znowu pozory.

- A jego córka?

- Leora zna Saritę od lat, od dziecka. Wszyscy ją znają. Z Alvią posyłają sobie prezenty na urodziny. Przyglądała mu się i starała się mu uwierzyć. Nie, to nie tak. Wierzyła mu, choć wcale tego nie chciała, bo skoro mu wierzyła, pozwalała myśлом wędrować po zaułkach, do których nie powinny się zapuszczać.

- To stara gwardia, Meg. Ich małżeństwa zostały starannie zaplanowane. Win i Alvia i tak mają szczęście, bo zawsze się sobie podobali. Templeton i jego żona zazwyczaj się dogadywali. Ale nie wszyscy mają tyle szczęścia. Po prostu tak się załatwia... załatwiało takie sprawy.

Powróciły wspomnienia. Żona Templetona Blacka, zapłakana na jego pogrzebie. I jeszcze coś.

- Twój rodzice się nienawidzili.

- Owszem. Szczerze i gorąco. - Z uśmiechem uściśnął jej ramię. - Chodź, napijemy się. Bez drinka wydajesz się naga.

- Nieprawda.

- Może po prostu taką chcę cię widzieć. Odwzajemniła uśmiech; ona także wolałaby być teraz w pokoju, w wielkim łóżku.

- Może później twoje pragnienie się spełni.

- Przynajmniej mam na co czekać - odparł, prowadząc ją w stronę baru.

## Rozdział 6

Pięć minut później, przyjemnie podbudowana zimnym dżinem z tonikiem i pocałunkiem, zauważyła Roca w fotelu pod ścianą. No tak, wszyscy mieli się tu stawić o dziewiątej, ale ona i Greyson spóźnili się odrobinę. Obok niego siedział Carter Slade, asystent Greysona. Cóż, asystent nie jest do końca odpowiednim słowem; po śmierci Templetona Blacka, poprzedniego Gretneg domu Greysona, Greyson przejął władzę, a Carter robił to, co on dawniej - był zarazem doradcą, asystentem i zastępcą. Obaj wstali, gdy zbliżała się z Greysonem, ale tylko jeden z nich odwzajemnił jej spojrzenie. Carter pocałował ją w rękę, przywitał się, jak należy, ale nie patrzył na nią. Nigdy na nią nie patrzył. Nie wiedziała, czy to oznaka szacunku - nigdy o czymś takim nie słyszała i chciała zapytać, ale zawsze zapominała - czy może po prostu chodziło mu konkretnie o nią, miał do niej o coś żal. Nieważne. Poczula lekką irytację, podobną do tej, która pojawiła się, gdy sobie przypominała, co jej umknęło podczas wcześniejszej rozmowy z Greysonem, gdy stali przy kolumnie.

Była tu jako Gretneg, jako jedna z nich. Ale gdyby nie stała na czele klanu? Czy przyprowadziłby ją i tak, choć nie do końca jest demonem? Czy może raczej zabrałby... kogoś innego?

- Grey, mam dokumenty, które musisz podpisać. - Carter już sięgał do aktówki, ale zauważył, że jej nie zabrał. I bardzo dobrze. Zepsułaby wygląd, zakłóciłaby nieskazitelną linię fraka. Carter nigdy nie był rozczochrany, jego oliwkowa cera nigdy nie błyszczała. Oczywiście, to nic wyjątkowego u demona, ale jednak...

Od kiedy otaczają ją piękni i nienaganni?

Oprócz Roca, czy w ogóle jej demonów. Uśmiechnęła się. Zważywszy, kim czy raczej czym są demony, oni nie mieli tak pilnych spraw do omówienia. Ludzie cierpią, demony się nimi żywią, koniec, kropka.

- Zostawiłem je w pokoju - ciągnął Carter. - Jutro rano masz spotkanie z lordem Lawdenem.

- Nie możesz tego przełożyć?

Megan nie była w stanie czytać demonów, w każdym razie nie tak dobrze jak ludzi. Od grudnia zeszłego roku zdarzały się przebłyski - zazwyczaj chodziło o Greysona, zwłaszcza gdy byli razem - i zawsze wyczuwała demoniczny gniew, który odbierała jak lodowaty powiew na skórze. A tym razem wyczuła, że Carter chce na nią spojrzeć i z trudem opiera się tej pokusie. Dlaczego?

- Moim zdaniem powinieś to załatwić jak najszybciej - rzekł, a Megan przeszył dreszcz, który nie miał nic wspólnego z tym, że stała tuż pod szybem wentylacyjnym.

- Nie sądzę, żeby skończyło się na jednej rozmowie - odparł Greyson.

- Nie, ale...

- Chciałbym, żebyś to przełożył. Muszę mieć jeszcze kilka dni na przygotowanie.

Carter wzruszył ramionami.

- Jeśli tego potrzebujesz...

- Owszem.

Megan i Roc wymienili znaczące spojrzenia. Greyson nic jej nie wspominał o spotkaniu z Winstonem, ale skoro nie omawiali jego spraw, nie miał powodu, by to robić. Ta kwestia jej nie dotyczyła, a jedną z lepszych rzeczy w ich związku było to, że nie naruszali swojej prywatności.

Omówiwszy sprawy prywatne, ruszyli do jadalni. Megan przekroczyła próg i omal nie jęknęła; wiedziała,

że demony wysoko cenią pozory i luksus, a cnota umiaru jest im obca, ale nawet przepych, jaki widziała w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy, bladł przy tym, co zobaczyła teraz.

Nad stołem unosiły się zapalone świece - to zasługa demonów powietrza, domu Caelaeris pod przywództwem Baylora Regisa. Pod stopami poniewierały się płatki kwiatów, pokrywające całą podłogę. Ściany oplatała winorośl.

Obrus z kremowego adamaszku dekorował ogromny stroik z róż i powoju. Na stole czekały srebrna zastawa, srebrne sztuce i kryształowe kielichy. Demony lubiły dobrze zjeść. Nie miała wątpliwości - to będzie wyjątkowa uczta.

I nie myliła się, ale z innych przyczyn, niż początkowo sądziła. Gdy usiedli, Justine Riverside, Gretneg domu Concumbia, zwróciła się do niej z uśmiechem na nieskazitelnej twarzy sukuba.

- Powiedz, Megan - zaczęła słodko - kiedy zamierzasz dokonać Haiken Kra? Wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi.

Gdyby w tej chwili komuś wypadła z ręki wykałaczka, ten dźwięk rozniósłby się echem. Szkoda, że do tego nie doszło. Przynajmniej coś odwróciłoby ich uwagę.

Ale nie. Nic się nie stało. Wszyscy milczeli. Cholera.

- Szczerze mówiąc, w ogóle tego nie planuję. Na razie nie widzę żadnego powodu, by go dokonać.

Pięknie zarysowane brwi Justine uniosły się tak wysoko, że niemal dotknęły linii włosów.

- Żadnego powodu? A ja sądziłam...

- Justine, Megan podejmie taką decyzję, jaką uzna za słuszną - wpadł jej w słowo Winston. Posłała mu uśmiech pełny wdzięczności. Odpowiedział tym samym. - Nie mamy prawa dyktować, co ma zrobić.

- Ależ owszem! Obecność człowieka wśród nas stanowi problem. Jest słaba.
- Ma zdolności parapsychiczne - wtrącił się Grey-son. Pod stołem zacisnął dłoń na jej udzie. - Nie można jej zahipnotyzować ani wprowadzić w trans.
- Moim zdaniem powinniśmy zagłosować. - Justine się skrzywiła.
- Przepraszam bardzo - włączyła się do rozmowy Megan. - To chyba nie twoja sprawa. Ani w ogóle was wszystkich.
- Owszem, ludzka słabość staje się naszym problemem, gdy ma wpływ na naszą sytuację. - Justine odrzuciła na ramię długie czarne włosy, lśniące w blasku świateł. - Wystarczy zwrócić uwagę na bzdury, które odbywają się niedaleko w hotelu, w tej speluncie, której nazwy nie pamiętam. Ten żaloszny człowieczek twierdzi, że wypędza demony. A oni mu wierzą. Wałają do niego drzwiami i oknami. Dają mu pieniądze. Może powinniśmy się temu bliżej przyjrzeć.
- Zebrani roześmieli się głośno. Megan nie zareagowała.
- Co? Jaki facet?
- Jakiś duchowny. - Justine się wzdrygnęła, ale już po chwili, gdy kelnerzy - nie pracownicy hotelu, lecz demony osobiście wybrane przez przedstawicieli wszystkich klanów - wnieśli półmiski z przekąskami, poczuła dreszcz rozkoszy. Najwyraźniej Justine nie pozwalała sobie na okazywanie niesmaku publicznie. - Zorganizował coś w rodzaju weekendu modlitewnego.
- W hotelu Windbreaker?
- Tak, właśnie tam. - Justine wzięła widelec i kręciła nim w palcach o czerwonych paznokciach. - A co, wybierasz się?
- Nie, ja... Nie.

Cholerny świat! Powinna wysłać Justine do diabła, na co zresztą już od dawna miała ochotę. Nigdy nie zapomniała ich pierwszego spotkania - doszło do niego, jeszcze zanim zostały sobie oficjalnie przedstawione. Tamtego dnia zmuszono Megan, by przywołała wspomnienia o Oskarżycielu, demonie, który siedemnaście lat wcześniej zostawił w niej część samego siebie. Tamtego dnia kazano jej patrzeć na cierpienia Greysona - przykutego do metalowego stelaża chłostano na jej oczach. A Justine była tam obecna i rozkoszowała się widowiskiem. Megan nie mogła zapomnieć, że Justine z rozkoszą patrzyła na jego cierpienie, choć dawniej radośnie witała go w swoim łóżku.

Raz albo więcej. Nie dzielił się z Megan szczegółami, a ona nie pytała. Dość, że wiedziała, że do tego doszło i że teraz to już nieważne. Że już się nie powtórzy. Gdy był zastępcą Templetona Blacka, musiał robić takie rzeczy, spłacać dług, przekonywać. Teraz, jako Gretneg, już nie.

Teraz to chyba zajęcie Cartera, choć wolałaby, by nikt nie był w takiej sytuacji.

Chyba że... Greyson prosił Nicka o przysługę wtedy, w okolicach Bożego Narodzenia. Coś, czego sam nie chciał zrobić, a co wiązało się z kobietą. Czyżby chodziło o...?

Ale za jakie przysługi musiałby się wtedy rewanżować? Był Gretneg od zaledwie dwudziestu czterech godzin.

Olać Justine, olać wszystkie bzdury demonów. Bolała sugestia, że jej małym ludzkim mózdzkiem bez problemu daje się manipulować: że równie dobrze może lada chwila pognać do szalonego egzorcysty, jak ściągnąć na nich klęskę. Ale największą przykrość sprawiał podtekst - jako człowiek stanowiła dla nich zagrożenie. Nie pragnęła



tęgo, to naprawdę bolało. Bardzo chciała do nich przynależć. Pasować. Tylko po prostu żał jej było całkowicie pozbywać się człowieczeństwa, tracić coś, co było dla niej ważne.

Być może nic się nie zmieni, gdy pozwoli, by rozrosła się w niej częśćka demona, by zmieniła także jej geny. Ale nie miała co do tego pewności. A dotychczas nie usłyszała żadnego naprawdę przekonującego argumentu za transformacją. Więc po co jej to? Wydawało się, że nie ma problemu. Teraz jednak krótka rozmowa wszystko zmieniła.

Nałożono jej coś na talerz. Bez namysłu podniosła widelec, ale Greyson złapał ją za rękę.

- Nie jedz tego.

- Dlaczego? - Cholera, nie chciała, żeby zabrzmiało to gorzko i gniewnie, ale niewiele mogła poradzić.

Nie podobało jej się, że czuje się jak intruz. - Co to, ludzkie mięso?

Spojrzał na nią dziwnie.

- Nie. Papryka.

- Och. No tak. Dzięki. - Cholera. Była na nią uczulona.

- Wszystko w porządku, *bryaela*?

Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło najlepiej.

- Ja tylko... tak.

Głaskał ją po udzie, przesuwał dłoń po jedwabiu sukni, pochylił się do jej ucha.

- Byłaś bardzo seksowna, gdy sprzeciwiłaś się Justine.

- Chyba nie wypadło to najlepiej.

- Wręcz przeciwnie. Niewielu ma tyle odwagi, więc za sam fakt należy ci się podziw. Nigdy nie widziałem jej tak zaskoczonych.

Tym razem zdołała się uśmiechnąć. Nieważne, czy to prawda, czy nie - przyjemnie słyszeć miłe słowa.

- Tak uważasz? A ja myślałam, że sam, osobiście, zaskoczyłeś ją już nie raz.
- Nie. Nie pokazałem się jej z najlepszej strony.
- Więc ma pecha.
- Też tak myślę. Ale życie już takie jest. Nie fair.

Podniosła na niego wzrok. Elegancka jadalnia zniknęła, stała się nieważnym tłem, scenerią w barwach zieleni i kości słoniowej.

- Czasami bywa nie najgorsze.
- Rzeczywiście, czasami jest w porządku.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzieli. Chyba niezbyt długo. Nie tutaj, nie w miejscu publicznym i w małej grupie, w której wszyscy mogli się widzieć i zapewne obserwowali się bacznie. Ale dość długo, by jej przypomnieć, czemu nadal tam jest i czemu tego pragnie. Dość długo, by ją upewnić, że on czyni podobnie.

- Tak myślałem - powiedział w końcu, raz jeszcze ścisnął jej udo i sięgnął po kieliszek wina.

Powróciły odgłosy, urywki rozmów, szelest serwetek i brzęk sztućców. Kelnerzy wnieśli półmiski z pieczonymi bażantami. -Nie wróciliśmy jeszcze do Włoch. Co powiesz na wypad za dwa tygodnie?

- Na urodziny? O cholera, nie dam rady. Nie mogę znowu brać urlopu, a w radiostacji prosiłam już o wolne na Boże Narodzenie. Przykro mi.

- Nie ma sprawy. - Wzruszył ramionami.
- Ale mam wolne na twoje urodziny. I następny dzień też.
- Och. Planujesz coś?

- Może. - Istotnie coś planowała; znalazła urokliwy hotelik na wyspie niedaleko wybrzeża, zaledwie kilka godzin lotu, i zarezerwowała już trzy noce. Malleus pomógł jej sprawdzić grafik Greysona.

Już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Po jego lewej stronie zajmowała miejsce Leora, córka Winstona; do tej pory Megan jej nie zauważyła. Siedzieli przy stole na przemian, kobiety i mężczyźni; obok Leory jej ojciec, a przy nim Sarita, o ile rzeczywiście tak miała na imię. Asystenci - sami mężczyźni - zajmowali kraniec stołu przy wejściu do kuchni.

Gunnar Ryall z domu Aquias zajmował miejsce po jej prawej ręce. Kiedy Greyson zajął się Leorą, prowadziła z nim niezobowiązującą rozmowę. Inna była z Gunnarem niemożliwa, przynajmniej tak wynikało z jej doświadczenia. Bardzo lubił opowiadać o rybach.

Megan podano porcję bażanta. Zajęła się jedzeniem z wdzięcznością, równie ochoczo zaopiekowała się kolejnym drinkiem, który podano jej zamiast wina. Na widok jedzenia poczuła skurcz w żołądku - prawie cały dzień nic nie jadła. Co prawda demony pełnej krwi mogą długo funkcjonować dzięki samej wymianie energii, jakiej wcześniej dokonała z Greysonem, ona jednak nie było do tego zdolna. Nie w tym rzecz, by demony chciały egzystować wyłącznie dzięki energii - lubiły dobrze zjeść - ale było to możliwe. A szybki metabolizm pozwalał im bezkarnie pochłaniać ogromne porcje. Już niemal to wystarczyło, by ją skłonić do podjęcia decyzji, ale z drugiej strony, anorektyczki też bardzo chudną, co przecież nie jest zdrowe. Rezygnacja z resztek człowieczeństwa w zamian za dodatkowy kawałek placka to chyba jednak kiepski układ.

Chociaż przy tak pysznym jedzeniu pokusa rosła. Ciemna, soczysta pieczeń z bażanta niemal rozpływała się w ustach i... Co jest?

Musnął ją dreszcz, niemal taki sam, jakiego doświadczyła wczoraj w pobliżu *litobory*.

Ale to nie demon. Człowiek. I to blisko. Człowiek tam, gdzie nie powinno go być. To jej dziedzina. Jej Yezer strzegły wszystkich wejść do tej części budynku, miały dopilnować, by wydawała się tak ponura i smutna, że żaden człowiek nie zdecyduje się tu zapuścić. Gdyby pojawiły się problemy, mieli zawiadomić Roca. Powinni to zrobić. Więc dlaczego tak się nie stało, do jasnej cholery? Ile czasu upłynie, zanim także pozostali wyczują intruza i dojdą do wniosku, że ona ma z tym coś wspólnego?

## Rozdział 7

Wszyscy wiedzieli, że poprzedniego dnia odwiedziła Megan agentka FBI. Większość zdawała sobie sprawę z jej przyjaźni z Terą. Niektórzy wiedzieli też o jej znajomości z Brianem, a skoro to do nich dotarło, mieli świadomość, że dziewczyna Briana jest policjantką.

Odwróciła się i ujrzała Roca akurat w chwili, gdy zjawił się na jej ramieniu. Podskoczyła, ale nic w tym dziwnego. Każdy by podskoczył, gdyby zamiast pustki zobaczył na swym ramieniu małego ciemnozielonego demona.

- W pobliżu jest człowiek - wymamrotał. - Ariago i Hefferus chcieli go powstrzymać, ale nie zdołali, a jego Yezer z nimi nie rozmawiał.
- Kobieta czy mężczyzna?
- Nie powiedzieli.
- Cholera. - Wstała, bezskutecznie starając się cicho odsunąć krzesło, by nie zgrzytało na marmurowej

posadzce. Odłożyła serwetkę na stół. - Bardzo przepraszam. Mamy mały problem w holu, pójde się rozejrzeć.

- Iść z tobą? - Greyson dotknął jej dłoni.

- Nie, zostań tu i jedz. Zaraz wrócę.

Stuk obcasów Megan na posadzce niósł się głośnym echem w ciszy, jaka nagle zapadła. Wszyscy odprowadzali ją wzrokiem, patrzyli, jak suknia wiruje dokoła jej nóg. Ta kreacja była wyjściem kompromisowym; większość Gretneg występowała w kolorach swoich klanów, ale w barwach jej domu - zieleni i oranżu - nie było jej do twarzy.

A poza tym Greyson lubił ją w czerni. Ona siebie też. Suknia, którą miała na sobie, bardzo jej się podobała, co jednak nie zmieniało faktu, że wolałaby być w dzinsach i tenisówkach. Lokaj wypuścił ją z sali bankietowej do foyer, w którym wszyscy pili drinki. Jej obcasy stukały głośno. Nie chciała w ten sposób zdradzać swojej obecności, więc zdjęła buty i skrzywiła się, gdy stopą dotknęła zimnej posadzki.

Dobrze, że włożyła rajstopy. Pusta sala balowa zwielokrotniała cichy szelest jej sukni. Niepokojące. Niemal równie niepokojące jak jej obawy, co ją tutaj czeka.

Człowiek, to pewne. A więc nic poważnego; w końcu sama jest człowiekiem. Ale co powinna teraz zrobić? Do tej pory jeszcze nie próbowała nikogo zhipnotyzować, jak to robią demony. Według niej byłoby to nieetyczne, kolejny krok wiodący do utraty człowieczeństwa. A jeśli go zrobi, co ją powstrzyma przed kolejnym? I kolejnym? I ani się obejrzy, a stanie się jedną z demonów i już. Stała w progu drzwi wiodących do holu i opuściła tarcze. Lepiej zawczasu się przekonać, co ją czeka.

Czuła, jak wypływa z niej energia, wymyka się przez drzwi, sunie przez hol. Nawet ściany nosiły ślady daw-

nych wydarzeń; jak mogło być inaczej, skoro tyle tu się działo? Hotele to miniaturowe wszechświaty, intensywne uczucia zostawiają ślady na wiele lat.

Człowiek, który pokonał jej demony, triumfował. Świetnie. To... o, cholera. To agentka FBI, Elizabeth Reid.

Megan znieruchomiała. Nie może z nią rozmawiać, nie może jej się nawet pokazać, skoro zaklinała się, że nie ma pojęcia o żadnym spotkaniu.

Zaraz jednak poczuła ulgę. To hotel Bellreive; apartamenty zarezerwowano na tydzień za oszałamiające sumy. Zadzwoń na recepcję i poprosi, by usunięto intruza.

Oczywiście odznaka Elizabeth okaże się tu nie bez znaczenia, ale Megan będzie miała dość czasu, by zawiadomić pozostałych.

Nie był to plan genialny, ale znośny. Megan już szła w stronę telefonu dyskretnie umieszczonego na bocznej ścianie, gdy wyczuła jeszcze czyjaś obecność.

Tym razem nie był to człowiek. Demon. Towarzyszył Elizabeth Reid na każdym kroku. Co jest, do cholery?!

Jeśli coś się stanie agentce Reid, jeśli zostanie napadnięta albo zabita, nie unikną przesłuchań. Ich obecność wyjdzie na jaw. Nie tylko agentka Reid była przekonana, że są nie tylko klubem smakoszy, za jaki się podają. Rozpęta się piekło.

Podeszła do telefonu i jednocześnie sięgnęła do czarnej jedwabnej torebki wieczorowej po komórkę. W recepcji odebrała znudzona recepcjonistka, cały czas pogrążona w erotycznych fantazjach SM, jakim po pracy odda się z chłopakiem. Megan przechwyciła parę nader interesujących wizji, zanim odcięła przekaz. Nie jej sprawa, co inni robią w łóżku.

- Dzwonię w związku ze spotkaniem klubu Gastrique w Sali Księżycowej. Pod drzwiami ktoś krzyczy. Czy moglibyście przysłać ochronę?

Recepcjonistka - natychmiast całkowicie skoncentrowana na słowach Megan - obiecała, że zaraz ktoś przyjdzie. Megan rozłączyła się i szukała numeru w pamięci komórki, aż znalazła ten, który był jej potrzebny.

- Witaj, pani. Czego ci trzeba? - Malleus, jak zawsze, był zwarty i gotowy. Wyobraziła go sobie, jak nerwowo przechadza się po pokoju z telefonem w dłoni, na wypadek gdyby zadzwoniła.

W rzeczywistości pewnie oglądał *Taniec z gwiazdami* albo coś równie głupiego. Nieważne. Lada moment on i jego bracia znajdą się u jej boku.

- Cześć. Potrzebuję pomocy. W holu jest demon. Nie wiem, kto to.

- Idziemy. - Ciągły sygnał niemal zagłuszył ostatnie słowo.

Świetnie. Ochrona jest w drodze, bracia także. Poczowała się odrobinę rażniej. Wprawdzie nie bardzo - była świadoma pustej sali za plecami i tego, że demon się zbliża - ale jednak.

Już odwracała się na pięcie, by wrócić na bankiet i zawiadomić pozostałych, gdy ciszę przeciął krzyk. Dobiegł zza dwuskrzydłowych drzwi i było w nim tyle przerażenia, że jej serce, a raczej jej oba serca na chwilę przestały bić. Był to głos agentki Reid; znajdowała się w holu z demonem nieznanego pochodzenia mającym nieznane zamiary.

Megan ruszyła biegiem bez zastanowienia, nie bacząc na konsekwencje; poradzą sobie z nimi. Jeśli sama nie zdoła zhipnotyzować agentki, zrobi to ktoś inny. Ani ochrona, ani bracia nie dotrą na czas - muszą przecież pokonać czternaście pięter. Niech szlag trafi te luksusowe apartamenty. Jeśli pobiegnie po pozostałych uczestników bankietu, agentka może zginąć.

Oczywiście ona sama także może zginąć, co nie było zbyt świetlaną perspektywą, ale nie miała specjalnego

wyboru: rozległ się kolejny krzyk, bardziej przejmujący od poprzedniego.

Zza drzwi dobiegł odgłos głuchego uderzenia na sekundę przed tym, nim je otworzyła. Czy nadal wyczuwa agentkę? Tak. Skupiła się na niej i... Chwileczkę. Reid oddalała się od drzwi, jej myśli były bardzo chaotyczne, ale chyba nic się jej nie stało. Czyżby nieznany demon zmodyfikował jej wspomnienia?

Za późno, by się zastanawiać i rozważać implikacje. Drzwi stanęły otworem, uderzyły w ścianę, odbiły się od tynku tak, że po sali rozeszło się echo.

A potem zapadła cisza. Śmiertelna cisza. I jeszcze tylko wąska, makabryczna smuga na ścianie. Smuga krwi. Ludzkiej krwi.

Ledwie widoczny ruch w drugim krańcu, postać znikająca za rogiem. Agentka Reid. Co tu się dzieje? Czy jest ranna?

Ranna czy nie, ukryła się tak, że ochrona jej nie znajdzie. Megan miała dwa wyjścia, żadne nie było idealne. Z moralnego punktu widzenia powinna pójść za agentką i upewnić się, że nic jej nie jest - ale wtedy ją złapią. Mogła też zlekceważyć jej obrażenia i wrócić na bankiet jak gdyby nigdy nic.

Moralnie naganne, ale słuszne z jej punktu widzenia.

Zawahała się i zrobiła krok w przód. Pójdzie za nią, ale zachowa bezpieczną odległość. Nie pokaże się, ale gdyby Reid straciła przytomność albo...

Coś podcięło jej nogi, zanim jeszcze poczuła uderzenie. Ciało działało instynktownie, spięło się i przygotowało na atak.

Nie nadszedł. Poczowała natomiast czyjaś dłoń na włosach. Nozdrza wypełnił zapach róż tak intensywny, że jej oczy zaczęły łzawić bardziej wskutek zapachu niż bólu.



Ledwo widziała kremowe ściany i pędy powoju, a po chwili czyjaś dłoń wysunęła się, zacisnęła na ustach, wykręciła głowę Megan do tyłu. Walczyła, szamotała się, szarpała, ale oplatało ją ramię silne jak z żelaza, krępowało ruchy. Nie mogła wyplątać stóp z fałdów sukni.

Dzwoniło jej w uszach. Jak przez mgłę docierał do niej inny dźwięk - niski głos, szorstki jak papier ścierny. Nie rozróżniała słów, ale wyczuwała je. Wibrowały na jej nagiej skórze, przenikały do duszy. Magia. Na tyle długo znała Terę, by poznać to uczucie. Sama potrafiła trochę manipulować energią, ale to było, zanim związała się z Yezer. Ta więc utrudniała magię; energia demonów wpływała na eksperymenty i nadawała im dziwny przebieg, więc dała sobie spokój.

Ale nie zapomniła tego uczucia. I nigdy nie zapomni. A obejmujący ją mężczyzna - wiedziała to instynktownie - znał się na magii.

Wiedziałyby to nawet, gdyby nie wchłonęła ich ściana, która rozsunęła się nagle za plecami Megan. Kręciło jej się w głowie, nawet gdy już się zatrzymali. Wiatr targał włosy, przyciskał suknię do ciała. Wystarczyło jedno spojrzenie na gwiazdy, by do niej dotarło, gdzie jest. Gdzie są.

Na dachu hotelu Bellreive, piętnaście pięter nad ziemią. Napastnik trzymał ją mocno i nieubłaganie pchał w stronę krawędzi.

Chce ją zepchnąć. Cholera, zrzuci ją z dachu, tak jest, umrze i...

Nie! Walczyła ze wszystkich sił, szarpała się, kopała, wiała, próbowała wbić zęby w rękę zamykającą jej usta. Mężczyzna puścił Megan i zacisnął dłonie na jej szyi. Do licha, to jeszcze gorsze; dusił ją, nie mogła oddychać.

Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji, jakiś ratunek. Skraj dachu był coraz bliżej, wyraźny na tle panoramy miasta. Musi coś zrobić. Wiatr burzył jej włosy tak gwałtownie, że nie mogła się skupić. Oby przestał na chwilę, pozwalając jej zebrać myśli.

Napastnik powiedział coś, jego głos przecinał ciszę. Wiatr przybrał na sile. Przyzywał go? Zaklinał? Czarownicy są potężni, potrafią kontrolować żywioły tak, jak ona swoich słuchaczy. Manipulują energią. Ona czyta ludzi. Czarowników nie, ale przecież od dawna nie próbowała, prawda?

Poddała się, zwisła bezwładnie, spuściła głowę i ramiona. Nic nie mogła poradzić na rozszalały puls, choć bardzo się starała. Oba serca tłukły się wściekle, jakby wiedziały, co nadchodzi, i chciały wyrwać się z piersi, byle przeżyć. Cóż, jedno z nich może tego dokonać. Zignorowała tę myśl, usiłując stać się jak najcięższa, bezwładna, miękka jak stara lalka. Napastnik syknął ze zniecierpliwieniem i zatrzymał się, żeby objąć ją mocniej.

Zaatakowała. Nie ciałem, lecz całą swoją mocą. Ukuła z niej ostrze i wbiła w jego pierś.

Triumfalny wrzask w głowie Megan zagłuszył jego jęk. Wypełniał ją; nie umiała tego inaczej określić, zresztą to było bez znaczenia. Wypełniał ją mocą, światłem, czymś, co sprawiało, że chciało jej się płakać i śmiać.

Napastnik puścił ją, łapiąc się za pierś. Czują, że chce odepchnąć jej energię, jej duchowe ostrze, które nadal w nim tkwiło. Czują, że słabnie. Widząc, jak osuwa się na kolana, sama odwróciła się zwinnie, nie zwracając uwagi na wysokość, na jakiej się znajdowali. Gwiazdy świeciły nad jej głową, niosły błogosławieństwo. Wypełniła się nim, a on był coraz bliżej krawędzi dachu i...

Runie w dół, przez nią. Odbierała mu życie.

Przerażona, chciała się odsunąć, ale broń była zbyt potężna, nabrzmiała, rozwinięta, nie dawała się cofnąć. Złapała go za ramiona, chcąc odciągnąć od krawędzi, ale odskoczył jak oparzony. I może tak było; jej skóra płonęła tam, gdzie jej dotknął, czuła na ramionach jego energię. Syciła się nią. Była w nim uwięziona, przerażona i zachwycona zarazem. Przerażona zachwytem. To było cudowne, upajające i straszne. Zacisnęła zęby i skoncentrowała się na swoich tarczach, zmusiła je, by się zamknęły z głośnym, dźwięcznym trzaskiem. Usłuchały. Broń zniknęła. Mężczyzna, czarownik, kimkolwiek był - z jękiem usiłował wstać. Odepchnął ją- I to był błąd. Potknął się, zatoczył. Runął w dół. Nie krzyczał podczas upadku.

## Rozdział 8

AAuszę zadzwonić do... Spud, przestań, do cholery! -Odepchnęła jego dłoń z tuszem od swoich rzęs i łypnęła groźnie. Lampa za plecami otaczała jego głowę dziwną aureolą. - Nieważne, jak wyglądam, nikt mnie nie zobaczy poza Terą. A nawet jeśli, zostałam zaatakowana, omal nie zginęłam i... Może jestem szalona, ale uważam, że to usprawiedliwi rozmazany makijaż! - *Bryaela*, nie możemy... - O, nie. Żadna *bryaela*. Naprawdę mało brakowało, a zepchnąłby mnie z dachu, do jasnej cholery. A ja... -Niech to szlag. Nie mogła dokończyć zdania; znowu so-

bie przypomniawsza, jak się zywila jego energia. Jak wielk4 rozkosz jej to sprawialo.

- Zrobilas to, co konieczne - dokonczył za ni4. Stał w odleglosci pól metra z rękami splecionymi na piersi. Bryza rozwiewala mu włosy. Ściagn4ł brwi. Po początkowym odruchu, by j4 przytulic, odsun4ł się. I dobrze. Gdyby znowu jej dotkn4ł, rozsypalaby się na kawalki, a tego nie chciała. Jeszcze nie. Działania Vergadering - organizacji czarownic, dla której pracowala Tera - byly tajne, ale domyslala się, że gdy zjawi się przyjaciółka, powinna miec w sobie gniew i strach.

Na wszelki wypadek. Nie wiedziala, czy to w ogole potrzebne.

Nie odpowiedziala. Powtorzył:

- Zrobilas, co konieczne, Meg. Albo ty, albo on. Postapilas slusnie.

Cholera.

- Nieprawda.

- Owszem, prawda. W przeciwnym razie nie zylabyś juz, co z pewnośc4 nie bylyby dobre.

Odruchowo spojrzala w lewo, w miejsce, gdzie upadł napastnik. Co chwila zerkala w tamt4 strone; chodnik zdawal się lsnic.

- Zabilam go.

- I dlatego jeszcze zyjesz. Nie chce byc gruboskórny, ale musimy wracac na bankiet.

- Nie mogę wrócic... Spud, jezeli jeszcze raz mnie dotkniesz, wsadzę ci to w...

- Spud, daj nam chwile. - Greyson zrecznie wpadł jej w slowo. - Poczekaj z Malleusem.

Spud wodził od jednego do drugiego wzrokiem posepnego basseta, w koncu jednak skin4ł głow4 i poczlap4ł do drzwi. Cholera. Sprawila mu przykrosc.

- Meg. Musimy wracać. Natychmiast. Zanim inni zaczną się zastanawiać, co się dzieje.
  - Ale...
  - Nie. Musimy. Stało się kilka rzeczy. Albo czarownik zaatakował cię z własnej woli, w takim wypadku nie ma sensu alarmować pozostałych, albo ktoś mu za to zapłacił, a wtedy...
  - Jedyнным sposobem, by wyprowadzić go z równowagi, jest udawać, że nic się nie stało - dokończyła.
  - Właśnie.
  - A jeśli nie działał z własnej woli? Jeśli wynajął go ktoś, kto chce mnie zabić, ale nie jest to jeden z Gretneg?
  - I znowu, jeśli nie wrócisz na bankiet, okażesz słabość. Miętkość. Podsuniesz im pomysły, jeśli jeszcze na nic nie wpadli. Skarbie, oni wykorzystają każdą słabość. Każdą. Proszę, wróć ze mną do stołu.
- Zawahała się. Wiedziała, że ma rację. Ale jak, na Boga, ma wrócić do stołu i jeść dalej, jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie stało? A co z...
- Co z ciałem?
  - Poprosiłem Cartera, żeby się tym zajął. - Widząc jej minę, wyjaśnił: - Ukryje je, póki nie zdecydujemy, co robić. Na razie go nie spali.
- Nie spodobało jej się to „na razie”, ale w tej kwestii niewiele miała do powiedzenia.
- Nadal uważam, że powinniśmy skontaktować się z Terą.
  - Więc zrób to. Zaraz po kolacji zadzwonisz, do kogo chcesz. Ale musimy przez to przebrnąć. A raczej ty musisz przez to przebrnąć. Wiem, że dasz radę. Chodźmy. - Przyciągnął ją do siebie, zamknął w bezpiecznym kręgu ramion. Musnął ustami jej włosy.
- Chciała zadzwonić do Tery, wrócić do pokoju, schować się pod kołdrą i płakać. Zabiła człowieka, a co gor-

sze, sprawiło jej to przyjemność. Może nie sam akt, ale to, co działo się przedtem.

Przywykła już do dręczących ją czasami dziwnych zachcianek. Przywykła, delikatnie mówiąc, do wymiany energii z Greysonem, tak więc nie szukała negatywnej energii u ludzi. Czy raczej energia jej i Greysona łączyła się z wielu powodów, lecz troska o innych nigdy do nich nie należała. Zresztą i tak potrzebowała niewiele energii.

Przywykła także do faktu, że poborowi energii towarzyszy wspaniałe uczucie. Ale to, co zrobiła...

Zaatakowała i ukradła... Obrzydliwe.

Musiała zabić. Ale nie musiało jej się to podobać.

Wzdrygnęła się, objęła Greysona w tali. Stali tak przez długą chwilę, czuła przy sobie jego ciepło i moc. Objął ją ciaśniej. Później. Później o tym pogadają.

Dzwonek jego komórki wyrwał ją z zadumy, gwałtownie rozerwał ich dłonie. Greyson odsunął się o krok i przyłożył aparat do ucha.

- Carter. Co... Co? Jesteś pewien? Dobrze. Cholera. Tak, wracaj tutaj. Zaraz przyjdziemy.

Co się stało? Malleus i Spud zaatakowali ją szminką i pudrem, ale gdy Spud opuścił swą wielką dłoń, zobaczyła, że Greyson gapi się na komórkę, jakby zapomniał, do czego służy.

- To bez sensu. - Pokręcił głową.

- Co?

- Nie ma ciała.

- Co? Au! - Odruchowo pochyliła się w przód i Malleus niemal wyrwał jej pęk włosów.

- Wybacz, pani, ale nie powinnaś się ruszać, kiedy...

- Nie ma ciała - powtórzył Greyson. Wsunął telefon do kieszeni i pokonał dzielącą ich odległość. -

Carter szukał wszędzie.

- Co to oznacza? - Nic dobrego, tego była pewna. Chociaż... - Nie zabiłam go?

- Jesteś pewna, że runął z dachu? Pytanie.

- Obserwowałam go.

- Aż do samego dołu? Widziałaś, jak runął na chodnik?

No... Nie. Nie mogłam. Widziałam, że runął z dachu.

- Widziałam, jak się zatoczył i spadł, zniknął za krawędzią. .. - wzdrygnęła się.

Malleus dotknął jej ust i dzięki magii szminka przywarła do warg. Nie zwracała na to uwagi. Jeśli tamten czarownik żyje, jeśli go nie zabiła... Co za ulga. Tak to odbierała, póki sobie nie uświadomiła, że jeśli nie zginął, nadal będzie na nią polował.

Greysonowi chyba w tej samej chwili przyszła do głowy podobna myśl.

- Nigdzie sama nie pójdziesz. Nigdzie. Musimy mieć... Hm. - Spojrzał na zegarek. - Wracamy na bankiet. Później o tym porozmawiamy. A tymczasem nic się nie stało. Wymyślimy coś w windzie.

Na deser podano smakowite i sycące czekoladowe cudo z malinami. Megan nie mogła zjeść całej porcji. Nawet gdyby jej żołądek był w stanie gotowości, nie dałaby temu rady.

Uporała się natomiast z drinkami. Wieloma. Jedną z zalet nadmiaru energii, jaką odebrała napastnikowi, był fakt, że mogła pić jednego za drugim i czuła jedynie przyjemny szmerek w głowie. Nazajutrz pewnie słono za to zapłaci, ale w tej chwili nic jej to nie obchodziło. Wszyscy wstali od stołu i zaczęli się rozchodzić. Kolacja dobiegła końca. Bogu dzięki, że kolacja dobiegła końca.

Wkrótce będzie mogła uciec do pokoju i tam zastanowić

się, co dalej. Czy raczej starać się zrozumieć, co się dzieje i co może nastąpić.

Luksusowe wnętrza potęgowały wrażenie nierealności. Co ona tu porabia? Owszem, przyznaje, że w ciągu minionych jedenastu miesięcy przywykła do luksusu. Zresztą co w tym dziwnego, skoro co tydzień spędzała każdy weekend i parę nocy w tygodniu w luksusowej rezydencji? Takiej prawdziwej, ze służbą. Jej sztuczna biżuteria powoli pokrywała się kurzem, teraz nosiła prawdziwe brylanty, szafiry i rubiny - prezenty od bardzo bogatego kochanka.

Ale nie przywykła do takich jadalni. To coś więcej niż elegancka restauracja czy Ieuranlier. W całej sali wibrowała energia, zewsząd dobiegały głosy i śmiechy demonów. Miała wrażenie, że gra rolę w dziwnym przedstawieniu. Obserwowała, jak Greyson koniuszkiem palca zapala papierosa Justine. Patrzyła, jak Winston i jego córka dolewają do swego wina odrobinę krwi z piersiówki. Stała w pomieszczeniu pełnym demonów tuż po tym, jak pochodzący z innego świata czarownik usiłował ją zamordować. Myślała, że go zabiła, ale jego ciało znikło bez śladu.

Brian skomentował kiedyś łatwość, z jaką przyjęła informację o istnieniu demonów. Wcale jej to nie zmartwiło, raczej poruszyło. Potem zrozumiała, że wynikało to w dużej mierze z tego, że podświadomie pamiętała. Pamiętała, że opętał ją Oskarżyciel, pamiętała wszystko.

Co jednak nie tłumaczy, dlaczego wciąż jeszcze tu stoi i wcale nie rozpacza, że ktoś usiłował ją zabić. W dodatku nie jest głęboko przejęta tym, że choć wiele ją kosztowało zadanie śmierci, znacznie bardziej niepokoi ją fakt, że chyba nie do końca jej się to udało.

Stąd poczucie nierealności. Stąd wrażenie, że jest śledzona, że obserwują ją oczy ukryte za pięknymi,



porośniętymi bluszczem ścianami, przypatrują się jej z wylotów klimatyzacji. Jej skóra drżała. Czuła się całkiem obnażona.

Nie było jej lepiej, ani odrobinę. Wstała, podeszła do Greysona i uśmiechnęła się, widząc Roca na jego ramieniu. Obaj byli pogrążeni w rozmowie z Carterem; domyślała się, że omawiają to, co ją spotkało, ale nie czuła się speszona. Sama ich bliskość dodawała jej sił.

Leora Lawden stanęła przed nią z nieśmiałym uśmiechem na ładnej buzi. Dziwne, Megan nigdy nie przypuszczała, że rysy Winstona mogą dodawać dziewczynie urody, a jednak tak właśnie było.

- Megan - zaczęła - miałam nadzieję, że porozmawiamy.

Megan uśmiechnęła się sztucznie, pohamowała odruch, by spojrzeć tęsknie na Greysona i Roca. Leora to zobaczy, a biedaczka wydawała się tak bardzo... nie na miejscu i zarazem pełna zapału. Ile może mieć lat? Najwyżej dwadzieścia parę.

- Oczywiście. Coś się stało?

- Nie, ja tylko... - Leora usiadła za stołem. Megan poszła w jej ślady. - Mój ojciec zawsze wyraża się o tobie w samych superlatywach i uznał, że to dobry pomysł. Chyba sądzi, że łatwiej się z tym wszystkim uporam, jeśli z kimś porozmawiam. A z tobą byłoby najlepiej.

- Miło mi. - Megan nie wiedziała, co jeszcze mogłaby rzec. - Lubię twojego ojca.

Leora poczerwieniała.

- Jest cudowny, tyle dla mnie zrobił...

- Uwaga, moi drodzy! - O wilku mowa. To znaczy, o demonie. Winston Lawden wzniosł kieliszek. - Zjedliśmy pyszną kolację, przed nami tydzień ciężkiej pracy, ale chciałbym, żebyśmy oddali hołd temu, którego już nie ma. Wznieśmy toast za Templetona Blacka. Cześć jego pamięci.

- *Alri neshden* Templeton Black - zabrzmiało ze wszystkich stron. Wszyscy wzniesli toast. Wszyscy poza Greysonem.

## Rozdział 9

Dlaczego nie wypieś za Templetona? - zapytała, gdy wrócili do swego pokoju.

- Co? Och. To byłoby niewłaściwe, przecież zająłem jego miejsce. Okazałbym brak szacunku.

- Naprawdę? Cóż. - Lekko wstawiona i nadal zmęczona, odwróciła się tyłem, żeby rozpiął jej sukienkę i, jak zawsze, lekko pociągnął za stanik. Zawsze ją to bawiło, ale dzisiaj miała ważniejsze sprawy na głowie. - Posłuchaj... Chciałabym zadzwonić do Tery.

- Uważam, że to dobry pomysł. Mało brakowało, a upadłaby.

- Co?

- Co? - Odwiesił koszulę, sięgnął do paska. - Skoro naprawdę polował na ciebie czarownik, zaangażowanie Tery jest rozsądnym posunięciem. Może ona wie coś, o czym nie mamy pojęcia. Może wytropi go w jakiś nieznany nam sposób.

- Ale...

- Żadne ale. Nie bawię się w żadne gierki, moja droga. Ktoś chce cię zabić. Nie obchodzi mnie, z kim będziemy musieli się zadawać i co zrobić, żeby dowiedzieć się, kto to jest.

Mówił to, odwróciwszy się, by zmienić spodnie wieczorowe na zwykłe, czarne. Nie widziała jego twarzy,

lecz i tak wyczuwała emocje kryjące się za słowami. Znieruchomiała, zaplątana w jedwabną koszulkę nocną.

- Ty... Naprawdę tak myślisz.

- Oczywiście. A myślisz, że nie powinienem?

- Nie... Tylko jestem zaskoczona.

Może to z jej strony nie fair, ale naprawdę była. Przecież wiedziała, że jest dla niego ważna; miała tego świadomość. Ale czy na tyle ważna, żeby włączać czarownice w sprawy demonów? W obecności tyłu Gretneg? Z własnej woli zadawać się z czarownicą?

I akurat z Terą. Może jest najlepszą przyjaciółką Megan - chociaż „może” jest tu całkowicie zbędne - ale ma trzy siostry, z których liczy się tylko jedna. Lexie. A Lexie jest ważna, bo przez pewien czas umawiała się z Greysonem i ten romans nie zakończył się dobrze. Megan obilo się o uszy to i owo - zaklęcie rzucone na jego samochód i widmo śmierci. Wiedziała też, że opowieści o Lexie w obecności Greysona bawiły Terę, która nie należała do osób szczególnie empatycznych i taktownych.

Ale namawiać ją, żeby do niej dzwoniła?

- Naprawdę się martwisz - stwierdziła. Koszula nocna poruszała się delikatnie, otulała jej nogi czarnym jedwabiem. Tylko ona poruszała się w pokoju.

Greyson podniósł wzrok na Megan i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Jego ręce zwisały swobodnie wzdłuż boków.

- Tak.

- Ja też.

Jego usta drgnęły w uśmiechu.

- Wyobrażam sobie. Dzwon do Tery. Zamówię coś do pokoju. Na co masz ochotę?

Owszem, chciała. Niewyobrażalne, że poczuła głód, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej powszechnie znany sła-

by żołądek. A jednak. Chciała jeść. Chciała wielu rzeczy. Dotarło do niej, że otarła się o śmierć i wyszła z tego bez szwanku - przynajmniej fizycznie. A także, że zwyciężyła, a zwycięstwo jest powodem do radości.

Może to okropne, ale też bardzo normalne, co powiedziała by każdemu pacjentowi, który zgłosiłby się do niej z takim problemem. Taka jest natura ludzka.

Rano, co do tego nie miała wątpliwości, poczuje się okropnie. Ale tutaj, teraz, razem z nim przeglądała kartę dań z nadzieją, że jedzenie okaże się równie smakowite jak na bankiecie (miała dość doświadczenia z serwisem hotelowym, by nie liczyć na tę samą jakość), wiedząc, że wkrótce znajdą się w wielkim białym łóżku... Po prostu cieszyła się, że żyje.

Nawet jeśli ktoś ją ściga. Nawet jeśli FBI... O cholera.

- Greyson, widziałam dzisiaj tę agentkę FBI. W holu. Pamiętasz, to z jej powodu wyszłam.

- Jest tutaj? Skinęła głową.

- Cholera. - Usiadł na łóżku, trzymając w ręku kartę dań. - Chociaż właściwie... Może to wcale nie taka zła rzecz. Jeśli jest sama...

- Nie, poczekaj. - Usiadła obok niego. - Jest sama, przynajmniej w holu była sama. Ale czarownik, czy ktokolwiek to był, ją także zaatakował. Właśnie wtedy wyszłam z sali balowej. Wydawało mi się, że nic jej nie jest. Była trochę otumaniona. Szła przez hol. Ruszyłam za nią i wtedy on mnie złapał.

Greyson przytrzymał ją za ramię mocno, szybko, jakby chwycił go skurcz.

- Odeszła sama?

- Tak, ale to bez sensu, prawda? Gdyby mnie ktoś zaatakował, nie odeszłabym ot tak.

- No właśnie. - Umilkł na chwilę, wpatrzony w menu. - Ale czarownik mógł rzucić na nią urok. Może nie czuła ran, które jej zadał - jeśli do tego doszło - może w ogóle nie pamiętała, co się działo, dlaczego poszła. Co z naszego punktu widzenia nie byłoby takie złe.

- Greyson...

- Co? Nic nie poradzę, że sprzyja nam to, iż agentka zniknie albo straci pamięć - tym sposobem czarownik odwali za nas brudną robotę. Ale... do cholery!

Pokręcił głową. Megan, przyzwyczajona do jego koncentracji, nie przerywała milczenia.

- Jeśli ją zabił - zaczął - albo zranił na tyle poważnie, że znajdą ją martwą, możemy mieć kłopoty.

Megan wstała z westchnieniem, zdjęła koszulę nocną i sięgnęła po dżinsy. Greyson już otwierał drzwi sypialni i wołał braci czekających w drugim pokoju.

Zaledwie chwilę zajęło im wydobycie numeru pokoju agentki Reid od bardzo podatnego na sugestie recepcjonisty, wkrótce mieli także klucze. Mieszkała na czwartym piętrze w jednym z mniejszych pokoi jednoosobowych.

- Można się było tego spodziewać - mruknął Greyson, wsuwając klucz do zamka. - FBI nie zapłaci za droższy pokój.

Według Megan pokój był dobry, a nawet więcej niż dobry. Z pewnością bił na głowę wszystkie motele przy autostradzie. Z drugiej strony, ona nie dorastała w Georgetown, obserwując, jak rodzice wieczorem stroją się na bal.

Malleus i Maleficarum weszli pierwsi, Spud został na zewnątrz na czatach. Roc przesłuchiwał demony, które wcześniej przepuściły agentkę Reid: chciał się dowiedzieć, czy może coś zauważyły. Miał się z nimi spotkać później.

Pokój okazał się pusty. To znaczy, nie było w nim ani człowieka, ani ciała. Na rozestłanym łóżku leżały opakowania po hamburgerach, podłogę pokrywały papiery. Ubrania zwieszały się z oparc krzesel, poniewierały na wykładzinie.

- Fúj. - Megan skrzywiła się i minęła tłuste opakowanie po hamburgerze. - Dziwnie pachnie. Chyba... Krwią. Nie krwią demonów. Nie wyczuwała charakterystycznego dymnego zapachu, nie słyszała w powietrzu szeptu mocy. Megan nigdy nie próbowała krwi demona, choć już kilka razy pozwalała, by demony piły jej krew; nie zawsze z własnej woli. Ale znała tę woń. Pociągała ją; to część demona w niej, dziedzictwo demonicznej części w sercu.

To ludzka krew. Do tego zaschnięta.

Megan wraz z pozostałymi zajrzała do łazienki i złapała Greysona za rękę tak mocno, że obawiała się, że połamie sobie paznokcie.

Krew. Wszędzie krew. Smugi na lustrach. Plamy na podłodze. Nasiąknięty ręcznik na umywalce; szkarłatna plama na białej glazurze.

- Boże. - Głos jej się łamał. - Ile tego.

- Prawdę mówiąc, wcale nie tak dużo - odparł Greyson. Nakrył jej dłoń swoją. - Czasami odrobina krwi sprawia koszmarnie wrażenie. Zresztą nie ma ciała. Ani krwi poza pokojem.

- Jak to możliwe?

Wzruszył ramionami; czuła przez materiał koszuli grę jego mięśni.

- Chyba się umyła.

On i bracia obchodzili pokój, podnosili dokumenty, chowali je do wielkiej torby Malleusa. Greyson spojrzał na Megan.

- To jej akta. Na nasz temat.

No tak. Czy raczej, nie tak, ale nieważne. Nie miała tu nic do powiedzenia poza tym, że powinni się pośpieszyć, ale i bez tego poruszali się szybko.

- Więc gdzie ona jest? Skoro nie umarła, a nie ma jej tutaj...

Greyson podniósł spod biurka ostatni arkusik i podał Malleusowi.

- Nie mam pojęcia.

- Może będą wiedzieć w recepcji - podsunął Malleus. - Może tamtędy przechodziła.

I wtedy Megan dostrzegła to, co umknęło ich uwagi. Schyliła się i podniosła z podłogi klucze, mało widoczne pod narzutą.

- Zostawiła klucze do pokoju, więc albo ma drugie, albo...

Odnalazła wzrok Greysona. Miał ciemne kręgi pod oczami; ona sama pewnie wygląda o wiele gorzej. Skinał głową.

- Chodźmy do recepcji.

## Rozdział 10

Wiała chłodna bryza, ten podmuch aż za bardzo przypominał jej niedawny koszmar na dachu. Wiatr, który przywołał, jak mógł... No tak. Głupie pytanie. Czarownice mogą niemal wszystko. Zwykła postrzegać siły jako poszczególne umiejętności, których nie sposób ubrać w słowa; demony ognia, jak Greyson, mogą wszystko spalić, mają też pewne zdolności parapsychiczne, ale nie są w stanie czytać ludzi jak ona czy demon duszy.

Jednak takie ograniczenia nie dotyczyły czarownic. Ich domeną były energia i molekularna struktura świata, toteż mogły oddziaływać na prawie wszystko. Między innymi dlatego tak przestrzegały hierarchii.

Tera odebrała po trzecim dzwonku.

- Cześć! Myślałam, że wyjechałaś. - Wydawała się bardzo radosna o pierwszej w nocy, pewnie jeszcze nie spała; Tera chyba nigdy nie sypiała.

- Bo wyjechałam. - Megan zagryzła usta i z lekkim poczuciem winy odwróciła się tyłem do Spuda, który towarzyszył jej na zewnątrz. - Mam tu... mały problem i chciałam zapytać, czy mogłabyś przyjechać do hotelu Bellreive.

Chwila milczenia.

- Jaki problem? Nic ci nie jest?

- Nie, nic mi nie jest, ale chyba ktoś chce mnie zabić. Przydałaby mi się twoja pomoc.

- Jeden z demonów? Mam sprowadzić wojsko? Ilu?

- Nie, nie rób tego. - Megan najchętniej przewróciłaby oczami na myśl o Terze sprowadzającej uzbrojone czarownice do ekskluzywnego hotelu, ale pohamowała się. Szczerze mówiąc, ta propozycja sprawiła, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Bo Tera zrobiłaby to natychmiast.

- Chodzi o to, że... Słuchaj, Tera, nie wiem, jak ci powiedzieć, ale wydaje mi się, że to czarownik.

Przynajmniej próbował. Chciał mnie zepchnąć z dachu.

- Nie. Niby dlaczego ktoś z nas miałby cię zabijać? Spychać z dachu? Mógłby cię zabić, ot tak, przecież wiesz. Jest tyle prostszych sposobów. Nie musimy uciekać się do...

Megan się wzdrygnęła.

- Wielkie dzięki za przypomnienie. Ale to nie był demon, zastosował magię. Najpierw dzięki zaklęciu



znaleźliśmy się na dachu, potem przywołał wiatr. Spotęgował jego siłę.

- Cholera. - Tera umilkła na tak długo, że Megan zaczęła podejrzewać, iż się rozłączyła. - Magia pogody jest trudna. Musi mieć ogromną moc. Jakim cudem udało ci się uciec?

Wy tłumaczyła.

- Ale nie ma ciała - dodała. - Nie ma zwłok. Więc jeśli... Proszę cię. Naprawdę jesteś nam potrzebna. Możesz przyjechać? Na kilka dni?

- Nam?

- Greysonowi i mnie. Bardzo prosił, żebym do ciebie zadzwoniła. To znaczy, powiedziałam, że chcę to zrobić, a on uznał, że to dobry pomysł i że powinnaś tu być.

- Greyson chce, żebym przyjechała?

- Tak.

- I zatrzymała się w tym samym hotelu?

- Tak.

- O rany. To naprawdę poważna sprawa.

Megan, przygotowana na kolejne słowa czarownicy, uśmiechnęła się pod nosem. Greyson przewidział jej reakcję i Megan odpowiadała na jej pytania zgodnie z jego wytycznymi:

- Tak, zapłaci za twój pokój. Tak, duży pokój, co najmniej dwójkę, stara się zarezerwować pokój z widokiem na jezioro. Tak, pokryje wszystkie koszty twojego pobytu. Tak, wszystkie. Nawet płatną telewizję. Minibarek i sklepy, oczywiście. Nie, nie muszę się upewniać. Powiedział, że wszystkie, i tak właśnie myśli.

W końcu Tera stwierdziła:

- Wiesz, że przyjechałabym niezależnie od wszystkiego, prawda?

- Wiem.

- Ale skoro proponuje, że zapłaci, chcę się upewnić, co wchodzi w grę. W końcu demony są znane z tego, że często usiłują się wykręcić od złożonych obietnic.

- Jasne. - Megan zajrzała do środka. Recepcjonista rozmawiał przez telefon; Malleus przechwycił jej wzrok i triumfalnie uniósł kciuk. Był jedyną znaną jej osobą, która nadal to robiła.

- No dobrze. Będę za jakąś godzinę. W którym jesteś pokoju?

- Tysiąc czterysta... Chwileczkę.

Przeszklone drzwi rozsunęły się cicho. Mężczyźni weszli na ciemnozielony chodnik.

- Agentka pojechała do hotelu Windbreaker - oznajmił Greyson.

Nie był tym zachwycony; wyczuwała jego napięcie. Właściwie nic dziwnego, że jest spięty. Ze wszystkich miejsc, do których mogła zawędrować agentka FBI, to akurat nie przyszłoby Megan do głowy.

- Tam, gdzie odbywają się egzorcyzmy? Skinął z ponurą miną.

- Powiedziała recepcjoniście, że musi pomóc wielebnemu Jak-Mu-Tam uwolnić świat od demonów.

Trudno sobie wyobrazić kontrast większy niż ten, jaki był między hotelami Bellreive a Windbreaker.

Hol Bellreive, przestronny, jasny, wyłożony marmurem, witał gości dźwiękiem dzwonek i uśmiechami boyów w liberiach; hotel Windbreaker straszył brudem i warkotem przestarzałej

klimatyzacji. W recepcji, taniej i obskurnej, nie było nikogo. Pod sufitem migotała żółtawa lampka.

- Musimy obudzić recepcjonistę - mruknął Greyson. - Wątpię, by wielebny zaklinał teraz węże. Na pewno jest u siebie.

- Trzeba było poczekać na Terę. - Megan objęła się ramionami; wibrowanie u nasady czaszki narastało. Coś tu jest nie tak, i to bardzo. Wyczuwała w tym budynku... pustkę.
- Roc ją przyprowadzi - odparł. Zastukał w blat recepcji. - Jeśli nasza agentka znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lepiej nie marnować czasu. W tym tygodniu mamy dość zajęć, nie trzeba nam jeszcze policji na głowie.
- Jasne. - Gęsia skóra nie znikwała, choć Megan rozcierała sobie ramiona. Nie ma przecież powodów do zdenerwowania, prawda? Bez względu na to, czym jest ta dziwna pustka, nie stanowi zagrożenia. Bracia otaczali ją i Greysona, pewni siebie, przygotowani. Nie sądziła, by mucha przemknęła obok nich niezauważona, nie mówiąc o czymś większym. Malleus pochwycił jej rozbiegane spojrzenie.
- Nie denerwuj się, pani. Przy nas nic ci nie będzie.
- Oczywiście.
- Greyson ponownie zastukał w kontuar.
- Co za dziura.
- Poczuła recepcjonistę, zanim go zobaczyła. Emocje i myśli uprzedziły jego wejście. Chwileczkę. Jakim cudem to poczuła? Nie otworzyła się na niego przecież. Nie koncentruje się. Zazwyczaj, żeby wyczuć innych, musiała opuścić tarcze. Jak wtedy, gdy agentka Reid i cza... Nie. Nie to czuła; nie takie odniosła wrażenie. Myślała, że to demon. Ale dlaczego? Recepcjonista, potężny facet z łupieżem na tandetnym garniturze i wyrazem twarzy człowieka, który spał jak kamień, wycłapał zza ściany.
- O co chodzi?
- O ile mi wiadomo, macie tu gościa nazwiskiem Walther. Wielebny Walther.

- Człowieku, nie mogę udzielać takich informacji. Nasi goście...

Greyson się pochylił, Megan czuła jego moc przenikającą powietrze.

- Chyba jednak możesz - powiedział miękko. - Podaj nam numer jego pokoju. Tylko o to mi chodzi.

Chyba nie proszę o zbyt wiele? Nie, skądże. Tak właśnie powinieneś postąpić. Więc powiedz mi...

Chwila ciszy i moc Greysona w powietrzu. Megan zadrżała nie tylko pod wpływem jej siły. Właśnie tę siłę czuła podczas wielu nocy spędzonych z nim w sypialni we dwoje, jej ciało reagowało instynktownie.

Wolną ręką pogłaskał ją po ramieniu. Dotyk niósł obietnicę, czuła, że kusi i jego, ale nie patrzył na nią. Zdawała sobie sprawę, że nie może. Gdyby przerwał kontakt wzrokowy z recepcjonistą, straciłby nad nim kontrolę.

- Pokój trzysta trzydzieści trzy - powiedział w końcu recepcjonista rozmarzonym głosem człowieka śniącego na jawie.

- Miał dzisiaj jakichś gości? Ktoś o niego pytał?

- Kobieta, jakieś pół godziny temu. Wielebny po nią wyszedł. Razem wrócili do jego pokoju.

- Wyszła już?

- Nie widziałem.

- Dziękuję. Teraz możesz spać dalej.

Trzask mocy. Greyson się odwrócił. Recepcjonista począpał za przepierzenie, a oni skierowali się do windy.

Megan zatrzymała się w połowie drogi. Pustka była tu silniejsza, odebrała to, jakby wkroczyła w zimny strumień przeciągu.

- Chwileczkę.

Stali przed zwykłymi brązowymi drzwiami. Tabliczka przy framudze informowała, że jest to wejście do Sali Kwiatowej, balowej.

- Co jest? - Jeszcze zanim doszli do recepcji, wziął ją za rękę. Teraz uściskał jej dłoń. - Pobladaś, *bryaela*. Wszystko w porządku?

- Tak, tylko... dziwnie się tu czuję.

Przyglądał się jej uważnie, przemknął wzrokiem po twarzy, zatrzymał się na oczach.

- Chcesz tam wejść?

Nie, wcale nie chciała, ale nie zamierzała się do tego przyznać. Nie bała się, nie do końca. Nie ze strachu jej serce biło coraz szybciej. Nie, to wszystko sprawiają pustka i poczucie nicości. Od dawna tego nie czuła. A raczej nie czuła tego nigdzie poza Ieuranlier Sorithell, domem pełnym nieprzeniknionych dla niej demonów.

Nigdy nie czuła tego w zwyczajnym, ludzkim świecie.

Skinęła głową. Jednakże robiąc ten gest, miała świadomość, że być może pchają się w pułapkę, co jednak nie wpłynęło na zmianę jej decyzji.

- Pokój wydaje się pusty.

Podniósł wzrok na braci. Zanim Maleficarum otworzył drzwi, ciszę przeciął zgrzyt sztyletów wyciąganych z kieszeni.

Pokój nie był pusty.

Co jest, do cholery?

Jakim cudem nie zdołała ich wyczuć? To tylko ludzie. Troje pracowników hotelu sprzątało salę balową: dwie pokojówki i chyba złota rączka. Podnieśli głowy, słysząc, że drzwi się otwierają. Za plecami wyczuła gorączkowe poruszenie - to bracia chowali sztylety.

- Słucham państwa.

Mężczyzna wyjął śrubokręt z kieszeni. Bracia zeszywnieli, ale on nic z nim nie robił, tylko trzymał. Za jego plecami druty i kable zwisały niebezpiecznie z wykręconego kinkietu na ścianie.

- Szukamy wielebnego Walthera - oparł Greyson gładko, jakby wiedział, że w sali balowej ktoś będzie.

Ludzie, których nie wyczuła, których uczuć nie mogła odczytać.

- Teraz go nie ma. - Mówiąc to, jedna z pokojówek wzięła krzesło i zaniósła je na stertę pod ścianą.

W sali niedawno musiało się odbywać jakieś seminarium - stał tu stół i rząd krzeseł. Mniej więcej połowa krzeseł znalazła się już pod ścianą, gdzie miały czekać do jutra. Tak przynajmniej zakładała.

- Niech mu Bóg błogosławi - odezwała się druga pokojówka. - Pewnie jest wyczerpany po tym, czego dziś dokonał: Żałujcie, żeście tego nie widzieli. Był wspaniały.

- Anioły mu błogosławią - dodał elektryk.

- W życiu nie widziałam nic równie wspaniałego. - Pierwsza pokojówka wróciła po kolejne krzesło.

Gdy szła, światło odbiło się w jej wisiorku. - Naprawdę stoi za nim moc Jezusa.

- Mamy szczęście, że tu jest - mruknął elektryk.

- Jego obecność to dla nas błogosławieństwo - dodała druga pokojówka.

Megan i Greyson wymienili nerwowe spojrzenia. W jego oczach malował się niepokój; uciekł wzrokiem do pokojówki z krzesłami i pytająco uniósł brwi.

Megan popatrzyła w tamtą stronę, ale niczego nie zauważyła. Greyson wzruszył ramionami.

- Cóż, bardzo dziękujemy. O której jutro zaczyna się spektakl?

Elektryk zmarszczył brwi.

- To nie spektakl. On ratuje ludziom życie.

- Och, oczywiście. O której jutro zaczyna ratować życie?

Ten komentarz nie przypadł do gustu żadnemu z ludzi obecnych w pomieszczeniu, ale w końcu odezwała się pierwsza pokojówka:

- O jedenastej. Zaczyna o jedenastej i pracuje bez przerwy, aż wszyscy zostaną oczyszczeni.
- Aż pozbędą się demonicznej zarazy - dodała druga. Malleus zarechotał.

Usta Greysona zadrżały.

- Bardzo dziękujemy.

Ledwie zamknęli za sobą drzwi, demony zaczęły się śmiać. Megan rozumiała ich rozbawienie, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie radości.

- Dlaczego ich nie wyczuwałam? Greyson przestał się uśmiechać.
- Próbowaaś tam, w sali balowej? Kiedy mówili?
- Nie, ja... nie. Nie wiem dlaczego. Już wyciągał rękę do klamki.
- Chcesz spróbować jeszcze raz?

- Ostrożnie, lordzie Dante. - Malleus nie przestawał się uśmiechać. Wyglądał jak Dżoker. - Proszę uważać, tam trwa polowanie na demony.

Maleficarum poklepał go po plecach.

- A jakże! Chyba powinniśmy się bać... Kiedy demony grasują po świecie, nikt nie jest bezpieczny. Tym razem dostrzegła humor ich wypowiedzi, ale nie chciało jej się śmiać. Do tej pory nie była w stanie odczytać uczuć tylko tych ludzi, którzy w końcu okazali się demonami. Ale tych troje w Sali Kwiatowej to bez wątpienia ludzie. Od Bożego Narodzenia, odkąd jej moc spotężniała, z większą łatwością dostrzegła różnicę. Demony otaczała specyficzna aura mocy, której nie sposób wyczuć u ludzi.

Gdy o tym myślała, jeszcze coś przyszło jej do głowy. Nie. Istniał jeden człowiek, którego odczuć nie zdołała

przeczytać. I nie była to czarownica; czarownice stanowią trudny orzech do zgryzienia, ale mogła je wyczuć.

Przed świętami Bożego Narodzenia zadzwoniła słuchaczka krótko przed tym, nim rozpętało się piekło w związku z jej demonami i Ktana Leyak - demonem Leyak czy raczej demoniczną pramatką wszystkich Yezer. Słuchaczka dzwoniła, bo miała chyba kłopoty z matką - Megan nie pamiętała dokładnie. Nie pamiętałaby niczego, gdyby nie to, że uczuć słuchaczki w ogóle nie mogła odczytać. Megan podejrzewała wtedy opętanie. Ale może... Może dzieje się coś innego? Cholera. Ostatnie, czego jej trzeba, to zachwianie mocy.

- Dostyc tego - mruknął Greyson, ściągnął ją z powrotem na ziemię i poprowadził w stronę windy. - Musimy znaleźć tę agentkę i ustalić, co konkretnie planuje wielebny. Wcale mi się to nie podoba.

- Właśnie, na co konkretnie patrzyłeś? Znacząco uniosłeś brwi.

- Na naszyjnik pokojówki - odparł i wcisnął guzik przy windzie. - Nie zwróciłaś uwagi? Wyraźnie coś jest nie tak.

- Nie, niczego nie zauważyłam. A co? Drzwi windy rozsunęły się. Wsiedli.

- Miała wisiołek z gwiazdą Dawida.

## Rozdział 11

Nie... - zaczęła, ale zaraz ugryzła się w język. - Och. Żydzi zazwyczaj nie sławią Jezusa.



- Właśnie. Więc, jeśli nie zmieniała wiary i nie zapomniała o zmianie biżuterii, mamy mały problem.

Nie mogłaś przeczytać ich uczuć?

Przecząco pokręciła głową.

- Pomieszczenie wydawało się puste. Nie, nawet nie puste. To było coś gorszego, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wyczuwałam tam... nieobecność. Próżnię.

Winda zatrzymała się, drzwi rozsunęły, odsłoniły zwyczajny hol pełny drzwi. Wzorzysty chodnik przypominał Megan film *Lśnienie*.

Wszyscy stali przez chwilę, jakby otwarcie drzwi było wydarzeniem, którego nikt nie przewidział. W końcu bracia wysiedli, wyjrzeli zza rogu, sprawdzając, czy nikt nie czai się w ukryciu.

Greyson chwycił rękę Megan i pociągnął za sobą do holu. Mdłe światło nikło w jego włosach.

Wcześniej nie zauważyła, jak bardzo był zmęczony, a cienie pod jego oczami to nie tylko efekt fatalnego oświetlenia jarzeniówkami, które spowijały wszystko zielonkawą poświatą.

Była przekonana, że sama także wygląda koszmarnie. Czuła się bardzo zmęczona, miała wrażenie, że jej ręce i nogi ważą tonę. Fakt, że cudem uniknęła śmierci, też nie poprawiał jej humoru, a cała energia, którą dostała od czarownika na dachu, rozplynęła się, rozmyła w konfrontacji ze strachem, obawami i gorączkowym szukaniem odpowiedzi.

Nie liczyła, że znajdzie je akurat tutaj. To byłoby zbyt proste. Myśl, że wielebny Walther otworzy drzwi i zawoła: „Witam, moi drodzy! Od dawna chciałem panią zabić!” - to chyba zbyt naiwność. Z drugiej strony, wszystko wydawało się tak naciągane, że nie przekonywały jej nawet dowody - choć poszlakowe - widoczne gołym okiem.

- To na pewno byli ludzie - stwierdził Greyson.
- Może zostali opętani? Przeczaco pokręcił głową.
- Nie sądzę. W ogóle nie wyczuwałem w nich demonów. Widziałaś ich Yezer?
- Nie... nie. Ale przecież mają się ukrywać, więc to o niczym nie świadczy.
- Twoje Yezer mają się ukrywać. Jeśli należą do innej Meegra, nie muszą.

Fakt. Skinęła głową.

- Zapytam Roca.

Doszli do pokoju wielebnego Walthera - prowadziły do niego zwyczajne drzwi, takie same jak pozostałe, z ciemnego drewna. Przez szparę u dołu padała na próg smuga światła. Bracia rozstąpili się na boki. Greyson zapukał.

Po chwili z wnętrza padło pytanie:

- O co chodzi?

Cholera. Megan nie pomyślała, co mu powiedzą, jaki pretekst podadzą. Greyson owszem. Kiedy się odezwał, wychwyciła w jego głosie nutę wahania.

- Wielebny... szukamy przyjaciela. Zerknął na Megan i szepnął:

- Elizabeth...

- Szukamy naszej przyjaciółki, Elizabeth. Już jakiś czas temu zostawiła nam liścik z informacją, że wybiera się do wielebnego, i zaczęliśmy się niepokoić...

Nad smugą światła pod drzwiami przemknął cień. Drzwi stanęły otworem.

Megan nie była pewna, czego się spodziewała. Charyzmatycznego kaznodziei z płonącym wzrokiem i rozwianą brodą? A może oślizłego typu z wyżełowanymi włosami i fałszywym uśmiechem?

Wielebny Walther nie był ani jednym, ani drugim. Miał na sobie spraną niebieską piżamę; poły bluzy nie schodziły się na zaokrąglonym brzuchu. Na głowie sterczały siwe włosy. W małych piwnych oczach malowała się szczerą troską.

- To wasza przyjaciółka?

Megan nie czekała na odpowiedź Greysona, za bardzo pochłaniało ją opuszczanie tarczy, szukanie po omacku czegoś w polu psychicznym nieznanego.

Znalazła. Wnętrze kościoła. Głowy pochylone nad modlitewnikami. W domu żona i trzy córki w przesadnie skromnych, długich do kostek, zapiętych pod szyję sukniach. Niedzielna pieczeń. Kuchnia dla ubogich.

A pod tym wszystkim coś, co naprawdę ją przerażało: moc, która przyprawiała ją o lodowate dreszcze od czubka głowy po palce stóp. Nie dlatego, że była to moc demoniczna. Wielebny to fanatyk.

Szczerze wierzył w to, co robił, naprawdę uważał, że posiada moc wypędzania demonów, że Bóg tego od niego oczekuje. Gotów na wszystko, by sprostać temu zadaniu.

Greyson wspominał kiedyś, że Bóg chrześcijan ma niewiele wspólnego z demonami, że piekło nie istnieje, a idea walki dobra ze złem jest przestarzała i naiwna. Czy raczej, przestarzała i naiwna jest wizja walki dobra ze złem w kontekście religijnym i opierającej się na mocy Boga. Owszem, demony nie przepuszczą żadnej okazji, by zwieść człowieka na manowce, ale robią to dla zabawy i korzyści. Dla mocy. Nie dlatego, że nakazuje im to diabeł.

Walther wierzył w coś zupełnie innego. Bliskość osoby tak pełnej gniewu i buty budziła w Megan niepokój.

Wychwyciła coś jeszcze, ale to im nie pomagało. Nie wiedział, kim jest Megan. Wydawała mu się znajoma, ale nie poznawał jej. Nie wiedział, kim jest, nie miał pojęcia, czym są Greyson i bracia.

- Wyszła jakieś piętnaście minut temu - ciągnął Walther, gdy wróciła myślami do rzeczywistości. - Niestety, nic więcej wam nie powiem.

Megan głęboko zaczerpnęła tchu i ponownie zaczęła szukać w jego umyśle. Tym razem koncentrowała się na Elizabeth Reid.

Dobrze. Jest Elizabeth, ciemne zmierzwione włosy, oczy szeroko otwarte, puste. I... Chwileczkę. Nic jej nie jest. To znaczy nie do końca; wydawała się poruszona, zagubiona. Ale nie była ranna. Na odkrytych ramionach i szyi nie było żadnych ran.

Więc skąd się wzięła krew?

- Rozmawiałem z nią kilka minut temu i poprosiłem, żeby przyszła jutro.

- Kiedy odprawia pan egzorcyzmy - dokończył Greyson. .

- Kiedy Bóg za moim pośrednictwem przegania złe duchy - poprawił Walther.

- Oczywiście. Dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas.

- Niech wam Bóg błogosławi - mruknął Walther i zamknął drzwi.

W milczeniu wracali do windy. Megan miała ochotę na rozmowę; w jej głowie kłębiło się zbyt wiele myśli, zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Poza tym obawiała się, że Walther ich podsłuchuje. Wyobraziła sobie, jak nasłuchuje, przyciskając do ściany tandetny plastikowy kubek. To pewnie głupota, ale nie mogła się opędzić od tego obrazu i nie miała ochoty czytać go ponownie, by utwierdzić się w tych podejrzeniach lub całkowicie je rozwiązać.

Pozostali chyba dzielili jej niepokój, a może tylko ostrożność, bo Greyson odezwał się dopiero, gdy winda wiozła ich na dół.

- Cóż. Nie było to zbyt owocne.
  - Nawet jej tam nie było - sapnął Malleus.
  - Jak zdołała się wymknąć? A my jej nie zauważyliśmy?
  - Może wyszła innym wyjściem, a może uciekła, kiedy byliśmy w sali balowej. - Megan przytuliła się do Greysona. Objął ją ramieniem. - Tak naprawdę to bez znaczenia. Jest cała i zdrowa. Chyba nawet nie została ranha.
  - Widziałaś ją? Więc go przeczytałaś.
- Skinęła głową, nie unosząc powiek. Wyczerpanie coraz bardziej dawało się we znaki, kręciło jej się w głowie. Bez namysłu skoncentrowała się na więzi łączącej ją z Yezer. Poczowała przyływ energii, ale i tak chciało jej się spać.
- To świr. To znaczy, to fanatyk. Naprawdę wierzy w to, co robi. Ale nie jest zły. W każdym razie nie tak, jak Oskarżyciel.
  - Ale równie niebezpieczny. - Greyson objął ją mocniej. - Jak wszyscy fanatycy.
  - To bardzo pocieszające.
  - Hm. A jeszcze lepsze, że jutro wrócimy tu i obejrzymy jego spektakl.
  - No tak, przecież zwracała się do niego o pomoc. -Megan wyprostowała się i szeroko otworzyła oczy.
  - Mówiła, że może pomogą sobie nawzajem. Nie przedstawiała się jako agentka FBI. Wielebny nie miał pojęcia, kto do niego przyszedł. Czyli w jego oczach była kolejną osobą - jak ich określa - zbląkaną, szukającą duchowego wsparcia.
  - A nie powiedziała, jak może mu pomóc?
  - Nie. Kazał jej wrócić jutro rano. Obiecała, że przyjdzie.
- Z westchnieniem patrzył, jak drzwi otwierają się ponownie, a ich oczom ukazuje się obskurny hol.

- Jesteś pewna, że to, co ją zaatakowało, ścigało też ciebie?

- Nie. - Recepcjonista znowu spał. Hol wydawał się wielki, zimny, a przy drzwiach do sali balowej nadal wyczuwała pustkę. Megan mocniej uściśniła dłoń Greysona, który odpowiedział tym samym. - Nie, ale tak mi się wydaje. Zresztą, co to jeszcze mogło być? I... Och, miałam ci powiedzieć. Kiedy wyczułam ją i to, co mnie zaatakowało, wydawało mi się, że to demon, bo nie czułam niczego. Tylko pustkę, jak z tymi pokojówkami.

Rozpalone powietrze wpadło do holu, gdy Malleus otworzył drzwi, za którymi czekała noc; otuliła ich, ledwie wyszli na brudny chodnik.

- Jeśli Elizabeth podejrzewa, że zaatakował ją nieczłowiek, mamy o wiele poważniejszy problem - ciągnął Greyson. - Może wrócimy do jej pokoju? Usuniemy wszystkie wspomnienia z jej umysłu. Albo jeszcze lepiej, zrobi to Tera.

Megan się zawahała.

- Nie widziałam napastnika. Może ona tak.

- Więc najpierw ją przeczytasz. Może czegoś się dowiemy.

Miała rację, wiedziała to, ale była tak cholernie zmęczona; mimo upału miała lodowate dłonie, powieki jej opadały, a noc stała się ciągiem chaotycznych obrazów. Ciało spadające z dachu, ciemna sylwetka na tle panoramy miasta, chwila całkowitej ciszy, gdy była świadkiem czyjejś śmierci.

Tak przynajmniej jej się wydawało. I bardzo, wręcz chorobliwie cieszyła się, że sama nie zginęła.

- Nie możemy zrobić tego rano? Zatrzymał się, dotknął jej policzka.

- Aż tak jesteś zmęczona? Skinęła głową.

- Właściwie tak chyba będzie lepiej. Będziemy mieli na nią oko, może uda się... hm...

- Co?

Doszli już do samochodu - nie do jaguara Greyso-na, który został w hotelu, tylko SUV-a braci. Spud otworzył drzwiczki, zatrzasnął je za nimi i sam usiadł z tyłu. Malleus i Maleficarum zajęli miejsca z przodu. Megan już przywykła do uczucia, że ciągle jest pod obserwacją, a także do tego, że niektóre tematy muszą poczekać, aż znajdą się sami, bez braci. Teraz była jedna z takich chwil. Zapamiętała, co przyszło jej do głowy i że musi poruszyć tę kwestię później.

- Zastanawiałem się tylko - mruknął Greyson, gdy wyjeżdżali z parkingu. Klimatyzacja ożyła i Megan poczuła się trochę lepiej. Przynajmniej jej nogi nie przypominały już rozgotowanego makaronu; była bardziej al dente. -Niby dlaczego jakiś demon czy czarownica chcieliby się angażować w spółkę z tym kretyńskim kaznodzieją.

Megan także się nad tym zastanawiała, choć bardziej abstrakcyjnie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to najważniejsze pytanie, które powinna była zadać na samym początku. Odpowiedź, która się nasuwała, przyprawiła ją o zimny dreszcz i zdecydowanie ocuciła. Bez wielkiej nadziei zapytała:

- Dla zabawy?

Uśmiechnął się. W samochodzie było ciemno, więc nie widziała wyraźnie jego oczu, ale i tak je sobie wyobrażała, a w nich - połączenie rozbawienia i dumy, za każdym razem rozpalające ją do białości.

- Chciałbym, żeby tak było, ale jakoś w to wątpię.

- Więc dlaczego?

Odnalazł jej dłoń na siedzeniu, nakrył swoją, uścisnął, jakby nie chciał, by mu uciekła.

- Nie wiem. Ale się dowiem.

## Rozdział 12

Za obopólnym porozumieniem nie rozmawiali o tym więcej, wybierali lżejsze tematy, jak na przykład dyskusję, do której restauracji się wybrać, bo Megan przecież straciła kolację, a nie chcieli czekać na room service. Jedzenie dodało jej energii, podobnie jak telefon od Tery z informacją, że zameldowała się w hotelu i może zaraz przyjść. Jednakże Megan nadal była ledwo żywa. Umówiły się z Terą na jutrzejszy ranek. Megan wśliznęła się między prześcieradła na wielkim, niezwykle miękkim łożu. Może „ledwo żywa” to nie najlepsze porównanie. Wzdrygnęła się. Za panoramicznym oknem światła miejskie rozbłysły jak świece w jaskini. Otaczały ich, obserwowały.

Greyson zamknął ją w ramionach, przyciągnął do swojej gorącej piersi. Już przedtem wyłączyli termostat; nie sądziła, by był potrzebny; nie wierzyła, że cokolwiek pomoże jej się rozgrzać. Noc, poczynając od koszmarnych chwil na dachu, zdawała się trwać całą wieczność i zarazem ledwie mgnienie oka.

Nie mogła zasnąć ze zmęczenia, całe jej ciało wibrowało napięciem. Greyson także nie spał, oddech muskający jej włosy był zbyt szybki i płytki.

Przez chwilę rozważała, czy nie zrzucić koszulki nocnej. Niech Greyson oderwie jej myśli od tego wszystkiego. Potem pewnie łatwiej zasną. Ale... cholera. Nie chciała tego, uświadomiwszy sobie, że boi się, co się stanie, gdy coś rozproszy ich uwagę, gdy nie będą już spięci i czujni, gotowi ścigać wszystko i wszystkich, którzy naruszają spokój ich sypialni.



Nie byli tu bezpieczni. Nigdzie nie byli bezpieczni. Istota, która potrafi runąć z czternastego piętra, przeżyć i zniknąć bez śladu, dopadnie ich wszędzie. Jej ciało naprężyło się, gotowe zerwać się z posłania i ukryć, gdyby zmieniła się energia w pomieszczeniu, gdyby czarownik - jeśli to naprawdę był on - zjawił się tu nagle.

- Spud jest na balkonie. - Greyson odgarnął włosy z jej szyi. - Malleus w holu. Nie dopadnie nas. Odprężyła się trochę. Nie tylko dlatego, że ją uspokoił, ale także dlatego, że nie chciała, by wyczuł jej napięcie. Nie chciała okazać się aż tak przewidywalna. Nawet teraz, po niemal roku, za żadne skarby nie chciała okazać przy nim słabości, czego nie zmieniał fakt, że on tego tak nie postrzegał. Dziwnie trudno było jej się do tego przyzwyczaić, podobnie jak nie mogła przywyknąć, by w Ieuranlier wzywać służbę, ilekroć chciała coś przekąsić, a nie sama wędrować do wielkiej kuchni.

- Ale czarownik mógłby dać radę jednemu z nich, prawda? Sam mi opowiadałeś, jak kiedyś...

- Nie mamy pewności, że to czarownik - zauważył. - Chyba że przypomniałaś sobie coś jeszcze.

- Niby co? To, że istnieją demony, zdolne przenikać ściany? - Zagryzała usta, niepewna, jakiej odpowiedzi oczekuje. Jeśli to demon, nie denerwowałyby się tak bardzo. W hotelu aż się od nich roiło; na pewno niektóre staną po ich stronie, choć im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Greyson nie chciałby, by o to prosiła. I miałyby rację, w ten sposób okazałaby słabość. Skoro nie chciała odsłonić się przed nim po jedenastu miesiącach spędzonych razem, to co dopiero odkryć się przed pozostałymi Gretneg. Greyson nigdy nie wykorzystałby jej słabości. Pozostali owszem: tak jak kot wykorzystałby mysz z ogonem przytrzaśniętym w pułapce.

- Nie, o ile mi wiadomo - odparł. - Ale nie pojmuję, czemu czarownik miałby zabierać cię na dach i usiłować zepchnąć. Mógłby...
  - Tak, wiem. Czarownik mógłby mnie zabić kilkoma słowami, ruchem ręki, jednym gestem. Tera już mi mówiła.
  - Domyślam się. - Rozbawienie w jego głosie musnęło jej skórę jak pieszczota. - To w jej stylu.
  - Nie jesteś tak zdenerwowany, jak się obawiałam.
  - Cóż, jest tutaj. Oczywiście, nie przyjechała za darmo... Robi mi się słabo na myśl, ile wyniesie rachunek.
  - I słusznie.
  - A zresztą, nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chce, niech sobie kupi brylantową kolbę u jubilera na parterze. Jeśli nam pomoże, będzie tego warta.
- Megan przesunęła się i uniosła głowę, żeby go pocałować. Włosy na karku Greysona były miękkie i gładkie; w półmroku pokoju jego oczy roz błysły czerwonymi skrami.
- Ale to nie był taki pocałunek. Nie taka chwila. Przynajmniej - jeszcze nie.
- Dziękuję - powiedziała, unosząc się lekko. Patrzył jej w oczy, przesunął dłoń po jej ramieniu tak lekko, że był to raczej cień dotyku.
  - Już dawno zrozumiałem, że ty i Tera to dwa w jednym - odparł. Jego uśmiech przyprawiał ją o żywsze bicie serca. - A ponieważ nie zamierzam rezygnować z ciebie, muszę zaakceptować i ją. Równie dobrze mogę starać się to wykorzystać.
  - Nie chcesz ze mnie rezygnować? Jego oczy poczerwieniały.
  - Nie.
  - I myślisz, że wszystko jest w twoich rękach? - Pochyliła się, dotknęła jego szyi zębami. - A ja nie mam nic do powiedzenia?

- Hm? Nie, chyba nie. - Jego ruchy stały się zdecydowane, palce zsunęły się niżej, pieściły jej piersi przez jedwab koszuli nocnej. - Chyba będzie lepiej, jeśli zostawisz mi takie decyzje. Ty masz być śliczna i słodka, a ja kupię ci brylanty i samochód.

Jęknęła i był w tym śmiech i coś jeszcze, bo jego ręka znalazła skraj koszulki i zawędrowała niżej.

- Samochód? Nie boisz się, że ucieknę?

To tylko żart, nic więcej. Żart w trakcie lekkiej rozmowy, jednej z wielu, jakie toczyli. Nie chciała, żeby przestał, nie spodziewała się, że położy jej dłonie na ramionach. Czerwone błyski w jego oczach zniknęły nagle.

- Owszem - powiedział.

Zmiana nastroju była tak nieoczekiwana, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, że już nie flirtuje, nie żartuje. Nie przyszło jej do głowy - a kiedy to zrozumiała, zawstydziała się, że nie wpadła na to od razu - że w ciągu zaledwie dwóch dni był świadkiem dwóch zamachów na jej życie i że w odwrotnej sytuacji, gdyby jemu coś groziło, sama chyba nie wykrztusiłaby słowa.

- Boję się.

- Teraz mnie przerażasz. - Wykrztusiła te ciche słowa ze ściśniętego nagle gardła.

- Meg. - Po jego stronie łóżka stała kryształowa szklaneczka z whisky; wypił spory łyk, nie odrywając oczu od twarzy Megan. - Zdaję sobie sprawę, że nie jest to temat, który chętnie poruszasz, ale niewykluczone, że byłabyś bezpieczniejsza, gdybyś dokonała rytuału.

- Rytuału? Jak to? Niby dlaczego?

- Słyszałaś, co mówiła Justine przy kolacji. Nie podoba im się, że nie zamierzasz tego zrobić. Każdy z nich może uznać, że jako człowiek stanowisz...

- Nie każdy. Win chyba nie, prawda? A Gunnara obchodzą tylko...

- Każdy z nich - powtórzył. - Nie popełniaj podstawowego błędu i nie zacznij im ufać.

Czyżby już wcześniej miała wrażenie, że w pokoju jest zimno? Teraz zrobiło się tu lodowato jak w chłodni. Rozcierała ramiona dłońmi.

- Wątpię, żeby stał za tym Win - ciągnął. - Ale każdy z nich może mieć powody, o jakich nie mamy pojęcia. Tu chodzi o twoje życie, skarbie. Nie chcę ryzykować...

- Jeśli odprawię rytuał, to już nie będzie moje życie - powiedziała bez namysłu, ale nawet gdyby doświadczenie i wykształcenie nie nauczyły jej, że tak spontaniczne reakcje są najszczerze, wiedziałaby, że tak właśnie jest. Od tamtej nocy, gdy po raz pierwszy zasiadła za mikrofonem, a Greyson i Yezer Ha-Ra wkroczyli w jej istnienie, kurczowo czepiała się resztek starego życia. A rytuał zmieni to na zawsze. Nieodwracalnie. Nie będzie mogła porzucić Yezer, nie będzie mogła żyć dalej jako zwyczajna kobieta, która miała powiedzmy, nietypowego kochanka, w braku innego określenia. Demon w jej ciele urośnie, rozprzestrzeni się, rozłoży ciemne skrzydła w jej krwi, w jej ciele. Nieważne, co straci czy zyska, a co zostanie bez zmian; będzie nieodwracalnie, całkowicie inna.

- Owszem - odparł.

Zdenerwowało ją napięcie w jego głosie; nie słyszała go poza sytuacjami, gdy omawiali, jak szybko zdołają się rozebrać. Nigdy nie namawiał jej na rytuał Haiken Kra. Więc dlaczego teraz nagle tak mu na tym zależy?

- Zmieni się bardzo niewiele - ciągnął - ale będziesz miała ochronę, a demony nie będą cię postrzegały jako osoby z zewnątrz. Być może to coś nie zakradłoby się niepostrzeżenie, gdybyś...

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

- Do cholery, nie. Mówię tylko, że może bezpieczniej byłoby, a teraz bezpieczeństwo to nasz priorytet...

- Ważniejsze niż moje szczęście? Niż to, czego ja pragnę?

- Może tak. Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że wolisz umrzeć, niż odprawić rytuał? Czy bycie demonem jest w twoich oczach naprawdę gorsze od śmierci?

Zawahała się. Czyżby? Nigdy nie myślała w ten sposób. Oczywiście, nie miała powodów. Jej życiu nic nie zagrażało, nie w taki sposób.

Nigdy też nie zastanawiała się nad tym, w jaki sposób jej decyzja odbija się na nim, jak on się z tym czuje. Czasami, kiedy pojawiał się ten temat, powtarzał, że to jej sprawa i że nie będzie się angażował. Nigdy nie wątpiła, że tego chciał, ale nie przeszłoby jej przez myśl, że to dla niego takie ważne.

- Nie mamy pewności, że cokolwiek się zmieni -zauważyła. - Sam mówiłeś, że tego nie wiesz. Nie wiemy, kto jest odpowiedzialny za ataki. Może nie mają nic wspólnego z tym, kim jestem. Możliwe, prawda? A jeśli dokonam rytuału tylko dlatego, że ktoś na mnie poluje, a okaże się, że te sprawy w ogóle nie mają związku? To chyba niewłaściwy powód do podjęcia decyzji, nie sądzisz?

Jego oczy zsunęły się niżej, powędrowały na jej dłoń, oparte o jego płaski, twardy brzuch.

- Nie - odparł cicho. - Chyba nie.

- Wiem. Posłuchaj, ja też się martwię. Ale sam mówiłeś, że tu nic nam nie grozi. I... posłuchaj, nie podoba mi się to, co teraz powiem, ale jeśli ktoś ma mnie dopaść, to i tak to zrobi, rozumiesz?

Dowiemy się, o co w tym chodzi. Malleus, Maleficarum i Spud zadbają o moje bezpieczeństwo. Ty też. Wcześniej niepotrzebnie ryzykowałam. Nie powinnam była iść do holu sama, powinnam

była zgodzić się, żebyś mi towarzyszył. Nie powtórzę tego błędu. Teraz, gdy już wiem, że na mnie czyha, będę ostrożniejsza, obiecuję. Po prostu... po prostu nie chcę podejmować decyzji pochopnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że zachowanie człowieczeństwa jest dla ciebie takie ważne. - Nakrył jej dłoń swoją, odwrócił wnętrzem do góry, przyglądał się jej w skrzywieniu. - Zawsze sądziłem... Rozumiem, że się boisz, ale będę przy tobie. To nie...

- Nie boję się. Po prostu nie chcę. Nie widzę powodu. Spojrzał na nią ciemnymi oczyma.

- A czy... Nie. Nieważne. - Rozchmurzył się, jakby starł obawy z twarzy. - To twoja decyzja, skarbie. Jeśli tego nie chcesz, nigdy nie będziesz szczęśliwa, że zrobiłaś ten krok, prawda? Nie będę cię namawiał. Jeśli groźba śmierci cię nie przekonuje, nie wiem, co innego mogłoby skłonić cię do zmiany zdania.

Cała ta rozmowa wydała się Megan nie na miejscu; powróciło zmęczenie i zarazem dziwne przeczucie, że stało się coś, czego nie może pojąć.

A powinna. Miewała już podobne uczucie, prawda? Coś czaiło się na krawędzi umysłu, wspomnienie, którego nie umiała umiejscowić. Wspomnienie, którego istnienia nie była nawet pewna.

Doszło też zmęczenie i fakt, że przeżyła kolejny atak zabójcy i przez niemal pół godziny trwała w przekonaniu, że go zabiła. Niewykluczone więc, że doszukuje się podtekstów tam, gdzie ich nie ma, szuka dwuznaczności w zwykłej rozmowie.

Nie wspominając o nagłej zmianie nastroju. A gdyby miała być szczerą, także fakt, że Greyson nigdy jeszcze nie mówił tak otwarcie o swoich uczuciach do niej.

Od dawna, od wielu miesięcy, od prawie roku wiedziała, że jest dla niego ważna. Nie wątpiła, że lubi ją

i jej towarzystwo. I choć nigdy nie padły te słowa, wiedziała, że ją kocha. Fakt, że nigdy tego nie powiedział, wcale nie był taki dziwny, jak mogłoby się wydawać. Ona także nie wyznała mu miłości. Nie odczuwała takiej potrzeby. Czyny mówią więcej niż słowa; spędzali tyle czasu na rozmowach, i w pracy, i ze sobą, że po prostu nie widzieli takiej potrzeby. Wspólne święta Bożego Narodzenia, gdy dał jej brylantowy naszyjnik, teraz zamknięty w szkatułce na toalecie, i powiedział, że szukał kolii równie pięknej jak ona, ale okazało się to nierealne. Smakołyki, które gotowała i prosiła braci, by podrzucali mu je w gabinecie i samochodzie, kiedy nie patrzył, żeby nagle je znalazł i wiedział, że o nim myśli. Tamten dzień, gdy jej powiedział, że głupio robi, nie mając swoich kosmetyków w jego domu. I inny, gdy odkryła swój program na jego iPodzie; nie mogąc słuchać jej na żywo, nagrywał i słuchał go później.

Te wspomnienia nie chciały zniknąć, a były przecież jeszcze inne, drobne chwile, równie cudowne, które dawały jej mnóstwo ciepła, ilekroć o nich myślała. Słowa są wspaniałe, ale to tylko słowa. Nie zawsze można im wierzyć; akurat Megan wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie zawsze mu wierzyła. Nie zawsze ufała Greysonowi. Ale od ostatniej Gwiazdki to się zmieniło. Wierzyła mu. A on jej. I to zaufanie było tak silne, że opierali się na nim oboje.

Więc wrażenie, że go zawiodła, że czegoś nie zrozumiała, przyprawiało ją o dreszcz zimniejszy niż chłodny powiew. Dotknęła jego klatki piersiowej, oparła o nią czoło, słuchała równego rytmu jego serca z zamkniętymi oczami; po chwili położył dłoń na jej włosach. Była ciepła i kojąca.

- Powinnaś się przespać - powiedział. - Oboje znamy Terę i wiemy, że obudzi nas waleniem w drzwi o nieprzyzwoicie wczesnej porze, gotowa zagrać w tenisa, iść do kosmetyczki albo do fryzjera.

- I myślisz, że dam się na to namówić?

- Bogu dzięki, nie. Ostatnie, czego chcę, to mieć u boku jej sobowtóra. Tak się składa, że w moich oczach jesteś piękna taka, jaka jesteś, mimo marudzenia i wybuchów gniewu. - Przesunął się tak, żeby mogła ułożyć się koło niego. Zrobiła to z ulgą w sercu. Nastrój znowu uległ zmianie. Wszystko było po staremu.

- Czyżby?

- Czyżby co? Marudna i wybuchowa? Owszem. To cię chyba nie dziwi.

Uśmiechnęła się.

- Nie. To drugie.

- Och. Domagamy się komplementów, tak? To zachowanie niegodne damy.

- Proszę. Miałam ciężki wieczór.

Milczał przez chwilę, w roztargnieniu gładził jej udo. Chociaż może nie w roztargnieniu; jakby nie było, jego palce wędrowały coraz wyżej, rozgarniały cienki jedwab.

- W rzeczy samej - mruknął. Uniósł jej podbródek, zajrzał w oczy. - Ale chyba wiem, jak to zmienić.

- Czyżby? Nie wiem, czy ci wierzyć.

- Och, chyba będziesz zadowolona, kiedy skończę. Ba, zapewniam cię, że będziesz. - Jego dłoń poruszała się miarowo. Megan jęknęła. - Widzisz?

Udało jej się skinąć głową.

- A wracając do twego pytania, *sheshissma*? - W jego głosie także pojawiło się napięcie, bo też i ona odnalazła jego rozpaloną skórę. - Chyba dobrze wiesz, jak na mnie działasz i gorąco liczę, że nie przestaniesz.



- Przekonaj się - szepnęła. I zrobił to.

### Rozdział 13

oczywiście pukanie do drzwi rozległo się bladym świtem; zegarek przy łóżku poinformował Megan, że jest dopiero kwadrans po ósmej. W zwykły dzień wstałaby już dawno, ale też zwykle nie spędziłaby prawie całej nocy na nogach.

Mimo szczerzej sympatii do Tery i radości, że przyjaciółka przyjechała, teraz chciała tylko spać, wolałaby zostać w łóżku.

Wraz z promieniami słońca jej myśli przecięły wspomnienia ostatniej nocy. Owszem, kilka było nader przyjemnych, ale reszta... Och.

Najważniejsze to rozmowa z Greysonem. Chciałaby wierzyć, że jego nagłe zainteresowanie rytuałem wiązało się z troską o jej bezpieczeństwo, ale w świetle poranka było to niełatwe. Trudno też mówić o zbiegu okoliczności, skoro temat pojawił się dwukrotnie tej samej nocy.

Nieważne. Włożyła szlafrok, gdyż walenie w drzwi nie ustawało. Tera może poczekać nad herbatą, a Megan weźmie prysznic; sądząc po zamkniętych drzwiach do łazienki i szumie wody, Greyson już to robił. Oczywiście niewykluczone, że uciekł tam, by uniknąć spotkania z Terą. Zawiązała w talii pasek szlafroka i przekręcił gałkę w drzwiach.

- Cześć, Ter... Nick!

Nie wypowiedziała nawet do końca jego imienia, a już obejmował ją serdecznie. Nick Xao-teng był jednym z najstarszych, najbliższych przyjaciół Greysona. Megan także go polubiła. Nick nie miał nic wspólnego z demonicznymi Meegra; jak sam to kiedyś ujął, był wolnym strzelcem. Nie pytała, co dokładnie miał na myśli.

- Co tu robisz? Cieszę się, oczywiście, ale... Głośno pocałował ją w policzek, uściśnął jeszcze raz i skłonił się nisko.

- Do usług, moja droga. Grey wczoraj do mnie dzwonił.

No tak.

- Masz mnie pilnować.

Nick pytająco uniósł brwi. Nie zmienił się od ich ostatniego spotkania przed dwoma miesiącami, ale Nick nigdy się nie zmieniał. Syn Chinki z krwią sukuba w żyłach i ojca, półkrwi demona duszy, o którym nigdy nie opowiadał, emanował zmysłowością, co świadomie wykorzystywał.

Ale nie wobec niej. W każdym razie nie od ich pierwszego spotkania, gdy dał jej przedsmak tego, co znaczy zostać uwiedzioną przez inkuba. Nie wiedział wtedy, że Megan jest z Greysonem, który zjawiał się, gdy zaczynała tracić dech - ale jednak. Chyba nigdy tego nie zapomni - ani swego gniewu.

Cieszyła się jednak, że wybaczyła Nickowi.

- Rzeczywiście jestem tu, żeby cię strzec - przyznał - choć lepszym określeniem byłoby: żeby ci towarzyszyć, jak to ujął Greyson. Powiedział, że ma mnóstwo spotkań, i prosił, bym dopilnował, żebyś ani przez chwilę nie była sama. - Odstawił walizkę i zamknął za sobą drzwi. - Nie narzekam, ma się rozumieć.

- Mam nadzieję. - Greyson wyszedł z łazienki z mokrymi włosami, dopinał koszulę.

- Zmieniłeś już jaguara na rollsa ze szczerego złota?
- Sam mógłbyś to zrobić, gdybyś...
- Nie zaczynaj znowu.

Megan uśmiechnęła się, widząc, jak się witają. Była to ich odwieczna dyskusja, którą zaczynali odруchowo. Greyson chciał, żeby Nick przeniósł się z Miami i pracował dla niego, by zajął miejsce Cartera; Nick odmawiał. Słyszała ich raz i mogła sobie darować powtórki.

Zostawiła ich i poszła do łazienki. Ucieszyła się na widok Nicka. Ale spoważniała na myśl o dwóch demonach w towarzystwie Tery, która zapewne zjawi się lada moment.

I rzeczywiście, kiedy kwadrans później wyszła z łazienki, powitał ją głos czarownicy. Megan włożyła zwykłą czarną sukienkę - skoro zgodnie z planem wybierają się do wielebnego Walthera, chciała wyglądać możliwie najskromniej - i otworzyła drzwi.

Tera siedziała w fotelu obitym ciemną skórą. Na kolanach miała tacę ze śniadaniem. Ledwo podniosła głowę, gdy Megan weszła do pokoju.

- Cześć. Jakieś wieści?
- Liczyłam, że ty coś nam powiesz.

Tera skinęła głową na znak, żeby poczekali, aż przełknie spory kęs babeczki; czarownice nigdy nie odmawiały darmowego posiłku. Niczego darmowego.

Gdy już miała puste usta, odezwała się:

- Sprawdziłam w bazie danych Vergadering, ale nie znalazłam niczego o tobie, o tym hotelu, niczego, co sugerowałoby, że ktoś z naszej listy obserwacji jest w mieście.

Megan uniosła brwi i siadła na kanapie obok Greyso-na. Położył jej rękę na udzie.

- Listy obserwacji?

- Tak. Wiesz, to spis znanych zabójców, kryminalistów... Jest kilka przekupnych czarownic, na które staramy się mieć oko.

- Zamiast je po prostu aresztować - burknął Greyson.

- Nie wiemy dokładnie, gdzie są - wyjaśniła Tera i odgryzła kawałek babeczki. - Gdybyśmy to wiedzieli, już byłyby za kratkami. Po prostu docierają do nas pogłoski o ich obecności w danym miejscu. Robimy, co w naszej mocy.

- Zabawne. Nie macie problemu z ustaleniem miejsca pobytu jednego z nas, nawet jeśli dostaniemy tylko mandat za niewłaściwe parkowanie.

Tera się skrzywiła. Megan z całej siły ścisnęła udo Greysona i włączyła się, zanim konflikt przybrał na sile.

- Dzięki, Tera. Czy możliwe, że po prostu nie wiesz o jego obecności w okolicy?

Tera przez dłuższą chwilę łypała gniewnie na Greysona, po czym odpowiedziała:

- Oczywiście, że możliwe. Ale jeśli to poprawi ci humor, jestem tu teraz jedyną czarownicą. I zrobię dla ciebie coś, żebyś miała lepsze wyczucie naszej obecności.

- Możesz?

- Pewnie. - Tera uniosła głowę. Jej długie, proste jasne włosy zaśniły w słońcu i posłusznie opadły na ramię. Spojrzała znacząco na Nicka i Greysona. - Właściwie nauczyliśmy się tego od nich.

- Jak to...

Greyson pochylił się lekko.

- Odprawisz *betchimal*?

- Zatem wiesz, co to jest.

- Oczywiście, że wiem. Nie wiem tylko, jak odprawić rytuał, bo wy, czarownice, ukradłyście nam tę wiedzę, ale...

- Do cholery, Grey, odpuść mi, dobrze? Nie udawaj niewiniątka! - Tera znacząco rozejrzała się po ścianach pokoju, błyszczących w porannym blasku. - Osobiście niczego nie ukradłam, jasne? Nie moja wina, że wasi przegrali.

- Nie, ale pracujesz dla...

- Dostyc tego. - Megan wstała. - Koniec. Czy możemy zająć się ważniejszymi sprawami? Na przykład tym, że ktoś usiłuje mnie zabić? Ktoś zaatakował agentkę FBI i kazał jej zwrócić się do egzorcysty, Bóg jeden wie dlaczego. Chyba mamy inne problemy na głowie niż wojny sprzed wieków. Nie uważacie?

W pokoju zapadła nieprzyjemna cisza. Ani Greyson, ani Tera nie mieli dość przyzwoitości, żeby się spieszyć, ale znała oboje na tyle, by wiedzieć, że gdyby nie byli tak opanowani, zrobiliby to.

W końcu Tera odezwała się, wyginając w uśmiechu starannie pomalowane usta:

- Agentka FBI? Co w tym wszystkim robi FBI? Greyson odpowiedział uśmiechem. Megan niemal widziała aureolę nad jego głową.

- A niby skąd miałbym to wiedzieć?

- Nieważne - ucięła Megan. Dotarło do niej, że wciąż stoi, zupełnie jakby zaraz miała zacząć śpiewać, i opadła z powrotem na kanapę.

- Ważne, że jest tutaj. Uważam, że ten czarownik ją zaatakował, a ona potem pobiegła do egzorcysty. Nie mam pojęcia, dlaczego i co on ma z tym wspólnego, ale chciałabym się dowiedzieć.

Tera dokończyła babeczkę.

- A gdzie teraz jest agentka? Czy myślicie, że wie, kto ją zaatakował?

Megan przecząco pokręciła głową.

- Pewnie w swoim pokoju. I chyba nie zna napastnika. Poszliśmy wczoraj do wielebnego i...
- Wielebnego?
- Wielebnego Walthera, egzorcysty. Byliśmy wczoraj u niego, czytałam go, wiem, że z nią rozmawiał. Chciała dołączyć do jego krucjaty, czy jak to nazwać, ale nie mówiła nic o czarownicach czy demonach.
- Tera w zadumie wbiła zęby w plaster melona.
- Walther. Nazwisko brzmi znajomo. A nie wydaje ci się możliwe, że zwróciła się do niego, bo wiedziała, co ją ściga?
- Owszem, możliwe, ale nie sądzę, żeby naprawdę tak było. Wydawała się oszołomiona. Twierdziła, że może mu pomóc. Nie do końca rozumiem, czemu chciałaby to zrobić, skoro wiedziała, że zaatakowała ją istota nadprzyrodzona. Czy coś w tym stylu.
- Istota wyższa - podsunęła Tera.
- Ejże! Nie zapominaj, że ja też jestem człowiekiem.
- Och, pamiętam, pamiętam. No dobrze. Uważam, że najlepsze, co możemy zrobić, to udać się do jej pokoju. Wypowiem zakłęcie, dzięki któremu zapomni o ataku, i wreszcie będziemy mieli ją z głowy. Greyson się pochylił. Gdyby czyste sumienie miało barwę czekolady, byłby brązowy od stóp od głów.
- Może rozsądniej będzie usunąć wszelkie wspomnienia związane z nami. Chyba nie chcemy, żeby znowu weszła nam w drogę i wpakowała się w coś niebezpiecznego?
- Tera zmrużyła oczy. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, a ona jadła melona, analizując sytuację, choć Megan podejrzewała, że raczej gorączkowo szuka wad pomysłu Greysona albo kombinuje, jak nie spełnić jego prośby.

- Chyba masz rację - stwierdziła w końcu. - Ale w zamian za to będziesz mi winny przysługę.

- Umowa stoi.

- A zatem... - Megan znowu wstała, tym razem nie bez powodu. Chciała jak najszybciej iść do pokoju agentki Reid i to nie tylko dlatego, że dochodziła dziewiąta. Nigdy nie miała pewności, jak rozwine się sytuacja, gdy Greyson i Tera znajdowali się w tym samym pomieszczeniu; czasami udawało im się znaleźć wspólny język, czasami nawet żartowali i zdawali się dobrze bawić w swoim towarzystwie. Czasami jednak zachowywali się jak dwa rekiny walczące o smakowity kąsek. Dzisiaj wszystko wskazywało na tę drugą wersję.

Ale czy mogła ich o to winić? Może nie są równie spięci jak ona - jakby nie było, nie oni cudem uszli z życiem - ale z drugiej strony, gdyby chodziło o jedno z nich, ona także nie byłaby w najlepszym humorze. Na samą myśl, że któremuś z nich mogłoby się coś stać, jaką wyrwę pozostawiłoby to w jej życiu... wzdrygnęła się i włożyła buty.

Jedenaście miesięcy temu nie miała pojęcia o ich istnieniu, na świecie nie miała nikogo poza pacjentami, którzy pewnie nawet nie zauważyliby jej zniknięcia. Może tylko Althea, dawna współpracowniczka, okazałaby zaniepokojenie. Althea starała się utrzymać z nią kontakt, ale nie widziały się od kilku miesięcy. I tyle. Była sama jak palec, bo o rodzinie nie warto wspominać.

Teraz miała przyjaciół. Mężczyznę, którego kochała z wzajemnością. Prawdziwą rodzinę, nawet jeśli były to tylko demony żywiące się ludzkim nieszczęściem.

A wszystko w ciągu niecałego roku. Na samą myśl, że miałyby stracić jedną z osób, które tak bardzo wzbogaciły jej życie, przeszył ją dreszcz strachu. Zadrżała na całym ciele.

- Meg? Wszystko w porządku? - Greyson chyba dostrzegł jej reakcję.

Odwróciła się i zobaczyła, że patrzy badawczo na nią spod zmarszczonych brwi.

- Nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się promiennie.

W czym rzecz, do cholery? Właściwie bardzo głupie pytanie... jakby nie było, ktoś usiłuje ją zabić.

Ale skąd te bzdury o utracie kogoś bliskiego? Tera wzięła sobie wolne. Pewnie udawała chorą - choć Megan nie miała pojęcia, jakie są zasady pracy w Vergadering -i przyjechała do Bellreive, żeby służyć jej pomocą. Och, owszem, Greyson płacił za jej pobyt, ale przyjechałaby i bez tego.

A Greyson opłacał kaprysy czarownicy, nalegał na jej przyjazd. Do tego stopnia zależało mu na Megan i jej bezpieczeństwie. Ściągnął tu Nicka, żeby ją chronił. A Nick przybył - kolejny, któremu na niej zależy.

Skąd więc nagłe uczucie, że wszystko zniknie jak ciało napastnika z dachu? Rozpłynęło się tak szybko, że nie zdołała go powstrzymać.

Greyson wciąż ją obserwował.

- Na pewno? Jesteś blada.

- Oczywiście. - Od uśmiechu rozboleły ją policzki. -Po prostu ktoś przeszedł po moim grobie, i tyle. Kiepskie przysłowie w obecnej sytuacji.

## Rozdział 14

O co dokładnie chodzi z tą kobietą z FBI? - zapytała Tera.



Megan się zawahała. Zerknęła na Nicka, który siedł obok nich, ale on tylko uniósł brwi. Żadnej pomocy.

- Sama nie wiem - odrzekła w końcu.

Właśnie to, a nie ciągle kłótnie, było największym minusem przyjaźni z Terą. Tera pracowała dla Vergadering. Gdyby zdobyła dowody, że Greyson czy inni mają coś wspólnego z działalnością kryminalną, wsadziłaby ich za kratki. A z tego, co Megan wiedziała, zwykłe ludzkie więzienie to kurort w porównaniu z więzieniem Vergadering.

Nie mogła do tego dopuścić. Nie tylko dlatego, że po prostu nie mogła, ale także dlatego, że gdyby to zrobiła, jej życie straciłoby wartość. Co prawda, demony włożyły sporo wysiłku, by opanować metody oszukiwania ludzi, ale honor miał dla nich ogromne znaczenie. Słowo demona ma wielką wagę; milczenie demona jest warte niejedno życie.

Więc choć Megan bardzo chętnie powtórzyłaby Terze wszystko, co usłyszała od agentki Reid, i podzieliła się z nią podejrzeniami policjantki, nie mogła tego zrobić. Oczywiście sama informacja, że FBI interesuje się Grey-sonem i pozostałymi, nie jest dowodem przestępstwa, i to wcale nie zdziwi Tery, ale Vergadering ma dostęp do różnych źródeł informacji. Jak podkreśliła Tera poprzedniego wieczoru, czarownice są potężne. Bez problemu mogą się włamać do archiwów FBI i znaleźć nie wiadomo co.

- Wiem, że jest z FBI, bo staliśmy za nią wczoraj przy recepcji.

- I zaatakowano ją w nocy?

Megan przedstawiła starannie spreparowaną wersję wydarzeń:

- Krew była wszędzie - zakończyła. - Zakrwawione ręczniki... Nie sądzę, żeby zacięła się przy goleniu czy

coś w tym rodzaju. A kiedy czytałam Walthera, wydawała się cała i zdrowa, przynajmniej w jego oczach. Więc nie mam pojęcia, skąd ta krew.

- Hm. Dziwne. Jak się czujesz? Nadal oszołomiona?

- Nie. - Po zaklęciu *belchimal*, które odprawiła Tera, uciekła do łazienki przekonana, że będzie wymiotować. Skończyło się strachem, ale nadal była obolała. Nudności trwały tylko kilka minut. Zaklęcie podziało; Megan czuła Terę u swego boku jak płamę ciepła przez gogle na podczerwień. - Ale szkoda, że musiałyśmy to zrobić.

- Fakt. Chyba nie tak chciałaś spędzić urodziny? Może do tego czasu będzie po wszystkim. Megan zamrugnęła. Zapomniała o tym.

- Masz niedługo urodziny? - zainteresował się Nick. - Nie wiedziałem.

- Za kilka dni. To nic takiego.

- Skąd przypuszczenie, że ktoś chce cię zabić? - zapytała Tera, jakby urodziny i morderstwa stanowiły jeden wspólny temat. - Zastanawiałaś się nad tym?

Megan pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Przecież nie jestem kimś wyjątkowo ważnym.

- Pewnie chodzi o Greysona.

- Ej! - zareagował Nick. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy usłyszała zdenerwowanie w jego głosie?

Zdawało jej się, że zabrzmiały w nim nieznane dotychczas nuty. - Nie wiesz tego na pewno.

Tera wzruszyła ramionami.

- A co jeszcze mogłoby być? Słyszałeś przecież. Ona nie jest ważna. Nikt chyba nie czyha na jej małe demony. Ale z tego, co mi wiadomo, wy zawsze chcecie się wybijać z różnych powodów, a teraz, gdy Greyson stanął na czele...

- Tym bardziej nie chce mi się wierzyć, by chodziło o niego. Co zyskałby na śmierci Megan?

- Nadal tu jestem - sapnęła. - Tuż koło ciebie.

- Kto wie, co kto zyska? Ale mało prawdopodobne, żeby ktoś chciał ją zabić ot tak sobie. Musi istnieć jakiś związek z Greysonem.

- Słuchając ciebie, można by pomyśleć, że on to zorganizował. Nie uważasz, że...

- Wiesz, co uważam? - przerwała mu Tera. - Że związek z nim naraża ją na niebezpieczeństwo i że powinna się wycofać. Na zawsze. Przecież się nie pobiorą. Ona...

- Przestańcie! - Megan chwyciła ich oboje za ramiona. - Dostyc tego! Tera, co cię ugryzło? Dlaczego ciągle ich prowokujesz?

- Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. - Tera poczerwieniała; Megan nigdy nie widziała jej tak poruszonej. - Jesteś moją przyjaciółką i nie chcę cię stracić. A ty nie byłabyś tu i teraz, gdybyś się z nimi nie zadała.

- Z nimi? - Nick niemal warczał. - Z nimi? Jezu. Wy, czarownice, jesteście wszystkie takie same. Myślicie, że wolno wam nami rządzić. Wystarczy, że powiesz Megan, a ona...

- Nigdzie się nie wybieram - oznajmiła Megan głośno i wyraźnie. - Tylko do pokoju tej kobiety. A wy idziecie ze mną i macie trzymać buzie na kłódkę, bo inaczej... Inaczej pokażę wam, na co mnie stać. I wcale wam się to nie spodoba. Jasne?

Cisza. Oboje skinęli głowami. Megan parsknęłaby śmiechem, gdyby nie była tak wściekła.

- Dobrze. Więc chodźmy.

Zrobiła dwa kolejne kroki, zanim zaczęła się zastanawiać, skąd u Tery to święte przekonanie, że Greyson się z nią nie ożeni. Nie żeby tego oczekiwała... Chociaż to

kłamstwo. Oczekiwała. Miała nadzieję. Kiedyś, jeszcze nie teraz; spotykają się niecały rok. Ale z drugiej strony za kilka dni skończy trzydzieści dwa lata, a on niedługo trzydzieści osiem; nie młodnieją, prawda?

Nieważne. Będzie, jak ma być. Owszem, nie staje się coraz młodsza, ale też nie spieszy się i nie będzie sobie teraz zawracała głowy problemem, o którym rzadko myślała. Dobrze jest, jak jest, cieszyła się na to, co przyniesie przyszłość, ale bez pośpiechu. Koniec, kropka. Nie będzie się więc zastanawiała, skąd przekonanie przyjaciółki, że do końca życia zostanie singielką.

Zresztą co Tera może wiedzieć? Jej najdłuższy związek trwał miesiąc.

Może to okrutne, że tak o niej myśli, ale Tera sama zaczęła. Ale po tym, co pokazali oboje, Tera i Nick zasłużyli na reprimendę. Niech mają; koncentrowała się na złości Tery i lekceważącym stosunku Nicka do kobiet. Stanęli przed drzwiami pokoju Elizabeth Reid. Kobieta, która im otworzyła, wyglądała jak agentka Reid. Mówiła jak agentka Reid. Ale Megan miała niepokojące wrażenie, że agentki Reid tu nie ma; w jej oczach hulała pustka.

- Tak, doktor Chase? Słucham?

Dobrze. Przez chwilę brała pod uwagę fakt, iż agentka została opętana. To nieczęsty przypadek, ale przecież się zdarza; przekonała się o tym na własnej skórze w wieku szesnastu lat. Ale nie wyczuwała w Elizabeth demona. Odkąd jej moc wzrosła, potrafiła... Chwileczkę. Tam, w holu, wydawało jej się, że agentkę zaatakował demon. Takie sprawiał wrażenie. A przecież posługiwał się magią czarownic. O cholera. To nie wróży nic dobrego.

- Chciałabym z panią porozmawiać. - Megan starała się jak najdłużej zachować radosny uśmiech.

Wyraz twarzy Elizabeth nie zmienił się ani trochę. Nawet gdyby Megan nie wyczuwała każdą cząsteczką ciała, że coś jest nie tak, zorientowałaby się choćby po tym. Ta Elizabeth Reid, która odwiedziła ją w gabinecie, była ożywiona i pełna energii do tego stopnia, że podjęła ryzyko, iż zdradzi zainteresowanym informacje o śledztwie. Megan teraz przyszła do niej i Elizabeth mogła zakładać, że zgłasza się do niej gotowa pójść na współpracę, chcąc sypać i donosić, a tymczasem Elizabeth wyglądała, jakby otworzyła gwiazdkowy prezent i znalazła w paczce stare skarpety.

Ale była sobą przynajmniej na tyle, by cofnąć się i wpuścić gościa do pokoju.

- Proszę.

Megan opuściła bariery i usiłowała czytać Elizabeth, przygotowana na mrok, który zaraz ją ogarnie.

Nic.

Nie, gorzej niż nic. Cholerne zakłęcie Tery, które miało jej pomóc, zakłócało percepcję Megan, pustkę, którą odczuwała w obecności demonów. Ale teraz było to coś mroczniej szego, bardziej złowrogiego. Wyczuwała coś, co nie było demonem, ale też nie było czarownicą. Tera dosłownie wibrowała w jej głowie. Elizabeth - nie.

Wyczuwała istotę ludzką, jednakże nieczytelną. Otoczoną jeszcze czymś miękkim, namacalnym, co nie chciało, by Megan je widziała. Usiłowała posłużyć się mocą, usiłowała przyciągnąć to na siebie. Dotyk sprawiał ból, ale wyczuwała poza nim człowieczeństwo. Gdyby pokonała zaporę, dowiedziałyby się, co się dzieje.

Coś wrzeszczało w jej głowie. Tera trąciła ją tak mocno, że stało się jasne, iż zrobiła to celowo.

- Dobrze się czujesz?

- Co? - Megan rozejrzała się dokoła.

Nick siedział na krześle przy małym biurczku, Elizabeth przycupnęła na łóżku, wyglądali, jakby siedzieli tak od dobrych paru minut.

Drzwi były zamknięte. Jak długo stała, usiłując przebić się przez zasłonę wokół Elizabeth?

Tera przyglądała się jej uważnie i Megan poczuła jeszcze silniejszą niż przedtem chęć, by ją zdzielić.

- Masz coś?

Megan zerknęła na Elizabeth i zdała sobie sprawę, że to i tak bez znaczenia. Tera i tak zatrze jej wspomnienia. Mogą rozmawiać swobodnie.

- Nie. Mam wrażenie, że otacza ją jakaś bariera, zasłona. Może to zaklęcie. Czy jest zaklęcie, które otumania ludzi? Zamienia ich w zombi?

Tera wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, o ile to jeden z nas. Demon chyba nie byłby w stanie.

- Co wy opowiadacie? - Elizabeth jednak kontaktowała. Uniosła się z zielonej narzuty, przybrała postawę bojową.

Tera machnęła ręką. Elizabeth się wyciszyła. Nick zerknął na nią.

- Demon duszy - owszem, ale nie z taką siłą.

- Czujesz to, Nick?

Skinał głową. Nie odrywał wzroku od podłogi. Wiedziała, że ojciec Nicka był półkrwi demonem duszy, ale dowiedziała się tylko dlatego, że Nick posłużył się swoją mocą, by wspierać ją podczas Bożego Narodzenia. Poza tym nie wiedziała nic o jego bliskich prócz tego, że oboje rodzice nie żyją. Nigdy ich nie wspominał.

Domyślała się, że musi być jakiś powód tego milczenia. Nie wiedziała jaki, ale co pewien czas, niejako machinalnie, wyczuwała energię Nicka, jego ból i rozpacz, gniew i żal drzemiące pod powierzchnią. Nie budziło to

w niej przerażenia, ale zawsze była tego świadoma. Nie naciskała więc.

- Nie wiem, Tero. Nigdy nie widziałam, nie czułam niczego podobnego. Niczego nie mogę z niej wyczytać.

- Więc nie wiesz, co widziała, co ją zaatakowało. Megan przecząco pokręciła głową.

Tera westchnęła.

- No dobra, słuchaj. Zobaczę, czy coś z niej wyciągnę, ale im dłużej wspomnienia siedzą w jej głowie, tym większej siły nabierają. A im dłużej ma zmodyfikowane wspomnienia, tym prędzej w nie uwierzy. Więc każda upływająca chwila...

Megan skinęła. To oczywiste, wiedziała, jak powstają wspomnienia, zdawała sobie sprawę z istnienia pamięci krótko- i długotrwałej. Człowiek z urazem głowy nie pamięta wypadku; mózg nie jest w stanie odtworzyć chwili urazu.

Tera głęboko zaczerpnęła powietrza i zerknęła na Nicka. Megan także; podchwyciła jego spojrzenie. Wstał gwałtownie.

Była to ostatnia jasna chwila, zanim zaczął się chaos; ten widok, Nick, silny, pełny gracji, wstający z krzesła i przesuwający się w lewo. Promień światła rozbłysnął w jego ciemnych włosach, zaśnił jak na skrzydle kruka. Jednocześnie Tera wymamrotała coś pod nosem, a Megan poczuła falę chłodnej energii, która otoczyła ją jak woda.

A potem eksplodowała.

Megan upadła na dywan. Powietrze uciekło z jej ust, wydawało się, że ściska je gigantyczna żelazna dłoń, nieubłagana obręcz. Ostry, paralizujący ból w głowie i piersi, oślepiająco biały, przerażający.

Chciała krzyknąć, ale z jej krtani nie wydobył się żaden dźwięk; nie miała powietrza w płucach.

Umrze.

Umrze tutaj, na podłodze eleganckiego pokoju hotelowego, nie wiedząc, kto ją zabił ani dlaczego. Ta myśl wzbudziła w niej falę wściekłości, która przeniknęła ją od stóp do głów. Bzdury, do jasnej cholery. Niedługo jej urodziny i... Szukała swoich demonów, ich mocy, wiedząc, że z ich pomocą zdoła walczyć, sprzeciwić się temu, co usiłowało pozbawić ją życia na zielonej wykładzinie. Była związana z Yezer niewidzialnym łańcuchem, które widziała oczyma duszy, ale nie w rzeczywistości. Chwyciła je i wysłała komunikat o strachu.

Sekunda, by wysłać. Sekunda, by czekać. Wróciła gęsta, mocna energia; wypełniała ją. Była powietrzem; stała się lżejsza od powietrza. Jeszcze nigdy nie wzięła tyle na jeden raz, nawet tamtego strasznego dnia na pogrzebie jej ojca, gdy nie zdawała sobie sprawy, że się nimi żywi. Wtedy czuła się jak na haju. Teraz szybowiała w stratosferze.

Nie wiedziała, jakim sposobem ucisk na piersi zelżał i znikł całkowicie. Była sama na podłodze, energia nadal pulsowała w jej żyłach, włosy przylegały do czoła i policzków wilgotnymi pasmami. Chciała je odgarnąć, ale bała się poruszyć, przerażona, że jeśli to zrobi, albo uniesie się pod sufit, albo rozsypie na kawałki.

Chwilę trwało, zanim pokój przestał wirować. I wtedy zobaczyła Terę opartą o ścianę, pobladałą, ale spokojną. Nick kulił się na podłodze kilka metrów dalej. Miał szeroko otwarte oczy, ale żył, a o to głównie chodziło Megan.

Dopiero kiedy Tera zrobiła pierwszy krok, Megan uświadomiła sobie, jak bardzo jest poruszona; otarła czoło drżącą dłonią.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, ja... Co do cholery? Nick, dobrze się czujesz? Jego twarz błyszczała od potu.



- Tak - odparł, ale Megan nie podobała się słabość w jego głosie. Mówił jakby z daleka, jakby dzieliła ich znacznie większa odległość niż te kilka metrów jasnozielonej wykładziny.

- Nie wiem, co ją ma, ale nie dałam rady. - Tera wskazała głową Elizabeth Reid, siedzącą na łóżku jak gdyby nigdy nic.

To dziwne. Oczywiście, wszystko było dziwne - od dobrych kilku miesięcy jej życie było równie dziwaczne i pełne zagrożeń, ale Megan skłamałaby, twierdząc, że jej tego brakowało. Teraz jednak było wyjątkowo dziwnie, a najdziwniejsze, że ktokolwiek, a zwłaszcza agentka FBI, spokojnie patrzył, jak ktoś inny dostał ataku na podłódze w jej pokoju, i siedzi z uśmiechem, jak gdyby nigdy nic. A właśnie to robiła Elizabeth Reid.

- Jak? To znaczy, jakim cudem oparło ci się? - Nogi się pod Megan tak uginały, że z trudem wstała z podłogi.

- Nie wiem. To coś jest silniejsze ode mnie. Albo jego aura, albo zaklęcie, nie mam pojęcia, ale nie umiałam się przez to przebić.

- Zatem pamięta wszystko. Wie, że tu byliśmy, słyszała nas, wie wszystko.

Tera uniosła brwi.

- A wygląda, jakby ją to obchodziło?

- Fakt. - Dobrze, utrzyma się na nogach. Co prawda, jej kończyny nie były tym zachwycone, ale dadzą radę. Jeśli nie zapanuje nad nogami, sytuacja będzie fatalna. Przeszła na nich przez pokój do Nicka i dała im odpocząć obok niego, pod ścianą.

Dotknęła jego ramienia. Wydawał się oszołomiony.

- Nicku, na pewno wszystko w porządku?

- Co to było? - zapytał i zdała sobie sprawę, że do głębi poruszył go nie atak fizyczny. - To coś podziałało na nas przez to, czym jesteśmy.

- Chcesz powiedzieć, że atakowało demony duszy. Skinał głowę.

- Ja... Wyczuwałem to. Nie osiągnęło celu, bo nie jestem pełnej krwi demonem duszy, a ty nadal jesteś człowiekiem. A Tera w ogóle nie ma demonicznej krwi i dlatego trzyma się na nogach.

- Ja też to czułam. - Tera podeszła do nich i usiadła na podłodze. Siedzieli jak troje pijaków, z wyprostowanymi nogami, niemal zapomnieli o Elizabeth Reid pogrążonej w radosnej katatonii. - Mnie też dopadło; czułam to.

Zapadła niezręczna cisza. Megan wiedziała, co im chodzi po głowach, o czym nie chcieli mówić czy nawet myśleć. Sama jednak nie mogła się oprzeć.

- Więc co to było, do cholery?

- Nie wiem - odparli jednocześnie, uśmiechając się z trudem.

- Był piękny - oznajmiła Elizabeth.

Megan nie wiedziała, co zaskoczyło ją bardziej - słowa Elizabeth czy bijąca z nich pewność. Zmieniła się nagle. Dawniej bez życia, teraz była ożywiona; ten widok przyprawiał Megan o dreszcze.

- Co to było, Elizabeth? - Nie zwracała już sobie głowy „agentką Reid”; kobiecie najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Dotknął mnie.

- Tak, ale pamiętasz, jak wyglądał? Co to było? Elizabeth spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść.

Trójka na podłodze wymieniła znaczące spojrzenia: o co chodzi? Megan pierwsza doszła do siebie. Sprawdziła godzinę na swoim zegarku - dochodziła dziesiąta. Wielebny Walther, jak sam powiedział, zaczynał swoje show o jedenastej. A więc jeśli Elizabeth tam się wybiera, chce się przygotować.

A to oznacza, że oni muszą zrobić to samo. Megan ociekała potem, włosy przysychały jej do policzków. Marzył jej się kolejny prysznic i zmiana ubrania. Jeszcze mocny drink - nieważne, która godzina - i chciała powiedzieć Greysonowi, co się wydarzyło. Na pewno coś wie albo ma pomysł, co robić poza śledzeniem Elizabeth do hotelu Windbreaker i obserwowaniem egzorcystów.

I tak muszą to zobaczyć. Ale wolałaby, gdyby przy tym był. Wiedziała też, że i on chciałby jej towarzyszyć.

Wstała i z satysfakcją stwierdziła, że niemal odzyskała czucie w nogach.

- Chodźmy. Musimy to zobaczyć.

## Rozdział 15

O ile poprzedniej nocy foyer hotelu Windbreaker świeciło pustkami, dzisiaj wypełniał je tłum ludzi, dzięki czemu nie było widać białej wykładziny i nijakiej tapety. Obecność tłumu paraliżowała Megan; jeszcze nie całkiem odzyskała równowagę psychiczną. Mocniej niż zwykle ścisnęła dłoń Greysona.

Zerknął na nią.

- Trochę ich dużo, co?

W odpowiedzi przewróciła oczami, nie ufając głosowi, i wzniosła bariery najwyżej, jak umiała. Rozpacz tych ludzi, ich gniew, frustracja i pragnienie, można by określić jedynie mianem fanatycznego. Nie bała się, że ich emocje ją dotkną. Rzecz w tym, że jej ciało, nadal znużone i wyczerpane, a zarazem nakręcone energią de-

monów, pragnęło więcej. Więcej nieszczęścia. Od wielu miesięcy demon w jej duszy nie był tak silny; przez moment widziała jedynie negatywne emocje w powietrzu; nadawały mu smak wina, a ona miała ochotę otworzyć się i wchłonąć je wszystkie.

Greyson odwzajemnił uścisk. Nie patrzył na nią, za bardzo pochłaniał go tłum, który przeczesywał wzrokiem, ale wiedziała, że on wie. Był przy niej i czekał, aż stoczy walkę i będzie gotowa.

Po chwili zdołała nad sobą zapanować, zwłaszcza że teraz, gdy nie paraliżowały jej już strach i wstyd, jak przed paru miesiącami, radziła z tym sobie o wiele lepiej. To trochę przypominało pierwszą miesiączkę, którą dostała kilka lat później niż koleżanki. Początkowo niewyobrażalna sytuacja, która z czasem staje się irytującą codziennością.

U jej boku Malleus, Maleficarum i Spud chichotali, trącąc się łokciami. Mały łebek Roca pojawiał się i znikał nad ramieniem Spuda, gdy i on zanosił się śmiechem. Wolała nie zastanawiać się, co ich tak bardzo rozbawiło.

Drzwi do sali balowej stanęły otworem. Tłum ruszył do przodu.

- To jak fala głupoty - mruknęła Tera za jej plecami. Trzymała w ręku oszronioną puszkę coli.

Megan drgnęła.

- Już masz picie?

Tera wzruszyła ramionami.

- Kiedy trzeba, potrafię szybko przedostać się przez tłum.

Nadal wydawała się bardzo blada i zmartwiona. Megan nie miała pojęcia, jak naprawdę wielka jest jej moc. Od początku domyślała się, że Tera jest potężną czarownicą - nic dziwnego, zważywszy na jej profesję. Ale nigdy nie widziała, by posługiwała się mocą wśród

ludzi. Utrzymywanie tego w tajemnicy zajmowało wysokie miejsce na liście jej priorytetów. Cóż, gdyby Megan mogła dzięki kilku słowom zdobyć zimne picie, zrobiłaby to. Ostatnie, na co w tej chwili miała ochotę, to dołączyć do tłumu zalewającego salę balową jak ropa ocean. Niechętnie ruszyła za nimi, ale Greyson złapał ją za ramię.

- Niech się rozguszczą. Staniemy z tyłu, na wypadek gdybyśmy musieli nagle wyjść.

- Myślisz, że do tego dojdzie? Wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, wolę mieć zabezpieczoną drogę ucieczki od tej przerażającej hordy, ty nie? Trochę czasu w ich towarzystwie, a zarazimy się tasiemcem albo czymś gorszym.

Ale żart nie podziałał. Widziała w jego oczach cienie, które pojawiały się rzadko i których nawet śmiech nie mógł przesłonić. Greyson nie był typem, który załamuje ręce z rozpacz, ale i on zdradzał objawy niepokoju, jeśli wiedziało się, gdzie ich szukać. Uścisnęła jego dłoń i przywarła do niego.

- Bardziej niepokoi mnie to, że przegapimy lunch.

- Myślisz, że wielebny się wścieknie, jeśli podczas jego występu zamówimy pizzę?

- Cóż, jesteśmy tu, więc to również nasz czas, a w takim razie...

- Grey - przerwał im Carter. - Właśnie dostałem wiadomość od Wina. Ma czas koło trzeciej. Dasz radę się z nim wtedy spotkać?

- Nie. Powiedz mu, że się odezwę do niego w wolnej chwili.

Byli sami w holu, nie licząc kilku maruderów, którzy ze świecami i chusteczkami stali przy drzwiach. Bracia rzucili się naprzód, zajrzeli do sali, jakby to była ściśle tajna baza wojskowa pod ostrzałem kosmitów, i skinęli

na znak, że droga wolna. Świetnie. Oczywiście zrobili to w sposób niezwracający niczyjej uwagi. Zwłaszcza że bracia sami z siebie wcale nie rzucali się w oczy; w czerni od stóp do głów, ze złotem na przegubach i karkach, wyglądali jak statyści z filmu o mafii.

Oczywiście na chwilę zapomniała, jak wyglądają pozostali zgromadzeni. A była to nie lada mieszanka. Miała wystarczająco wielu pacjentów, by wiedzieć, że fakt, iż ktoś jest religijny, nie oznacza wcale, że jest też głupi. Nigdy w życiu nie posunęłaby się do takiego uogólnienia, zwłaszcza że wiara ma wiele aspektów pozytywnych i przynosi ulgę wielu osobom. A już na pewno nie powinna osądzać tych, którzy wierzą w istnienie demonów.

Ale ich rozpacz, smutek unoszący się w powietrzu z jednej strony łamały jej serce, z drugiej, drażniły w niej demony. Ci ludzie potrzebują pomocy; mają poważne problemy. I owszem, prawda, że niektóre ich problemy wywołały demony. To fakt. Ale przecież demony nie są odpowiedzialne za wszelkie ich niepowodzenia. Kto wie, z czym się zmagają?

Tylko że zamiast prawdziwej pomocy, zamiast narzędzi, które pomogą im uporać się z życiem i samopoczuciem, dostaną stek bzdur i przekonanie, że wstąpiły w nich demony. Jakby wszystkie ich problemy miały swoje źródło w opętaniu, a po ustąpieniu demona wszystko się ułoży. Ale w życiu nie jest takie proste. Jednym z powodów, dla których nadal była w stanie funkcjonować jako Gretneg domu Io Adflicta, była świadomość, że bez emocji negatywnych nie ma pozytywnych. Ktoś, kto nigdy nie popełnia błędów ani gaf, kto niczego się nie wstydzi i nie żałuje, ma równie zaburzony układ emocjonalny, jak socjopata czy odludek.

Ludzie nierzadko popełniają błędy, dokonują mylnych osądów, działają pochopnie. I właśnie dzięki tym

pomyłkom, dzięki wyciąganym z nich lekcjom stają się silniejsi, zdrowsi. Obwinianie o wszystko siły wyższej jest wygodne, ale Megan tego nie pochwałała. Nie mówiąc już, że nie miała pojęcia, ile Walther liczy sobie za te egzorcyzmy. A wielu z nich wyglądało, jakby musiało sprzedawać osocze, żeby mieć co do garnka włożyć. Z tandetnych koszul przetartych na łokciach wystawały chudziutkie ręce. Za krótkie spodnie odsłaniały kostki, chorobliwie blade w porównaniu z ramionami opalonymi tak, że wyglądały jak przeszczepione z innego ciała. Plastikowe buty, w nich poliestrowe skarpety, tandetna lycra na nogach, zbyt mocno opalona skóra na ramionach.

Oczywiście nie wszyscy. W tłumie dostrzegła też немало osób, które, sądząc po wyglądzie, mogłyby spokojnie kupić pozostałych. Naprawdę nie sposób jednoznacznie określić wszystkich. Mogła im tylko współczuć.

Megan i jej towarzysze stanęli pod ścianą, niedaleko drzwi. Nie pogardziłaby krzesłem, ale przecież nie można mieć wszystkiego, a wołała o nic nie prosić. Jeśli coś powie, jeden z braci każe jej usiąść na sobie; pamiętała już takie sytuacje z przeszłości. Wystarczająco trudne było przebywanie w tej sali z grupą demonów; wołała nie myśleć, co by było, gdyby jeden z nich padł na czworaki, żeby mogła sobie na nim usiąść.

Chcąc stłumić złość, że ci biedni ludzie są nabijani w butelkę, a także pohamować kretyński chichot, jaki wzbierał w niej na wspomnienie incydentu z żywą ławeczką, oparła się o Greysona i powiedziała:

- Wszystko w porządku? Coś zaszło między tobą a Winem? Coś, o czym powinnam wiedzieć?

Wzruszył ramionami, błędząc wzrokiem po zebranych.

- Chce, żebym coś dla niego zrobił, a ja nie mam na to specjalnej ochoty, jednak Win nalega. To nie problem, raczej... niewygoda.

- Mogę coś zrobić?

Spojrzał na nią z uśmiechem. Rozpogodził się.

- Owszem, jest kilka rzeczy, które przychodzą mi na myśl, ale żadna nie nadaje się do tego miejsca.

Jej odpowiedź zagłuszyła wrzawa towarzysząca wejściu wielebnego Walthera.

Nie było nawet śladu po tym pokornym człowieku w piżamie, którego widziała poprzedniej nocy.

Teraz Megan widziała mężczyznę wyglądającego jak skrzyżowanie Liberace'a i Wyatta Earpa. Miał na sobie czarny garnitur. Włosy zaczesał do góry, tak że sterczały dramatycznie i mogły wręcz konkurować z rogiem demona. Lśniły od żelu i sprayu użytych dla utrzymania ich w pionie.

Miał na sobie wściekle różową koszulę. Czarna aksamitka była zawiązana pod szyją na wielką kokardę tak ciasno, że marszczył się kołnierzyk. Głowa wielebnego zdawała się wyrastać nad różową tkaniną jak grzyb nad błotem.

Jeszcze większa różnica dotyczyła jego aury i energii. Spowijała go grubą warstwą, Megan czuła jej muśnięcie na swej skórze tak wyraźnie, że aż się wzdrygnęła. Przemiany tej nie zawdzięczał narkotekom czy alkoholowi. To zapal, fanatyzm rozpalał w nim wewnętrzne światło.

Tłum, chyba oszołomiony po pierwszym wybuchu entuzjazmu, niemal od razu ucichł. Atmosfera w sali uległa zmianie. Miało się wrażenie, że wypełnia ją energia Walthera, a tłum odpowiadał, jakby odbierał tę siłę życiową i barwił nią powietrze.

Był w tym smutek i strach, uczucia, które Megan знаła aż za dobrze i których ze wszystkich sił starała się



nie wchłaniać. Oczywiście Roc nie miał takich oporów; widziała, że jego małe oczka pociemniały. Czy Walther robi to samo? Czy on...? Nie. Z pewnością jest człowiekiem.

Greysonowi chyba to samo chodziło po głowie.

- Energetyczny z niego klecha, co?

- Nie podejrzewałam, że będzie w nim aż tyle mocy - przyznała. - Wczoraj tego w nim w ogóle nie było.

- Hm. Najwyraźniej jeszcze kilka miesięcy temu nie był tak silny. Właściwie pojawił się nie wiadomo skąd mniej więcej w czerwcu. Już wcześniej bawił się w egzorcyzmy i uzdrawianie wiarą, ale dopiero w czerwcu złapał wiatr w żagle. Do jego dziwnego kościoła trafiało coraz więcej wiernych, datki rosły. To zastanawiające, prawda?

- Skąd to wszystko wiesz?

Wzruszył ramionami i wygodniej oparł się o ścianę.

- Wczoraj, kiedy zasnąłaś, poszperałem trochę w Internecie. Zadzwoiłem w kilka miejsc.

- Nie spałeś? Przecząco pokręcił głową.

- W ogóle?

- Troszeczkę. Nie martw się o mnie, skarbie. Rzecz w tym, że do niedawna był nikiem, a teraz na sesje w takich strasznych hotelach wałą tłumy. Jak myślisz, dlaczego?

- Zawarł pakt z diabłem? - zapytała, pół żartem, pół serio.

Z uśmiechem ucisnął jej dłoń.

- Nie, przynajmniej nie z żadnym, którego znam. Ale...

- Co?

- Nic, tak się tylko zastanawiam. Nie. To niemożliwe. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

- Ale co ci chodzi po głowie?

- Później ci powiem. Chyba zaraz zaczniesz wysyłać demony do piekła czy co tam będzie wyprawiał. Jakby był do tego zdolny.

Megan rozejrzała się po sali. Greyson miał rację. Walther przystępował do obrzędu; kiedy uniosła głowę, pozostali je schylili, a Walther zaintonował długą, jednostajną modlitwę, Megan przeszył dreszcz. Czuła, że wielebny jest żarliwym wyznawcą, jednakże pokora w jego słowach brzmiała fałszywie. Odplynęła myślami, głos mówiącego był teraz jak szum wydobywający się ze źle nastrojonego radia. Za bardzo pochłonęła ją walka z własnymi emocjami, by próbować czytać kogoś na sali, by sprawdzać, czy otacza ich ta sama koszmarna pustka, którą poprzedniego dnia wyczuła w pracownikach hotelowych. Nie zwracała też sobie głowy sprawdzaniem, czy są tu inne demony. Roc siedział na ramieniu Maleficarum i prowadził z nim cichą i, jak Megan się domyślała, bardzo zabawną rozmowę. W każdym razie obaj wyglądali, jakby lada chwila mieli parsknąć śmiechem. Jeszcze nigdy nie widziała w oczach Maleficarum takiego blasku.

- Roc - zaczęła - poproś, żeby się pokazały. Chcę wszystkie widzieć i upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Tak naprawdę chodziło jej o coś innego. Chciała się przekonać, czy wszyscy ludzie na sali mają Yezer. O ile jej wiadomo, każdy człowiek ma osobistego demona; ona zabiła swojego, mając szesnaście lat, i przez kolejnych piętnaście żyła bez demona, a choć Roc nie wodził jej na manowce, technicznie rzecz biorąc, był jej demonem.

Ale lata bez demona sprawiły, że była wyjątkiem. Zastanawiała się teraz, czy Walther przypadkiem nie odpędza

Yezer; może nie wyczuła ich obecności u boku pracowników hotelu i stąd to dziwne poczucie pustki. Jeśli jej Yezer, z jej Meegra, zostały wypędzone, wiedziałyby o tym. Ale nie wszystkie należą do niej. Jej podwładni pojawili się z charakterystycznym trzaskiem, jak paskudny, pękający popcorn. Dobrze. Większość zebranych mieszkała w okolicy i Yezer należały do jej Meegra.

- Świetny pomysł - mruknął Greyson. - Dzięki temu lepiej orientujemy się, co się dzieje.

Uśmiechnęła się zadowolona, ale spoważniała, kiedy wielebny Walther zakończył modlitwę i nagle, bez uprzedzenia, złapał za rękę mężczyznę i pociągnął na środek.

- Ty! Wyczuwam w tobie demona! Jak się nazywasz? Co ci zrobił?

Yezer na ramieniu mężczyzny radośnie pomachał do Megan. Stojący u jej boku Maleficarum prychnął pod nosem.

- Ja... Matt. Uprawiam hazard. Nie mogę przestać. -Łzy zniekształcały mu głos; jego rozpacz obmywała dłonie Megan.

Sama nie wiedziała, na co ma większą ochotę, roześmiać się czy wezwać policję. Rozbawienie jednak zaraz zniknęło, roztopiło się w czerwonej fali wściekłości. Jak on śmie wykorzystywać tych ludzi, jak może niszczyć...

- Nie ty uprawiasz hazard, lecz demon. To on! Do czego cię zmuszał?

- Stawiałem na wyścigach. Obstawiałem wyniki zawodów sportowych. Za ile zmieni się światło, która winda przyjedzie najpierw... Gram w karty...

- Nie ty, Matt, tylko bestia w tobie. Zły duch, który przywarł do ciebie i chce posłać twoją duszę do piekła!

Zebrani jęknęli i powtarzali głośno ostatnie słowa. Walther machnął rękami, jakby rzucał klątwę na całą sa-

lę i biednego Matta. Może zresztą tak było, jeśli o nią chodzi.

Ale chyba nie. Dwa demony osobiste, na ramieniu Matta i u jego stóp, wcale się tym nie przejęły.

Jeden drapał się za uchem, drugi wyciągał brud spomiędzy palców stóp.

Matt krzyczał coraz głośniej.

- Pomóż mi, proszę, pomóż mi!

To było okropne. Chore. Megan korciło, żeby podbiec do Matta, podnieść go z podłogi, wcisnąć mu wizytówkę i poprosić, żeby zadzwonił do lokalnego oddziału Anonimowych Hazardzistów.

- Ja nie mogę ci pomóc. Ty sam nie możesz sobie pomóc. - Walther się rozgrzewał, pot spływał mu po policzkach. - Tylko Jezus może cię zbawić. Tylko Bóg może wypędzić z ciebie demona hazardu i zwrócić ci duszę.

- Straciłem wszystko. Wziąłem drugą hipotekę na dom i wszystko przegrałem. Nie wytrzymam dłużej. Walther położył mu rękę na głowie.

- Zwracam się do demona, który opętał ciało Matta. Mówi do ciebie wielebny Walther, piekielna bestio. Pokaż się! W imię Boga, ukaż się! Zdradź swoje imię!

U boku Megan wielkie ciało Maleficarum dygotało ze śmiechu. Roc nawet nie starał się opanować. W końcu i tak słyszała go tylko ona i demony. I pozostałe Yezer. Te, które jeszcze słuchały, co się dzieje, zwijały się ze śmiechu na podłodze albo leżały w powietrzu nad ramieniem swego gospodarza. Ich rechot stanowił dziwaczne muzyczne tło, jak piekielne dzwony akompaniujące słowom wielebnego. Nie zagłuszał ich nawet krzyk Matta. Na czole Megan pojawiły się kropelki potu. Krzyki ludzi, wrzaski Walthera i rechot demonów przyprawiały ją o zawrót głowy. Zdawała sobie sprawę, że Walther wprowadził Matta

w trans, że zmusza jego udręczony umysł, by wykreował demona, by dał mu, czego pragnie, i ta świadomość przyprawiała ją o mdłości. Przełknęła z trudem.

- Jam jest Azazel - pisał Matt jak postać z Monty Pythona. - Nie oddam ci go!

Maleficarum ryknął śmiechem. Megan szybko zerknęła w bok i zobaczyła, że Malleus i Spud opierają się o siebie, czerwienieją od hamowanego śmiechu. Po jej drugiej stronie Greyson i Nick gapili się w sufit. Tylko Carter wydawał się znudzony i zirytowany.

Greyson pochwycił wzrok Megan. Schylił usta do jej ucha.

- Azazel był ważną figurą w piekle. Szanse, że wcielił się w tego biedaka, żeby postawić dwadzieścia docłów na wyniki meczu, są raczej marne, nie uważasz?

- Nie wiadomo, do czego zdolny jest facet zakochany w piłce - odparła odruchowo.

Dłoń Greysona zsunęła się na jej pośladki i tam została.

- Doprawdy? Niektórzy z nas mają też inne pasje.

- Czyżby? Nigdy bym na to nie wpadła. - Ale nie odsunęła jego dłoni. W końcu stoją przy ścianie, więc nikt tego nie zobaczy. Posłała mu szybki uśmiech.

- Odejdź, demonie! W imię Jezusa, zaklinam cię, odejdź! Nakazuję ci opuścić tego nieszczęśnika! - Prawa dłoń Walthera wskazywała sufit. Przez chwilę wyglądał, wypisz wymaluj, jak John Travolta w *Gorączce sobotniej nocy*. Megan miała wrażenie, że za moment zagrają Bee Gees. Trzeba chyba przyznać, że zachowuje się lekkomyślnie. Nie mogła się opanować. Ale przynajmniej nie postępuje jak bracia. Z ich oczu płynęły łzy, byli bliscy wybuchu.

Matt znowu krzyknął. Megan przez moment widziała jego twarz. Wyglądał, jakby miał wylew. Była na siebie

wściekła, że na chwilę zapomniała, co tu się właściwie dzieje. Ten człowiek już i tak znajdował się na granicy szaleństwa, a działania wielebnego nie poprawią jego stanu. Kto wie, jak to się skończy, jakiego dozna urazu, czy demon, którego w tej chwili wytwarzał jego udreńczony umysł, zniknie po tak zwanym egzorcyzmie?

- Odejdź, siło nieczysta!

Matt osunął się na ziemię.

Niestety, Maleficarum także. Kulił się na podłodze obok Megan, trzęsąc się ze śmiechu. Już samo to było straszne. Co gorsza, ów ruch zwrócił uwagę wielebnego Walthera. Rozsiewając zapach potu i obłędu, pokonał biegiem przejście między krzesłami, złapał Maleficarum za rękę i pociągnął.

## Rozdział 16

Nie, nie może pan... - zaczęła, ale Maleficarum już wyrwał się Waltherowi.

- On potrzebuje pomocy. - Walther nie dawał za wygraną. - Bóg nakazuje mi pomóc.

- Nie obawiaj się, bracie! - zawołał ktoś z tłumu. - Jeszcze można cię ocalić!

Maleficarum posłał Greysonowi błagalne spojrzenie. Megan doskonale wiedziała, co Greyson myśli. Gdyby wyszli, zanim zobaczą coś nietypowego, co wykracza poza granice zwykłego wariactwa, a ociera się o zjawiska paranormalne jak to, co działo się poprzedniej nocy - tylko zmarnowałiby czas. Teraz nie mogli sobie na to pozwolić. Miała bolesną świadomość, że ktoś w pobliżu

knuje intrygę, jak ją zabić. Wiedziała, że Greyson także zdaje sobie z tego sprawę. Z drugiej strony przerażała ją myśl, że procedurze egzorcyzmów zostanie poddany akurat Maleficarum. Jak sobie z tym poradzi?

Oczywiście w całej sali tylko Megan, Greyson i ich towarzysze nie doceniali, jakim wspaniałym pomysłem jest wypędzenie demona z Maleficarum. Malleus i Spud popiskiwali ze śmiechu. Roc osunął się na ziemię obok Maleficarum i już tam został. Rehot Yezer narastał do tego stopnia, że Megan zatęskniła za modlitewną ciszą.

- Jak się nazywasz? Czemu dzisiaj do mnie przyszedłeś?

Maleficarum posłał Greysonowi przerażone spojrzenie.

- Ja... nie wiem.

- Nie wstydz się, bracie! Bóg wie wszystko! Patrzy prosto w twoje serce.

Maleficarum łypnął na swoją klatkę piersiową i po chwili ponownie podniósł wzrok. Teraz również Megan zagryzła usta. Nie, to wcale nie jest ani odrobinę zabawne. Nie wolno jej się roześmiać, do jasnej cholery, jest psychoterapeutką i nie może sobie pozwolić na taką reakcję podczas tego pokazu szarlatanerii.

- Chyba lepiej już sobie pójdę. - Maleficarum chciał uciec, ale wielebny Walther chwycił go za rękę.

- Przemawia przez ciebie demon, potwór, który cię opętał. Chce, żebyś stąd odszedł, żebyś...

- Aieeeeeee!

Megan podskoczyła. Nie miała pojęcia, że Maleficarum potrafi tak wrzeszczeć. Najwyraźniej uznał, że najlepszym sposobem wymigania się od egzorcyzmów będzie naśladować Matta; przerażone spojrzenia, jakimi obrzucał ją i Greysona, panika w małych oczkach przy-

wodziły na myśl desperację, która każe dzikim zwierzętom odgryźć sobie łapę, byle uwolnić się z potrzasku.

Walther wydawał się równie zaskoczony jak pozostali, ale Megan dostrzegła jego wzrok. Zdziwienie ustąpiło wyrachowaniu, które przerodziło się w zapał. Naprawdę wierzył w to, co robi, fakt. Ale w tamtej chwili dojrzała w nim komedianta, aktora; wyczuł, że Maleficarum udaje, ale mimo to postanowił ciągnąć to dalej. Wredny drań.

- Powiedz, jak się nazywasz, demonie! Nie jesteś z tego świata! Nie dręcz dłużej tego człowieka! Podaj swoje imię, demonie!

Wyraz twarzy Maleficarum zmienił się - zamiast przerażenia malowało się na niej cierpienie. Megan wstrzymała oddech. Jakie imię wymyśli? Boże, niech zrozumie, o co chodzi, niech...

Maleficarum przez dłuższą chwilę wodził wzrokiem od niej do Greysona. Zacisnął powieki, odrzucił głowę do tyłu i zawył:

- Joseph!

Nastąpiła chwila pełnej zaskoczenia ciszy; jedna z najdłuższych w życiu Megan. Wielebny Walther był w szoku; otworzył usta, ale jego słowa zagłuszył szaleńczy rechot demonów zgromadzonych w pomieszczeniu.

Zebrani na sali wcale nie uznali tego za zabawne. Zupełnie nie rozumieli, co się dzieje, i czekali cierpliwie, aż Walther rozpocznie egzorcyzmy. Megan przypomniały się średniowieczne egzekucje i tłumy gapiów, którzy się schodzili, by na nie patrzeć. Ci ludzie, których najwidoczniej bawiło drażnienie niedźwiedzi, chcieli się przyglądać cierpieniu innych, jakby w ten sposób mogli się oczyścić.

Och, zdawała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa. Zgromadzeni na sali przyszli tu szukać pomocy. Potrzebowali jej rozpaczliwie. To nie byli zwyczajni gapie.



Prędzej Megan można by zaliczyć do tej kategorii. Ale czemu wydają się tacy zimni, tacy nieludscy? Wstrzymała oddech, uściśniła ramię Greysona, chyba trochę za mocno, bo skrzywił się, próbując odsunąć jej palce.

- Cholera. Co? Co jest?

Nie odpowiedziała. Zbyt pochłaniało ją rozglądanie się na boki, jednocześnie starała się nie słuchać bzdur Walthera. Malleus jęczał jak zły aktor w scenie śmierci. Uczucie pustki, dziwaczna świadomość braku obecności, ciepła i wibracji, brak energii - to wszystko znowu przykuło uwagę Megan.

W przeciwnym końcu sali znajdowało się drugie wejście, wąskie i małe, nie to, którym się tu dostali. Przedtem zamknięte, teraz stało otworem. W progu stała Elizabeth Reid z pustym wyrazem twarzy. Jej ręce zwisały wzdłuż boków.

Za nią stał mężczyzna, jeden z bardziej przeciętnych, jakich Megan w życiu widziała. Miała wrażenie, że wzrok ześlizguje się z jego rysów. Na niczym nie mogła się skupić, jak przez mgłę dostrzegła tylko ciemne włosy.

Otaczała go pustka. Poczwała, że włoski na jej ramionach się jeżą. Co z nim jest nie tak? Czym jest?

- Ten facet... - zaczęła. Nie odwracała wzroku, przerażona, że jeśli to zrobi, on zniknie. - Ten za Elizabeth.

- Gdzie?

Jakim cudem Greyson nie widzi Elizabeth? Ach tak, przecież nie wie, jak wygląda, prawda? To sprowadziło Megan na ziemię.

- Brunetka w tamtych drzwiach.

- O cholera. Musimy iść. - Chwycił ją za rękę i pociągnął. - I to już. Malleus, Spud, zabierzcie brata, musimy już iść.

W głowie Megan rozbłysło białe światło, poczuła ból, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem. Oślepiła ją, palił, nie widziała niczego ani nikogo, nie mogła myśleć, czuła tylko, że Greyson ciągnie ją za sobą. Po chwili jasność ustąpiła na tyle, że widziała, jak Maleficarum zrywa się z podłogi. Kątem oka patrzyła, jak biegnie za nią, uchyla się przed dłońmi Walthera, lekceważąc zdumienie widowni; krzyki zgromadzonych wydawały się dobiegać z bardzo daleka. Drażniący uśmiech Elizabeth Reid towarzyszył Megan, nawet gdy Greyson już wyprowadził ją z sali balowej do holu. Pozostali spieszyli za nimi.

Słońce raziło w oczy, nadal obolałe po tym, co się wydarzyło w sali balowej. Greysona otaczały białe plamy. Chciała zapytać, co się dzieje, ale wyraz jego twarzy, ledwo widocznej wśród białych plam, nie zachęcał do rozmowy; wyglądał jak ktoś, kto zobaczył ducha. Milczała więc, póki nie wsiedli do samochodu i Spud nie ruszył pełnym gazem na wyraźne polecenie Greysona. Zerknęła za siebie i zobaczyła, że Elizabeth Reid wychodzi z holu. Nie wiadomo, dlaczego uznała to za złą wróżbę.

Greyson westchnął i odchylił się do tyłu, zamykając oczy. Ścisnął dłoń Megan. Przeszył ją dreszcz strachu. Co może być tak przerażające, że nie mógł jej wyjaśnić, z czym się zetknęli? Ostatnio był tak skryty, kiedy nie chciał jej powiedzieć, że ma się zmierzyć - i to dosłownie - z istotą z piekła rodem. Pragnęłaby, aby tym razem problem okazał się mniej poważny, ale czuła, że jest to płonna nadzieja.

- Powiedz, co to jest - wykrztusiła.

Zacisnął usta, jakby chciał się uśmiechnąć, ale zabrakło mu sił. Ledwie słyszała jego głos.

- Nie wierzyłem, że kiedyś go zobaczę. Wątpiłem nawet, czy w ogóle jeszcze istnieją.

- Ale co?

- Lordzie Dante, bardzo przepraszam. Naprawdę nie chciałem, żeby mnie złapał. Ale nie mogłem powstrzymać śmiechu, kiedy widziałem, jaki jest głupi. A potem on...

- Nie ma sprawy, Maleficarum. Nic się nie stało. - Greyson odchrząknął, unosząc głowę. - Mamy poważniejszy problem. - Nie puszczał ręki Megan. Nakryła jego dłoń swoją i spojrzała na Greysona.

- Jaki?

Zawahał się. Przez chwilę myślała, że jej nie powie, że chce to najpierw przemyśleć. Zazwyczaj milczał, póki nie zdobył całkowitej pewności; znała go od tej strony. Uwierzyłaby, że to nawyk ze studiów prawniczych, gdyby nie przekonanie, że taki był zawsze. Nie lubił się mylić.

W końcu się odezwał.

- To anioł.

- Nie wygłupiaj się, Grey - odezwała się Tera z tylnego siedzenia. - Anioły nie...

- Ależ owszem, Tero, istnieją. Przed chwilą byliśmy tego świadkami. Chociaż dlaczego... Cóż, kto wie, czemu postępują tak, a nie inaczej.

Megan zwilżyła wargi językiem.

- Ponieważ wczoraj usiłował mnie zabić, domyślam się, że nie jest to słodki cherubinek z paciorka.

- Takich aniołów nie ma. To dranie. W dodatku niebezpieczne. Cholera! - Tera wbiła palce w oparcie i pochyliła się niżej. - W archiwach Vergadering nie ma żadnych dowodów na ich istnienie. Żadnych. Nasze dane sięgają czasów starożytnego Rzymu i w całym tym okresie nie odnotowano ani jednego udokumentowanego spotkania z aniołem.

- Oczywiście, że nie. - Greyson łypnął na nią gniewnie. - Nie zapowiadają hucznie swego przybycia. Naprawdę są bardzo rzadkie.

- Miałam wrażenie, że to demon - wtrąciła Megan.

- Anioły istnieją, a jakże. - Twarz Malleusa pod daszkiem czapeczki wydawała się dziwnie blada. - Widziałem kiedyś jednego, jakieś sto lat temu, za panowania królowej Wiktorii. Było to na przyjęciu, w tłumie takim jak dzisiaj. Przeraził mnie śmiertelnie.

- Więc powinienes był go dostrzec - odparła Tera. -A nie widziałeś go.

- Bo nie patrzyłem. Skoro lord Dante mówi, że to anioł, jest to anioł, pani Tero.

Dotarli na podjazd hotelu Bellrieve; drzewa zasłaniały słońce, dzięki czemu w samochodzie zapanował chłód; a może był to tylko efekt ich słów. Megan zadrzała. Niemożliwe. Nie to, że anioły istnieją, ale że stoją po stronie zła. Pewnie demony tak to postrzegają, ale przecież ona nie jest demonem.

Greyson powiedział kiedyś, że Bóg nie ma nic wspólnego z demonami, że w ogóle ma niewiele wspólnego z czymkolwiek. Życie po życiu to życie po życiu, a ludzie idą tam, dokąd się wybierają; istnieją setki, jeśli nie tysiące, bóstw. Chyba nie kłamałby w takiej sprawie.

Jednak gdyby nawet tak było, w co zresztą nie wierzyła, ona sama nie jest demonem. A zatem, jeśli anioły i demony toczą wojnę - o czym nie była całkiem przekonana - przecież do tego czasu chyba zauważyłaby jakieś ślady. Ale nawet jeśli, dlaczego anioł miałby czyhać na nią, skoro jest człowiekiem? Dlaczego chciałby ją zabić?

To było najważniejsze pytanie i zarazem takie, które najbardziej bała się zadać.

Przecież bała się wielu rzeczy. Część jej pracy polegała na zachęcaniu pacjentów, by zmierzli się ze strachem.

Nie zawsze była w stanie sama tego dokonać; fakt, że jest psychoterapeutką, nie oznaczał, że obce są jej ludzkie fobie i lęki. Po prostu miała większą świadomość, co się dzieje, gdy im ulega. Jednakże nie podda się. Spróbuje. Chociaż tyle może zrobić. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Dlaczego anioł chciałby mnie zabić?

- Niewykluczone, że ktoś mu za to zapłacił - wyjaśnił Greyson. - Kiedy atak *litobory* się nie powiódł, zatrudnił anioła, by dokończył sprawę.

Analizowała jego słowa. Tymczasem Spud podjechał, zatrzymał się niedaleko i czekał na znak, że ma się zbliżyć. Doceniała, że nie chce im przerywać, ale akurat tym razem wołałaby, by nie był taki uprzejmy; nie miałyby nic przeciwko chwili wytchnienia. Udawanie, że wszystko jest w porządku, często daje właśnie takie poczucie. Choć jest to tylko złudzenie, fajnie doznać go raz na jakiś czas - w miejsce strachu, mdłości i oddechu prześladowcy na karku.

Wtedy odezwał się Nick i wszystko wydało się jeszcze gorsze.

- Zakładasz, że atak anioła i *litobory* są powiązane. Niekoniecznie.

- Jezu, Nick, dzięki za ciepłe słowa - zwróciła się do niego. - Jak myślisz, ile osób życzy sobie mojej śmierci?

- Nie twierdę, że więcej niż jedna, mówię tylko, że nie powinniśmy niczego wykluczać.

Miał rację i zdawała sobie z tego sprawę. Nie znosiła tego.

- A ja nadal uważam, że oszaleliście - stwierdziła Tera.

- A ja nie - włączył się Greyson. - Masz jakąś lepszą teorię? Czy tylko sprzeciwiasz się nam dla zasady?

Tera łypnęła na niego, splatając ręce na piersi.

- Nie.

- Dobrze. - Greyson zerknął w bok; widział, że zmierza ku nim jeden z parkingowych. Wyminął ich samochód, gdy tkwili na podjeździe. - Chodźmy, Spud. Porozmawiamy na górze.

Rozdział 17

AAnośćwo rzeczy nie przemawiało do Megan. Na przykład skoki spadochronowe. Leczenie kanałowe. Kotlety jagnięce. Takich rzeczy po prostu unikała.

A na pierwszym miejscu tej listy znajdowało się sporządzanie spisu osób, które pragną jej śmierci, i szukanie przyczyn.

Nie w tym rzecz, że samo robienie takiej listy było straszne, choć... nie, to naprawdę było okropne. Ale jeszcze gorsze było patrzeć, jak lista się wydłuża, i uświadamiać sobie, że tyle osób miało poważne powody, by życzyć jej śmierci... Czuła się, jakby połknęła coś obrzydliwego. Chwileczkę. Najgorszy był cholerny entuzjazm jej tak zwanych przyjaciół.

- Nie zapominaj o pacjentach ze Strażników Strachu czy jak to się nazywa. - Tera zaczęła chrupać czip-sa. - Może są wściekli, że zabiłaś ich terapeutę.

Roc też sięgnął po przekąskę.

- Nie zareagowałiby wcześniej?

- Niekoniecznie. Może zbierali pieniądze, planowali, dopracowywali szczegóły, nakręcali się w nienawiści...

- A jak myślicie, czy ten, kto chce ją zabić, ma w całym domu porozwieszane na ścianach jej fotografie? -

Małe oczka Roca zalśniły. - Wiecie, o co mi chodzi, takie z czarnym krzyżem na twarzy i napisami: „Zginiesz, Megan...”

- Daruj sobie, Roc - ucięła Megan i zrobiła to w stosownej chwili; już myślała, że Greyson wstanie i wyrzuci Roca przez okno. Nie żeby miała coś przeciwko temu. Zresztą Rocowi nic by to nie zaszkodziło. Będąc tym, czym był, mógł się po prostu zdematerializować, nim dotknie bruku, ale...

- Ej! - Wyprostowała się gwałtownie. Zupełnie zapomniała o Rocu. - Anioł. Umie latać. Pojawia się i znika. Jak Yezer, tak?

- Najwyraźniej - odparł Greyson.

- A czy Yezer są w stanie podążać za nim? Jeśli każemy im wszystkim go szukać, może dowiedzą się, gdzie jest.

Roc skinął głową.

- Już się tym zajęliśmy. Ale nie zapominaj, że może stać się niewidoczny także dla nas, więc nie wiem, czy to coś da.

Osunęła się z powrotem na miejsce.

- Cholera, zapomniałam.

Roc rano złożył jej raport z rozmów z demonami, które poprzedniego wieczoru pilnowały drzwi.

Niestety, żaden nie widział nikogo poza Elizabeth Reid, więc był to ślepy trop.

- Ale od tego możemy zacząć. - Greyson poklepał Megan po udzie, od razu poczuła się lepiej. Zwrócił się do Roca. - Możliwe, że zobaczycie go, jeśli się zdematerializuje, i wyczujecie na płaszczyźnie psychicznej, jeśli się skoncentrujecie.

- Jest podobny do demona?

- Tak.

- Dlaczego? - Tera i Megan zadały to pytanie jednocześnie. Greyson odpowiedział uśmiechem, w którym nie było rozbawienia.
  - Jesteśmy spokrewnieni. Demony i anioły to nie to samo, ale istnieje pewna więź.
  - To by się zgadzało - mruknęła Tera.
  - Tak, jedyne co dobrego wynikło z działalności Ver-gadering, to fakt, że starliście ich z powierzchni ziemi. Oczywiście, nie do końca wam się udało, ale, wy, czarownice, słyniecie z nadmiernej pewności siebie.
  - Nieważne. - Tera wciąż zajadała czipsy, a Megan po raz kolejny nie mogła się nadziwić jej nawykom żywieniowym. Przyjaciółka najwidoczniej miała metabolizm demona i żołądek ze stali. - Mówiłam, że w aktach nie ma niczego. Żadnych dowodów. Nie mam pojęcia, skąd czerpiesz przekonanie, że walczyliśmy z aniołami, skoro według nas nigdy nie istniały.
  - Rozumiem, co mówisz, ale uwierz, że tak było. Tera zmrużyła oczy. Jej dłoń z czipsami zastygła w połowie drogi do ust.
  - Chwileczkę. Twierdzisz, że jesteście spokrewnieni. Uznaliśmy, że oni to wy? Posłużyliście się nami, by ich pokonać, tak?
- Greyson wzruszył ramionami.
- Nie patrz tak na mnie, mnie wtedy jeszcze nie było na świecie.
  - A nawet gdyby był - wpadł mu w słowo Nick -i tak zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy. Podobnie jak wy. Czy naprawdę muszę wspominać Columbię? Albo Oakton? A może demoniczne dzieci, które mordowali wasi żołnierze? Albo obozy, w których zamykaliście niewinne demony, które nie miały nic wspólnego z wojną?



- Do cholery, o co ci chodzi? - Tera, o dziwo, odłożyła czipsy. - Od rana na mnie napadasz. Co takiego ci zrobiłam?

- Nie ty, ale wy wszyscy - warknął. - Chodzi o...

- Nic - rzucił Greyson, nie patrząc na Megan, więc nie widziała wyrazu jego twarzy, w przeciwieństwie do Nicka, który, poblądł i tylko skinął głową.

Zapadła cisza, która wydała się Megan wyjątkowo krepująca, mimo że w jej pracy takie momenty wcale nie były rzadkie. Podczas zajęć z pacjentami w takich przypadkach instynktownie milczała, dając im czas, by uporali się ze swoimi emocjami; ewentualnie ostrożnie zadawała pytania, jeśli rozmowa utkwiała w martwym punkcie.

Teraz jednak nie była w pracy. Tu chodzi o jej przyjaciół i nie wiadomo jakim sposobem znowu stali w martwym punkcie, który jakimś cudem dotyczył koszmarów z przeszłości Nicka. Zdarzało się, że zahaczali o ten temat, ale Megan nigdy z nim o tym nie rozmawiała. To jego prywatna sprawa, a w świecie demonów jedną z nielicznych rzeczy, którą od początku rozumiała, była ich potrzeba prywatności.

Tak więc sięgnęła po czipsa i zmusiła się, by go zjeść. Smakował jak trociny, ale bardziej niż przekąski potrzebowała jakiegoś zajęcia dla rąk.

- Więc myślisz, że anioł naprawdę na mnie poluje? Czy tylko trzyma się wielebnego Walthera? Może wcale mnie nie atakował.

- Jest w jakiś sposób związany z agentką FBI - zauważył Greyson. - Zaatakował najpierw ją, potem ciebie, pamiętasz?

- Był tam wczoraj. - Czips wypadł jej z palców. - Dzisiaj, zanim się pokazał, nagle nie mogłam przeczytać nikogo. Tak samo jak wczoraj pracowników hotelowych.

Greyson skinął głową.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ja też nie dostrzegłbym go, gdyby Maleficarum nie pochłonał go do tego stopnia, że zapomniał się ukryć. Tak przynajmniej myślę. Wątpię, by ukazał się nam świadomie.

- A może jednak. - Nick odzyskał panowanie nad sobą. - Może nas drażnił. Prowokował.

- Wszystko możliwe. Chyba powinniśmy...

- Greysonie? - Carter stał w drzwiach sypialni; pracował tam, robiąc nie wiadomo co. Megan nie znała szczegółów, ale wiedziała, że zawsze był zajęty i zawsze do dyspozycji, tak jak Greyson za czasów swego szefa, Templetona Blacka.

Greyson obalił Templetona - żeby ją chronić oraz zadbać o własne interesy - i doprowadził do zesłania go do więzienia Vergadering, gdzie Templeton zginął tuż przed Gwiazdką. Rzekomo było to samobójstwo. Nigdy nie ustalono, w jaki sposób się zabił, ale zostawił list pożegnalny.

Greyson wstał i ruszył przez pokój.

- Zaraz wracam.

Wszyscy inni zostali na miejscach. Tera i Nick ostrożnie mierzyli się wzrokiem, Roc chrupał głośno chipsy.

- Czy myślicie - zapytał po kolejnym kęsie - że ten, kto chce zabić Megan, musiał za to dużo zapłacić? Trzy godziny później Megan miała serdecznie dosyć telewizji. Apartamentu. Hotelu. Co nie znaczy, że źle się bawiła. Kiedy Tera i Nick zakopali już topór wojenny, dogadywali się całkiem nieźle. Choć rozmowa czasami się rwała, gdy jedno z nich - najczęściej Nick - gryzło się w język, przez resztę czasu toczyła się lekko i swobodnie.

Ale miała tego dosyć. Dosyć cichego pochrapywania Roca leżącego obok niej na kanapie. Dosyć nerwowych

kroków Malleusa, który przechadzał się po pokoju, za każdym nawrotem sprawdzając wszystkie szafy.

- Lord Dante kazał mi zadbać o twoje bezpieczeństwo, pani. I to robię, a jakże.

- Widzę - odparła, prawdopodobnie po raz setny. -Wiem o tym. Ale mnie drażnisz.

Malleus wydawał się urażony.

- Powinnaś na siebie bardziej uważać, pani. Pomyśl, co przeżywałyby lord Dante, gdyby coś ci się stało. My wszyscy, ja, Maleficarum i Spud, uważamy, że za bardzo ryzykujesz. Czas się ustatkować i dać sobie spokój. Nie obraż się, pani, ale lord Dante potrzebuje...

Nick poderwał się nagle.

- Co to jest? Tam, za oknem?

- Co? - Malleus rzucił się do okna z szybkością, która wciąż ją zaskakiwała; nikt się nie spodziewa, że czołg może śmigać jak błyskawica, ale bracia, jeśli chcieli, byli do tego zdolni.

Przechwyciła spojrzenie Nicka i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy naprawdę odpowiedział sztucznym grymasem?

A nawet jeśli, co z tego? Ma dość powodów, by nie chcieć się uśmiechać. Zamachy na jej życie, anioły, kwestia czarownic w jego przeszłości i inne skrywane traumy.

- Nic tu nie ma - zameldował Malleus przez ramię. -Ale na wszelki wypadek lepiej, jak postoję i popatrzę.

- Dzięki, Malleusie.

Ktoś zapukał do drzwi i Malleus znalazł się przy nich, zanim rozległ się cały skomplikowany szyfr, jaki wypracowali bracia. Przez chwilę serce Megan zabiło żywiej -może Greyson załatwił już tajemnicze sprawy, które go odwołały, ale przecież on nie pukałby. I to nie był on, lecz Carter.

Usiadł na kanapie obok Nicka.

- Dobrze się bawicie? Megan przewróciła oczami.

- Fantastycznie. Szkoda, że nie codziennie ktoś chce mnie zabić.

- Wielkie dzięki - sapnęła Tera. - Zamiast szaleć na zakupach, siedzę tu jak głupia i oglądam durne programy w telewizji tylko po to, żeby dotrzymać ci towarzystwa. Mogłabyś to docenić.

- Jeśli zaczniecie gadać o zakupach, ucieknę do sypialni. - Nick się uśmiechał, ale Megan nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś go trapi.

Nie powinna go jednak pytać, nie przy wszystkich, więc tylko się uśmiechnęła.

- Przez najbliższą godzinę będziemy gadały o butach. Uciekaj, póki możesz.

- Skoro tak mówisz.

Wszyscy odprowadzali go wzrokiem, gdy szedł przez pokój. Tego dnia miał na sobie czarne dzinsy i T-shirt; Tera pożegnała go uniesieniem brwi.

- Strasznie z niego drażliwy drań, choć cholernie seksowny.

- Mnie to mówisz? - Carter westchnął.

Megan zamrugnęła gwałtownie, otworzyła usta ze zdumienia. To oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia, rzecz w tym, że znała go od wielu miesięcy, a nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że... Speszyła się. Dlaczego zakładała, że jest hetero? Co z nią jest nie tak?

Poczuł na sobie jej wzrok.

- Nie wiedziałaś?

- Ja... Nie. Przepraszam, nie chciałam...

- Oczywiście, że jestem gejem. - Patrzył na nią, jakby wyrosła jej dodatkowa głowa. - Grey nie jest głupi.

- Ale nie rozumiem...

- Może lepiej zobaczmy, czy lord Dante nie wraca. -Malleus znowu zawrócił; obserwując go, czuła się, jakby wodziła wzrokiem za wielką czarną piłką tenisową. -Najpierw otworzę drzwi i...

- Nie będę miał dzieci - tłumaczył Carter. - W każdym razie nie takie, jakie powinienem mieć, żeby... Rozumiesz? Wiesz o tym. Więc mu nie zagrażam. Kiedy będzie miał syna, problem straci znaczenie i on poczuje się pewniej. Ale zważywszy, jak bardzo jest podatny na ciosy teraz z tobą - człowiekiem, naprawdę musi działać szybko i...

- Wystarczy, Carter. - Greyson stał w progu. Megan poczuła na skórze lodowaty dreszcz; jego gniew, jedyne uczucie demonów, które zawsze wyczuwała, pojawiał się w postaci mroźnego powiewu.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, całkowicie zbита z tropu. Dlaczego jest wściekły, że Carter opowiada jej o kulturze i tradycjach demonów? Mnóstwo ludzi kultywuje dawne zwyczaje; idea posiadania syna świadczyła

o relacjach patriarchalnych, że już nie wspomni o aspekcie seksistowskim, ale to nic takiego. Demony to istoty patriarchalne i seksistowskie, uparte, samolubne, próżne. Mają jeszcze mnóstwo innych wad, więc dlaczego to takie...

I wtedy wszystko do niej dotarło, uderzyło z całą mocą, jak pięść między oczy. Greyson jest podatny na ciosy, bo ona jest zwyczajną kobietą. Jego pozycja jest niepewna, bo nie ma syna, który przejmie po nim władzę, co umocniłoby jego rządy. Przypomniała sobie coś, co od niego usłyszała wiele miesięcy temu: „Połowa Meegra

i tak chciała obalić Tempa i dać mi jego władzę - nie miał synów, którzy mogliby po nią sięgnąć”.

Był podatny na ciosy, bo razem nie będą mieli dzieci. Ona jest człowiekiem, on nie. Byłoby fizyczną niemożli-

wością, żeby splodzili... chyba że dokonałaby rytuału. Tego, na który namawiał ją zaledwie wczoraj, ale nawet słowem nie zająknął się, jakie to ważne dla ich przyszłości. Nie, nie ich. Jego. Przyszłości, która dla niego najwyraźniej nie znaczyła nawet w połowie tak wiele jak dla niej.

Te myśli przemknęły jej przez głowę w ciągu zaledwie kilku sekund. Były to raczej obrazy niż konkretne zdania, jak wtedy, gdy czytała pacjentów. Greyson chyba dostrzegł je na twarzy Megan, w jej oczach; miał nieprzeniknioną minę, maskę, za którą skrywał uczucia.

- Cholera - powiedział tak cicho, że nie była pewna, czy to usłyszała; przez chwilę zastanawiała się, czy może dopiero teraz obudziły się w niej zdolności telepatyczne.

Greyson bardzo powoli zamknął drzwi i przez długą chwilę stał z pochyloną głową.

- Tero, Carterze, Malleusie, zostawcie nas samych, proszę. Megan chyba chciałaby porozmawiać ze mną w cztery oczy.

## Rozdział 18

Siedziała na kanapie, niezdolna się poruszyć. Niezdolna spojrzeć na pozostałych, gdy wywołali Nicka z sypialni i wyszli; czuła na sobie ich wzrok, ale nie mogła odwzajemnić spojrzenia. Wszyscy o tym wiedzieli, prawda? Dlatego Tera uważała, że jej związek z Greysonem nie ma sensu, dlatego Nick przerwał Malleusowi, a Malleus Carterowi. Wszyscy wiedzieli i trzymali to przed nią w tajemnicy. A ona, idiotka, wyobrażała sobie... Cholera. Niech to szlag.

Kostki lodu zabrzęczały w szklankach, trzaskały, gdy spływał na nie alkohol. Akurat w tej chwili nie chciała być Greysonowi za nic wdzięczna, ale miała nadzieję, że przygotowuje dwa drinki.

I tak było. Wzięła od niego szklankę, jakby dawał jej dzban wody pośrodku pustyni, uniosła do ust i piła tak długo, aż kostki lodu dotknęły jej nosa. Dobrze, ale za mało. Wyciągnęła rękę i słuchała, jak jej dolewa.

- A więc... - zaczęła, unosząc szklankę do ust. Nie patrzeć na niego... To okazało się trudniejsze, niż sądziła. Jedna jej cząstka powtarzała, że się myli, że przywiązuje do tego zbyt dużą wagę, wyobraża sobie sytuację, która wcale nie zaistniała. Zaraz zapyta ją, co się dzieje, pocałuje w czoło, zamknie w ramionach... Nie byłby to pierwszy raz, gdy wyrzucił pozostałych z pokoju, by być z nią sam na sam. Ale nie tym razem. Wiedziała to i resztki nadziei, głupie marzenia, rozwiewały się z każdą upływającą sekundą.

A ten drań nawet się pierwszy nie odezwie. Ona musi to zrobić; odbierze jej nawet tę przewagę. Jezu, czy dla niego wszystko jest rozgrywką? Pytania dławili ją, gotowe wyrwać się z gardła, zaatakować samobójczym krzykiem. Nie dopuściła do tego. Powiedziała za to:

- Więc z kim się żenisz?

- Jezu, Meg. Nie owijasz w bawełnę.

- Ja? Ja? To nie ja kłamałam przez cały czas, to nie ja knułam za twoimi plecami i prowadziłam rozmowy...

- Nie... Do cholery, myślisz, że tego chcę? - Rozpacz i frustracja w jego głosie brzmiały autentycznie, ale nie mogła im zaufać. Nie była w stanie na niego spojrzeć.

- A niby dlaczego nie? Ty... Och tak, oczywiście. Mam być twoją kochanką, prawda? Czy może nawet do tego się nie nadaje?

Długa cisza. Odważyła się zerknąć na niego ukradkiem, nie chcąc by to zauważył. Tak przynajmniej zamierzała. Nie panowała nad sobą, nad swoim ciałem; z całej siły ścisnęła dłońmi szklanę, unosząc ją do ust, nie czuła jej chłodu.

W końcu się odezwał.

- A kiedy miałem ci to powiedzieć? Na początku, kiedy żadne z nas nie wiedziało, dokąd to wszystko zmierza? Demony zaatakowały cię i zdradziły. Dopiero niedawno dowiedziałaś się, że coś cię z nimi łączy. Ucieszyłabyś się, gdybym ci powiedział, że gdybyś kiedyś zechciała za mnie wyjść, musisz stać się jedną z nas? Zakładając, że znajdę się na stanowisku, które tego wymaga?

- Miałeś wiele innych okazji - warknęła. Kłótnia z demonem jest trudna, podobnie jak kłótnia z prawnikiem. Kłótnia z demonem prawnikiem doprowadzała ją do szału.

- No pewnie. Na przykład zaraz po tym, jak Roc poinformował cię o rytuale, a ty orzekłaś, że tego nie chcesz. I przy każdej okazji, gdy podkreślałaś, że go nie dokonasz. Do cholery, co miałem zrobić?

- Powiedzieć mi. Wyjaśnić, że to...

- Meg, kochanie, nie dalej jak wczoraj nie chciałaś go dokonać nawet ze względu na własne życie. Naprawdę miałem uznać, że bycie ze mną okaże się dla ciebie ważniejsze?

Cholera. Tu ją ma. Prawie.

- Nie uważasz, że powinnam znać wszystkie fakty? Nie uważasz, że powinnam znać wszystkie powody? Wszystkie implikacje?

Zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, widząc jej wzrok. Był blady, miał ściągniętą twarz, wydawał się bardzo zmęczony. Stłumiła odruch, by wstać, objąć go, wściekła, że nawet podczas tej rozmowy coś podobnego



przyszło jej do głowy. Że nieważne, jak bardzo ją zranił, jak bardzo cierpiała - a jedno i drugie paliło ją kwasem w żołądku - nadal go kocha.

Oparł się o ścianę. Ścisnął w dłoni szklanekę niemal po brzegi wypełnioną szkocką; na oczach Megan wychylił ją do połowy.

- A gdybym to zrobił?

- Co?

- Gdybym ci powiedział? - Jego głos niósł się echem w jej uszach. Albo jest na najlepszej drodze, żeby się upić - dotarło do niej, że kończy drugiego drinka - albo mówił bardzo cicho, spokojnie, jak nigdy.

- A gdybym wybrał właściwy moment... Nie wiem, trzy miesiące temu albo sześć, albo kiedy ten temat pojawił się po raz pierwszy - i powiedział. Co byś zrobiła?

- Nie wiem i nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że...

- Nie, właśnie w tym rzecz. Właśnie w tym. Kiedy miałem postawić cię pod ścianą? Nas? Chciałabyś tego? Facet, z którym spotykasz się od kilku miesięcy, nagle mówi ci, że jeśli macie dalej być razem, musisz postawić swoje życie na głowie? A gdybyś uznała, że to dla ciebie zbyt wiele, i odeszła? Albo przeciwnie, zrobiła to?

Zaschło jej w ustach, jakby jadła watę, a nie piła drinka.

- Więc chcesz powiedzieć, że wcale nie pragniesz, żebym to zrobiła. - Wstała. - Ty... Niech cię wszyscy diabli, Greysonie. Wychodzę...

- Siadaj.

- Nie mów mi, co...

- Siadaj. - Zamilkł na chwilę. - Proszę.

Nie była to najbardziej uprzejma prośba, jaką kiedykolwiek słyszała, ale Greyson nigdy o nic nie prosił, chyba że było to coś ważnego. Coś, na czym mu bardzo zależało... Nie, nie będzie teraz o tym myśleć.

Jednakże usiadła.

- Co...

- A gdybyś zrobiła to tylko dla mnie - podjął przerwany wątek, jak gdyby nigdy nic. - Gdybym jakimś cudem znalazł odpowiedni moment - nie za późno, nie za wcześnie - a ty zrozumiałabyś, dlaczego ten temat nie pojawił się wcześniej, bo oczywiście w miarę upływu czasu coraz bardziej oczywiste stawało się, że za długo z tym zwlekam. Ale gdyby wszystko ułożyło się jak trzeba i zgodziłabyś się, a potem tego żałowała? Obwiniła mnie? Chciałabyś do końca życia nienawidzić mnie tylko dlatego, że dla mnie zrezygnowałaś ze wszystkiego?

- To nie fair - odparła bez przekonania. Musiała przyznać mu rację. To oczywiście nie umniejszało jej racji, ale rozumiała, o co mu chodzi. - Nie dałeś mi tej szansy.

- Kochanie, życie nie jest fair. To banał, niestety prawdziwy. Ja też uważałem, że nie fair jest żądać, byś dla mnie ze wszystkiego zrezygnowała, kiedy oboje nie wiedzieliśmy, jak się to wszystko skończy, a ciebie to chyba nie bardzo interesowało. A potem uznałem, że byłoby nie fair z mojej strony wymagać, byś zrezygnowała ze wszystkiego, skoro tak podkreślałaś, że tego nie chcesz. I wyjaśnijmy sobie to do końca, skoro, że się tak wyrażę, wykładamy karty na stół. Kiedy mówię wszystko, mam na myśli naprawdę wszystko. Nie mogłabyś pracować, nie tak, jak teraz. Na pewno musiałabyś zrezygnować z radia, jesteś tam zbyt narażona na ataki. I tak, bardzo szybko pojawiłyby się dzieci. Nigdy nie mówiłaś, czy chcesz je mieć.

Oczywiście, że chciała mieć dzieci. Ale niby jak miała mu o tym powiedzieć? Na jakim etapie związku można wspomnieć o dzieciach, nie wychodząc na zdesperowaną kobietę, której zegar biologiczny tyka nieubłaganie?

Zwłaszcza że wiedziała, że nie mogą ich mieć. Do tego jeszcze... cóż. Chyba jednak rozumiała, co usiłował jej powiedzieć.

A co do reszty... Owszem, kochała go. Chciała z nim być. Chciała za niego wyjść. Nic w tym dziwnego. Ale praca? Program radiowy?

- Jak to: nie mogłabym pracować? I co masz na myśli, mówiąc, że byłabym zbyt narażona na ataki?

- Proszę cię, Meg. Chyba nie umknęło twojej uwagi, że ktoś czyha na twoje życie.

- Ale to nie...

- Nie, nie wiemy kto ani dlaczego. Może chodzi o mnie, może o ciebie. W przyszłości pewnie będzie raczej chodziło o mnie. Nie jesteś głupia. Zdajesz sobie sprawę, że nie wszystkie moje interesy są legalne i że czasami pewnych nieporozumień nie załatwi się w sposób cywilizowany. Czasami trzeba... usuwać problemy. Czasami trzeba udzielać ostrzeżeń. A ty, pracująca wśród obcych, w centrum zainteresowania opinii publicznej? Wystarczająco trudne jest to teraz. Ale po ślubie?

Wykluczone.

Jej szklanka była pusta, ale nie czuła w sobie ani kropli.

- Dlaczego ja mam rezygnować z pracy, a nie ty?

- Co?

- Mówię poważnie. Dlaczego nie odejdziesz z pracy, skoro to takie niebezpieczne? Dlaczego ja mam wszystko tracić? To znaczy, jeśli mówimy poważnie, a nie spekulujemy. Dlaczego mam rzucić pracę, wyrzec się człowieczeństwa, stracić wszystko, a ty nie poświęcisz nic? Do cholery, nie musisz nawet kończyć z romansami, możesz przecież mieć kilka kochanek na boku i...

- Naprawdę tak myślisz? Do tego stopnia mi nie ufasz?

- Tu nie chodzi o zaufanie. Ja nawet nie wiem, czego ty chcesz! Nigdy mi nie powiedziałeś, co do mnie czu-

jesz, jak sobie to dalej wyobrażasz. Więc jak mam to wszystko brać pod uwagę, skoro nie wiem, co czujesz? Bo mi tego nie mówisz?

- Co? Nie wiesz, co czuję? Do cholery, jak myślisz, co robiliśmy przez cały rok? Czy ty mnie w ogóle nie znasz? Myślisz, że tylko się tobą bawiłem? Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie naraża związek z tobą, ile ryzykuję...

- Och, przepraszam za kłopoty.

- Do jasnej cholery, nie o to mi chodzi i dobrze o tym wiesz. A może nie. Sądziłem, że wiesz. Zdawało mi się, że nie potrzebujemy słów - których, pozwolę sobie zauważyć, ty też nigdy nie wypowiedziałaś - żeby wiedzieć, na czym stoimy. - Wzruszył ramionami, wpatrując się w pustą szklanę, jakby w życiu nie widział czegoś podobnego. - Szczerze mówiąc, myślałem, że znaczymy dla siebie o wiele więcej.

Cholera. Musiał to powiedzieć? Tym razem nie zdołała opanować łez; spływały jej po policzkach niepowstrzymanym strumieniem. Rozmawiali o małżeństwie i dzieciach, mówili to, co chciała usłyszeć, na co liczyła, jeśli kiedyś... Miał rację. Wiedziała, na czym stoją. Wiedziała, że słowa nie mają znaczenia.

Ale nie tak to sobie wyobrażała. Miała wrażenie, że to nie początek, lecz koniec.

I tak było. Nie może tego zrobić. Nie może zrezygnować z człowieczeństwa, z pracy, z programu radiowego tylko po to, żeby zostać kura domową. Nie ma nic złego w roli żony czy matki; zawsze zakładała, że na kilka lat odejdzie z pracy, kiedy - jeśli - urodzi dziecko, że tak ustawi sobie grafik, aby być w domu, gdy będzie wracało ze szkoły. To jedna z zalet jej zawodu. Ale nigdy nie myślała, żeby porzucić karierę zawodową na dobre. Nie na kilka lat, ale na zawsze. I zawsze zakładała... do cholery,

zakładała tak, bo tak być powinno - że to będzie jej decyzja. Ich wspólna decyzja. Nie werdykt. Nie warunek, lecz wybór.

- Gdybyś naprawdę mnie kochał - wykrztusiła w końcu - chciałbyś ze mną być bez względu na wszystko. Wymyśliłbyś coś. Ale to, czego chcesz... Ty masz wszystko, a ja zupełnie nic. Ty nie musisz rezygnować ze swojego życia, tylko ja. Ty nie musisz porzucać pracy, tylko ja.

- Meg, bądź rozsądna. - Błagalny wyraz jego twarzy złamałby jej serce, gdyby nie to, że i tak już było w kawałkach. - Zarabiam siedemdziesiąt, osiemdziesiąt razy tyle, co ty. Nie musisz pracować.

Będziesz mogła robić, co tylko zechcesz...

- Ale ja chcę pracować! - Cholera. Jak na osobę, która z założenia знаła się na rozwiązywaniu konfliktów, radzi sobie po prostu świetnie. Z drugiej strony, zawsze jest trudniej, kiedy sprawa dotyczy własnego życia, a nie sprowadza się do rad udzielanych nieznajomym. - Greysonie, ciężko pracowałam, żeby osiągnąć moją pozycję; to dla mnie ważne.

- Podobnie jak moja praca dla mnie. I na dodatek jest o wiele bardziej lukratywna.

- Nie po to pisałam doktorat, żeby być twoją kochanką.

Skrzywił się.

- Nie byłoby w tym nic... Zresztą, dajmy temu spokój. Najwyraźniej już podjęłaś decyzję. Jestem draniem, który chce cię wykorzystać i uwięzić w piwnicy.

- Tak to odbieram - wychrypiała, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła. - Greysonie, nie rozumiesz? Zmuszając mnie, bym rzuciła pracę i wszystko, co... Chyba nie potrafię tego zrobić.

Dolał sobie, zerknął na jej szklankę. Skinęła głową. Wziął ją. Przez chwilę ciszę zakłócał jedynie odgłos nalewanego alkoholu.

- Jest jeszcze jeden wariant - powiedział. - Sam nie wierzę, że to mówię, ale jeśli tego chcesz...

Mogłabyś...

- Jeśli zaproponujesz, że bym była twoją kochanką, uderzę cię.

- Więc czego, do cholery, chcesz, Meg? Nie chcesz za mnie wyjść ze względu na wszystko, z czego będziesz musiała zrezygnować. Nie chcesz, że bym ożenił się z inną, bo... sam już nie wiem. Czy...

- Nie wiesz? Nie wiesz, czemu nie chcę być tą drugą?

- Mówiłem ci już, że to nie tak. Małżeństwo z rozsądku to...

- Małżeństwo... och. - I wtedy zrozumiała; niepojęte, że trwało to tak długo, a jednak. - Córka Wina, tak? Leora. Dlatego tu jest, prawda?

Westchnął.

- Tak. Win chce, że bym się z nią ożenił.

- A co ty na to?

Czekała na jego odpowiedź, czekała i czekała, przerwa w rozmowie ciągnęła się w nieskończoność. Już zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to po prostu koszmarny sen, a Greyson nie odpowiada, bo przecież zaraz się obudzi... I wtedy przerwał milczenie:

- Powiedziałem, że się nad tym zastanowię.

- Powiedziałeś mu... powiedziałaś, że się zastanowisz? Że się, do jasnej cholery, zastanowisz?

- Chciałem, żeby dał mi spokój, póki nie uda mi się z tobą porozmawiać, wytłumaczyć. Pamiętasz, chciałem, żebyśmy się wybrali do Florencji, myślałem, że może tam...

- Nie. Nie mieści mi się w głowie, że mi to robisz. Win teraz myśli, że zastanawiasz się, czy będę twoją

kochanką? Kto jeszcze o tym wie? Zdajesz sobie sprawę, w jakiej mnie to stawia sytuacji?

- A zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji mnie stawia fakt, że odmawiasz rytuału?

- Nigdy nie prosiłeś, żebym go dokonała ze względu na ciebie!

- Świetnie. - Błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość, chwycił ją za ramiona i postawił na nogi.

Jego oczy płonęły czerwienią, ciało pulsowało gorącem. -Więc proszę cię teraz, Meg. Zrobisz to dla mnie? Wykonaj rytuał i bądź ze mną. Zostaw pracę i bądź ze mną. Wyjdź za mnie, do cholery.

Ustami zdusił odpowiedź na jej wargach.

## Rozdział 19

Mocniej, coraz mocniej. To nie był pocałunek, to był rozkaz; rządził nią, przejmował kontrolę. Uległa mu w mgnieniu oka, bezradna w jego ramionach. Oplotła jego szyję rękami, czuła na ustach smak swoich łez, gdy się całowali, czuła w sobie jego energię, wypełniał ją, doprowadzał na skraj spełnienia, zanim do czegokolwiek doszło.

Jego usta wędrowały coraz niżej, pieściły jej szyję pocałunkami. Obejmował ją dłońmi tak mocno, że niemal bolało.

- Proszę, *bryaela*. Proszę.

Chciała powiedzieć: tak. I tak chciałyby tego, nawet gdyby nie poczuła jego dłoni pod bluzką, na piersi, nawet gdyby jego usta nie zaczęły ssać płatka jej ucha, wiedział, że to uwielbia.

Ale nie mogła. Nie mogła, bo ją okłamał; nieważne, ile miał powodów i jak były ważne; zataił przed nią coś tak istotnego. Nie mogła, bo inaczej zareagowałaby na prośbę, by zrezygnowała z pracy w radiu i jako terapeutka, gdyby ją o to poprosił, a nie zażądał.

Ale to drobiazgi, mogłaby przymknąć na nie oko. Nie mogła natomiast pogodzić się z tym, że Greyson w ogóle brał pod uwagę małżeństwo z inną. Że choćby przez chwilę rozważał na poważnie, że zabierze do łóżka inną kobietę, że w innej kobiecie widział matkę swoich dzieci. Nie mogła się pogodzić także ze sposobem, w jaki mówił o tym, że powinna rzucić pracę, jakby to była sprawa bez znaczenia, a nawet nie przyszło mu do głowy, że równie dobrze on mógłby zrezygnować.

Oczywiście z finansowego punktu widzenia rozsądniej byłoby, żeby on zatrzymał posadę. Nie przesadzał, mówiąc, o ile więcej od niej zarabia; zawartość jej kasetki z biżuterią i stemple w jej paszporcie stanowiły tego dowód, podobnie jak inne rzeczy, które kupował, bo o niej myślał, bo uważał, że się jej spodobają, bo... sama już nie wiedziała, dlaczego.

A on nawet nie wziął tego pod uwagę. Nie okazał jej nawet tyle szacunku, by udawać, że się nad tym zastanawiał. Nie starał się nawet poszukać kompromisu, rozwiązania zadowolającego obie strony. Jakby jej praca nic nie znaczyła, jakby tylko Megan zabijała w ten sposób czas, czekając, aż jakiś mężczyzna porwie ją w ramiona.

I mało brakowało, a tak by się stało. Ale niestety drugi raz się na to nie nabierze. Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ułamku sekundy, a tymczasem Greyson nakrył jej usta swoimi, tak rozpalonymi, że niemal nie mogła myśleć. Nie myślała, gdy jej dłonie wśliznęły się pod jego koszulę, na gładkie, silne plecy, do *sgaegas* -małych wypustek - wzdłuż jego kręgosłupa.



Właśnie *sgaegas* przekonały ją, że naprawdę on jest demonem. Dotknęła ich i nagle stanęła w ogniu, drżała. Nie całowała go już, tylko płakała.

- Okłamałeś mnie. - Te słowa dławily; odepchnęła go i miała wrażenie, że wrywa sobie serce. - Tak długo to przede mną ukrywałeś. Nie powiedziałeś mi. Jak mam ci zaufać? I jakim prawem zachowujesz się, jakby moja praca nic nie znaczyła?

- Wcale tak nie uważam. - Czuła na sobie jego błagalny wzrok, ale unikała jego spojrzenia. - Ale to zbyt niebezpieczne, zbyt...

- Jeśli uważasz, że to zbyt niebezpieczne, wiedziałeś o tym od początku - przerwała mu drżącym głosem. - Mówiłeś, że ten, kto teraz na mnie poluje, może w rzeczywistości zasadzać się na ciebie. I nigdy o tym nie wspomniłeś. Pozwalałeś, żebym przez cały czas ryzykowała...

- Nie, do cholery! To...

- Możesz mi to zagwarantować? Przysiąc, że to, że się z tobą spotykałam, że z tobą byłam, nie narażało mnie na ryzyko? Że nawet teraz ktoś nie chce mnie zabić ze względu na ciebie i to nie ma nic wspólnego z moją pracą?

W pokoju zrobiło się zimno. A Megan wiedziała, że pierś Greysona jest ciepła, jak zawsze, i zawsze może się wtulić w ten ogień, który nigdy nie gaśnie.

Ale nie mogła. Myślała tylko o wszystkich kłamstwach i zdradach, o których wiedzieli wszyscy poza nią. Nikt jej tego nie powiedział, ukrywali to przed nią i przez to wychodziła na idiotkę.

Do tego świadomość, że wiedział, że być może groziło jej niebezpieczeństwo i mimo to niczego jej nie powiedział.

- Nie. - Cofnął się o kolejny krok. - Nie, chyba nie.

Na jasnozielonym dywanie był delikatny wzorek; do tej pory tego nie zauważyła. Wirował dokoła jej stóp, rozmywał się za zasłoną łez, stapiał w plamy koloru. Stali w odległości pół metra, tak blisko, że wystarczyłby krok, a mogłaby go dotknąć.

Nigdy w życiu nie czuła się równie samotna.

Odchrząknął. Zawahał się. Znowu odchrząknął.

- Więc co teraz, Meg? Ja... Czego ty chcesz?

Tu nie chodzi o to, czego ona chce. Chciała wziąć go za rękę i zaciągnąć do łóżka. Chciała, żeby usiadł koło niej, żeby mogła wdrapać mu się na kolana i jeszcze jeden jedyny raz poczuć, że mu na niej zależy. Że akceptuje ją całkowicie.

Ale chciała od życia czegoś więcej. Powiedziała więc głosem, którego sama nie poznawała.

- Chyba wezmę osobny pokój. Nie wytrzymam tego. Nie ufam ci i...

Nie wiedziała, czy się roześmiał, czy parsknął. Nie zniosłaby, gdyby wiedziała.

- Nie, zostań tutaj. Chłopcy zabiorą moje rzeczy. Chyba że chcesz, żebym się od razu spakował.

- Nie, ja się wyprowadzę. Stać mnie na własny pokój, mam pieniądze, nie muszę ich brać od ciebie. -

To był cios poniżej pasa, zdawała sobie z tego sprawę, widziała, jak się wzdrygnął. - Już idę.

To się nie dzieje naprawdę. Niemożliwe. Zerknęła na zegarek; minęło pół godziny. Pół godziny i jej życie legło w gruzach. Koszmar.

- Dobrze... Dobrze. Ja... Chłopcy przeniosą twoje rzeczy.

Szła do drzwi, czując ból każdą komórką ciała. Odwrócić się plecami do niego. Kocha go. Przecież na pewno znajdują jakieś wyjście z tej sytuacji. Prawda? Jak to możliwe?

Jak on w ogóle mógł brać pod uwagę ślub z inną kobietą? Jak mógł?

Na chwilę zatrzymała się w progu. Stał tam, gdzie go zostawiła; chyba miał wilgotne oczy.

Popołudniowe słońce zapalało iskry w jego ciemnych włosach, ostrych rysach twarzy, orlim nosie.

Kochała te rysy. Tę twarz. Kochała go, do cholery, co...

Ale ją okłamał. I to nie w drobnych sprawach, ale w kwestii dotyczącej ich przyszłości. A tego nie mogła zaakceptować, nie mogła wybaczyć, w każdym razie nie teraz, jeśli w ogóle kiedykolwiek.

Zamknęła za sobą drzwi.

Przez chwilę wpatrywała się w nie, ciągle wsłuchana w głuchy trzask zamka. A potem poczłapała na odrętwiałych nogach do windy i zjechała do holu.

- Megan?

Lekkie pukanie do drzwi odebrała jak walenie maczugą w głowę.

- Megan? Mogę wejść?

Tera. Megan uniosła obolałą głowę i szukała wzrokiem drzwi; jej oczy, po wypłakaniu tyłu łez, były suche, widziała wszystko jak przez mgłę.

- Tak, wejdź - zachrypiała cicho. Nic dziwnego, zważywszy, że z ogromnym trudem uporała się z robotą papierkową związaną z rezerwacją pokoju i dotarła tutaj, do byle jakiego pokoju na siódmym piętrze. Dopadły ją straszne mdłości. Jej niezawodny żołądek znowu zaatakował.

Niezdarne palce w końcu znalazły gałkę w drzwiach. Przekręcała ją z trudem, jakby ważyła tonę, ale udało się. Cofnęła się o krok.

Tera trzymała białą papierową torbę.

- Przyniosłam frytki.

O Jezu.

- Dzięki, ale nie jestem głodna.

To nie był apartament, tylko zwyczajny pokój, jak ten, w którym mieszkała Elizabeth Reid - łóżko pod ścianą, małe biurczko, telewizor. Owszem, to nadal był hotel Bellreive, a zatem pokój był większy i ładniejszy niż w innych hotelach, ale różnica... Wolała o tym nie myśleć. Ani o apartamencie. A już szczególnie o jego lokatorze.

Tera przysiadła na łóżku.

- Ładny pokój.

- Żałuj, że nie widziałaś recepcjonisty. Patrzył na mnie, jakbym miała przeskoczyć przez ladę i rzucić się na niego, by wyzreć mu mózg.

- Nie dziwię się. Wyglądasz, jakbyś zmarła trzy dni temu.

Zazwyczaj Megan nie przeszkadzała bezpośrednio Terry, wręcz ją bawiła. Ale nie dzisiaj.

- Dzięki, Tero. Świetnie się czuję, więc...

- Nie, Megan, posłuchaj. - Tera złapała ją za rękę. Jej dłoń była dziwna w dotyku, jakaś zimna; zdawało się, że z trudem przedziera się przez jej odrętwienie. - Zdaję sobie sprawę, że wrażliwość nie jest moją mocną stroną. Ale... Wyglądasz fatalnie, tak się czujesz, a ja tego nie chcę. To nie daje mi spokoju. Chcę, żebyś poczuła się lepiej. Więc jeśli chcesz, porozmawiajmy o tym. I obiecuję, że nie powiem o nim złego słowa.

Megan wzruszyła ramionami. Te słowa nie łagodziły jej bólu.

- Mów o nim, co tylko chcesz. Nic mnie to nie obchodzi.

- Owszem, obchodzi.

- Nieprawda.

- Nie wierzę ci.

- On mnie okłamał, on... - Myślała, że wypłakała już wszystkie łzy. Myliła się. - Okłamał mnie, Tero. Nigdy nie przypuszczałam, że to zrobi. Nie w taki sposób. Nie, jeśli chodzi o... o nas. A potem... poprosił mnie o rękę, jakby to miało wszystko załatwić, a ja odmówiłam... Nie mogła mówić dalej. I na jej szczęście nie musiała, bo Tera objęła ją i tuliła, gdy płakała. Nie wiedziała, czy minęło pięć minut, czy pół godziny, ale kiedy odsunęła się od przyjaciółki, poczuła się lepiej. Pomogło już to, że komuś powiedziała. No pewnie. Niby w jaki sposób zarabia na życie, żeby nie wiedzieć, że rozmowa o problemach przynosi ulgę? To jej praca. Ważna praca. W której jest dobra. Nadal ją ma, nadal wie, kim jest. Nie jest sama. Jakimś cudem to dało jej dość siły, by otrzeć łzy, unieść głowę i wyprostować plecy.

- Która godzina?

- Dochodzi szósta.

- Cholera, muszę się ubrać. Dzisiaj mamy wcześniej kolację, mamy porozmawiać o interesach i... - I on tam będzie. Cholera, dlaczego to się stało akurat teraz? Dlaczego musi na niego patrzeć dzisiaj i przez wszystkie kolejne wieczory tego zjazdu? Kiedy ona... do cholery, jest uwięziona w hotelu z grupą demonów, które z wielkim zainteresowaniem przyjmą najnowsze wieści. Nie wystarczy, że musi patrzeć na Greysona i udawać, że wszystko jest w porządku. Nie, do tego musi jeszcze patrzeć na nich wszystkich i udawać, że nic się nie stało. Super, co?

O siódmej udało jej się dotrzeć do holu. Spóźnianie się to kiepski pomysł, jeśli chce się udawać, że wszystko jest w porządku. A mało brakowało. Przez dwadzieścia minut leżała z torebkami herbaty na oczach. Tera zapew-

niała, że wygląda dobrze, i chyba się nie myliła, co nie zmienia faktu, że czuła się jak wypalona skorupa. Ale na osądzie Tery można polegać.

I właśnie Tera poszła na górę, do apartamentu, po jej rzeczy, po bagaże i przybory do makijażu. Dopiero wtedy Megan zdała sobie sprawę, że przez cały czas Nick siedział na podłodze pod drzwiami jej pokoju.

Teraz stał koło niej, podtrzymywał troskliwie. Roc przycupnął na jej ramieniu z drugiej strony; czuła się przez nich otoczona i czerpała otuchę z ich bliskości.

- Domyślam się, że masz ochotę na drinka - mruknął Nick.

Skinęła głową. Nudno tu, sami Gretneg i ich asystenci.

- Jeszcze go nie ma. Mówił, że przyjdzie później, żeby nie rzucało się w oczy, że przyszliście osobno. Uśmiechnęła się z trudem. Oby ten uśmiech ukrył jej zażenowanie.

- Aż tak łatwo mnie przejrzeć?

- Nie, ale wyobrażam sobie, co ja zrobiłbym na twoim miejscu. To znaczy, gdybym kiedykolwiek zaangażował się w dłuższy związek.

- Szczerze? W tej chwili wydaje mi się, że wygrałeś. Doszli do baru. Demon za kontuarem - chyba od Gunnara - przyrządził jej dzin z tonikiem, ale nie zdążyła unieść szklanki do ust, gdy ktoś położył jej rękę na ramieniu.

Leora. Cholera.

Wielkie niebieskie oczy patrzyły na nią ciekawie. Dziewczyna miała na sobie sukienkę w niemal identycznym odcieniu co oczy. Udało jej się osiągnąć zamierzony efekt; wyglądała jak ucieleśnienie młodości, a Megan w czerni poczuła się przy niej jak starucha. Wszystkie jej suknie są czarne, do cholery, nie zabrała

innych. Gdyby nie była tak pochłonięta rozpaczą i wymiotami, wyskoczyłaby na zakupy, a tak mogła tylko rozpaczliwie liczyć, że uda jej się przetrwać wieczór, nie zalewając się łzami.

Bolało ją całe ciało. W jej klatce piersiowej chyba wybuchła bomba.

- Megan, czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Megan spojrzała błagalnie na Nicka, ale odpowiedział jej bezradnym spojrzeniem spod uniesionych brwi. Niegrzecznie byłoby odmówić, a demony mają obsesję na punkcie manier. Z drugiej strony... na samą myśl o rozmowie z Leorą pociły jej się ręce.

Ale tak naprawdę nie miała wyboru. Skinęła głową.

- Oczywiście.

Leora odciągnęła ją na bok, do słupa, przy którym prowadziła z Greysonem tamtą dyskusję. Miała wrażenie, że od tego czasu minęły setki lat. W jej sercu otworzyła się nowa rana.

- Ojciec chciał, żebym z tobą porozmawiała - wyjaśniła Leora. - Uważa, że dobrze byłoby, gdybyśmy się lepiej poznały.

O, nie. Nie, nie, nie, nie, nie, nie!

- Nie wydaje mi się, żebyśmy miały o czym rozmawiać.

- No wiesz, pomyślał, że może jeśli z tobą porozmawiam, ty pogadasz z Greysonem. To znaczy, chyba nie powinnam ci tego mówić, bo... kiepska jestem w te klocki.

Uroczo się rumieniła. Megan miała ochotę ją uderzyć. Nie tylko dlatego, że była zła, także dlatego, że chyba tylko wtedy Leora przestałaby paplać.

- Wydaje mi się, że Greyson może sam podjąć wszelkie decyzje.

- No, tak, ale mój tata mówi, że do tej pory się nie zgodził z twojego powodu, a ja... on mi się naprawdę po-

dobą. Wydaje mi się, że możemy się zaprzyjaźnić, ty i ja. Nie chcę stawać wam na drodze, ale...  
Wszedł Greyson.

Leora mówiła dalej, ale do Megan jej słowa docierały jako monotonne buczenie w tle. Za bardzo pochłonął ją jego widok. Nie wiedziała też, czy fakt, że świetnie wygląda, jak gdyby nigdy nic, bardziej napawa ją dumą czy złością.

Leora podążyła za jej wzrokiem.

- O, jest.

Zobaczył je. Lekki grymas jego ust i mars na czole sprawiły Megan niewielką, ale jednak satysfakcję. Była ciągle nieszczęśliwa i sytuacja nie poprawiła się, gdy Greyson do nich podszedł.

- Szanowne panie. - Skłonił się tak szarmancko, że ze zdumienia uniosła brwi. - Jakiż to uroczy widok. Mam nadzieję, że nie rozmawiacie o mnie.

Leora zachichotała.

- Oczywiście, że tak. Uniósł prawą brew.

- Domyślam się, że oczekujecie, że zapytam, co mówiłyście? Ale nie zrobię tego, o nie.

Podejrzenia Megan potwierdziły się. Był pijany. Tylko zalany w trupa zachowywał się jak dziewiętnastowieczny dandys. Zaledwie dwa razy widziała go w takim stanie; trzeba naprawdę morza alkoholu, żeby upić demona, a Greyson rzadko pił aż tyle. Chyba przez całe popołudnie wlewał w siebie whisky.

A ona tymczasem wymiotowała i szlochała. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że Greyson wszedł na tym znacznie lepiej.

Leora chyba nie zauważyła, że cokolwiek jest nie w porządku.

- Przecież sam wiesz, że i tak ci powiemy.



- Może ty - odparł. Carter przyniósł mu kolejnego drinka i Greyson wychylił go jednym haustem, aż Megan się wzdrygnęła. - Ale Megan? O, nie. Zresztą w życiu jej o to nie poproszę. Fatalnie odpowiada na moje pytania.

Megan usiłowała uśmiechnąć się beztrąsko.

- Może niewłaściwie je zadajesz.

- Może i tak. Zawsze mi się wydawało, że kobiety nie lubią, gdy się je o coś błaga. I chyba miałem rację.

- Może błaganie nie pomoże, kiedy się okazuje, że wszystkie decyzje podejmowane są za kobietę, a nie razem z nią.

Skrzywił się.

- A mnie się wydaje, że tę decyzję podjęłaś sama.

- Czyżby? A miałam wrażenie, że...

Leora roześmiała się cichutko; był to raczej cień niż prawdziwy dźwięk. Megan drgnęła. Zapomniała, że dziewczyna nadal tu jest.

- Chyba musimy już iść na kolację. - Leora wskazała otwarte dwuskrzydłowe drzwi. Pozostali już wchodzili do sali jadalnej.

- Oczywiście. - Greyson zawahał się króciutko, gdyby nie spodziewała się takiej reakcji, nie zauważyłaby tego. Zaraz podał ramię Leorze. - Idziemy?

Zachichotała i wzięła go pod rękę, czerwona po uszy, a Megan zapragnęła, by do sali wpadły zastępy anielskie, oddziały FBI albo grupa egzorcystów i wreszcie położyli kres jej cierpieniom.

Niestety, nic z tego. Stała sama i odprowadzała Greysona i Leorę wzrokiem, póki Nick i Roc do niej nie podeszli.

Dopiero kiedy opadła na krzesło - na szczęście przy tym posiłku zmieniono układ i Greyson siedział już nie obok niej, a naprzeciw - dotarli do niej wszelkie implikacje jej rozmowy z Leorą.

Czy Win naprawdę uważa, że Greyson nie żeni się z jego córką ze względu na Megan? A jeśli tak, to czy pragnie tego związku na tyle mocno, by posunąć się do zabójstwa?

## Rozdział 20

Miała wrażenie, że to chyba najdłuższy posiłek w jej życiu. Jedzenie zapewne było pyszne. W ogóle nie czuła smaku, ale dla zachowania pozorów zmuszała się, by jeść. Pozostali delectowali się potrawami, zakładała więc, że i ona byłaby zachwycona.

Sądziła, że będzie łatwiej, mając Greysona naprzeciwko, a nie u swego boku. Myliła się. Gdyby siedział obok niej, nie musiałaby na niego patrzeć, podnosząc wzrok znad talerza. Uciekanie spojrzeniem w prawo nie pomagało, bo tam tkwiła Leora. W lewo było jeszcze gorzej - Justine przyglądała się jej okiem, jakim kocur patrzy na mysz ze złamaną łapką.

Mówiąc krótko, był to koszmarny wieczór, sytuację zaś pogarszał fakt, że czuła się bardzo słaba i podatna na atak - każdy z zebranych mógł dybać na jej życie - a także to, że Greyson pił szkocką jak wodę.

Właśnie podano deser - ciasto z owocami i bitą śmietaną - Megan nawet nie udawała, że próbuje go skosztować, gdy Winston odchrząknął.

- W zeszłym roku postanowiliśmy, że podzielimy się z Gunnarem klubami wokół jeziora. Chyba sam przyzna, że nasza współpraca układa się bez zarzutu. Jednak w okręgu Boarwell pojawił się problem. Zniknęło

kilku *rubenda*, pracowników klubu. Podobnie szef kuchni w Galloway's. To wzbudziło podejrzenia policji. Szef kuchni był człowiekiem.

- Zatrudnialiście człowieka? - Justine zadała pytanie Winstonowi, obrzucając przy tym wzrokiem Megan. - Skąd ten pomysł?

- Był fantastycznym szefem kuchni - odparł Gunnar. - Na pewno widziałaś recenzje w *Hot Spot*. Kiedy ściągnęliśmy go z innej knajpy, obroty się podwoiły...

- Na pewno i wśród nas znalazłby się ktoś równie zdolny. Ludziom nie można ufać. Nie powinni się w ogóle do nas zbliżać.

Megan nie była pewna, na kogo pozostali gapią się bardziej, na nią czy na Greysona, który analizował dno swojej szklaneczki z uwagą zwykle zarezerwowaną dla kuponów totolotka albo wezwań sądowych. Czuła na sobie ich spojrzenia.

Greyson z westchnieniem podniósł głowę.

- Justine, proszę, pozwól Winstonowi skończyć, zanim wygłosisz kolejną tyradę. Zgoda?

Niech to. Ona powinna była się odezwać, nie on. Traciła koncentrację. Kiepska sprawa, zwłaszcza w tym gronie.

Zwłaszcza że przez to - między innymi przez to - zapomniała go wczoraj zapytać, czy według niego Justine aż tak nienawidzi ludzi, że mogłaby się posunąć do próby wyeliminowania Megan nie tylko ze świata demonów, ale też ze świata żywych.

Świetnie, na razie dwie osoby przy tym stole mają motyw. Kto następny?

Justine już otwierała usta, by odpowiedzieć, jej piękna twarz poczerwieniała, ale Winston zareagował szybko i posłał Greysonowi zdumione spojrzenie.

- Rzecz w tym, że mamy powody przypuszczać, że zaatakował ich demon. Chcielibyśmy ukrećć sprawie łeb

w zarodku. Czy nasi *rubenda* komuś podpadli? A może macie problem z naszym układem? W zeszłym roku zgodziliście się oddać nam kontrolę nad tym obszarem.

Mówił spokojnie, niemal pogodnie, lecz jego gniew muskał Megan zimnym powiewem.

Pozostali milczeli. Winston westchnął.

- Czy w okolicy pojawił się wolny strzelec? A może wiadomo coś o jakichś problemach w innych miastach? O kłopotach, które jakimś sposobem dotarły i na nasze podwórko?

Głos Greysona zagłuszył ciche pomruki zebranych.

- A skąd pewność, że to w ogóle demon?

- A co innego? - Gunnar odsunął od siebie pusty talerz. Smugi soku wyglądały jak krew. Pochylił się nad stołem. - A co innego mogłoby zaatakować nas na tyle podstępnie, że tego nie wyczuwamy, nie zauważamy? Siedmiu zniknęło bez śladu. Od wielu tygodni jesteśmy w pogotowiu. Sugerujesz, że człowiek byłby do tego zdolny? Że zdołałby zranić kogoś z nas?

- Może to czarownica - odezwał się Baylor Regis. Spojrzał na Megan. - Twoja przyjaciółka o coś pytała?

- To nie czarownica. - Win zbył go machnięciem ręki. - Zastosowaliśmy na nich *betchimal*.

Wiedzieliby, gdyby...

- Coś podobnego - odezwał się Greyson przeciągle. - Ukrywasz coś przed nami, Win? Nie wspominałeś, że wiesz, jak wykonać *betchimal*.

- Nie pytaliście. - Win chyba wyczuł, że nie była to satysfakcjonująca odpowiedź; Baylor miał taką minę, jakby chciał rzucić się jemu i Gunnarowi do gardeł. - Oczywiście chętnie podzielę się z wami tą wiedzą.

- Nie trzeba. - Greyson wziął kolejnego drinka od dyskretnego służącego. - Sam mogę to zrobić.

Co? Mówił... No tak, oczywiście. Tera wykonała rano to zaklęcie; pewnie słuchał. Chętnie dodałaby to do długiej listy zarzutów pod jego adresem, ale nie mogła; szczerze mówiąc, właśnie tego się po nim spodziewała.

- Chętnie się nauczę - warknęła Justine. - Nie odpowiadaj za wszystkich, Greyu.

- Nie śmiałybym odpowiadać za ciebie, Justine. Jestem zbyt inteligentny, by w ogóle o tym pomyśleć. Wszyscy wstrzymali oddech. W pierwszej chwili Justine wydawała się zadowolona, ale zaraz zdała sobie sprawę, że ją obraził; poczerwieniała, a lodowaty podmuch jej gniewu omal nie strącił Megan z krzesła.

Rany, ale się wstawił. Jeszcze nigdy nie był tak nieuprzejmy, a przynajmniej nie bez szczególnie ważnego powodu.

- Dobrze zatem, że to nie mojej inteligencji potrzebowałeś przed Gwiazdką. - Zmrużyła oczy tak, że prawie znikły w jej twarzy, przez chwilę na miejscu pięknej kobiety siedziało straszdyło. - Bo gdyby nie ja...

Greyson ziewnął i odwrócił się.

- Win, mówiłeś, że nikt nie wyczuł napastnika? Skąd wiesz, skoro zniknęli? Byli świadkowie?

- Był jeden - odparł Gunnar po chwili. - Niczego nie widział, ale był na tyle blisko, że *betchimal* zaalarmowały go, gdyby chodziło o czarownicę. A zatem ktoś inny, niewyczuwalny... czyli demon.

- Niekoniecznie. - Greyson spojrzał na Megan, ich oczy się spotkały. Na moment coś w nich rozbłysło, by po chwili zgasnąć. - To mógł być anioł.

Chwilę trwało, zanim dotarły do niej jego słowa, zbyt była pochłonięta ukrywaniem bólu, jaki poczuła pod jego wzrokiem, i analizowaniem ostatnich słów Justine z zapalem pit bulla polującego na królika. I tak właśnie

się czuła; miała wrażenie, że coś brzydkiego i brudnego wymyka się jej wspomnieniom.

- A co anioł miałby tu do roboty? - odezwał się Gunnar. - Sądziłem, że Vergadering je załatwił, a ci, co przeżyli, zeszli do podziemia.

- Owszem, jest tutaj. Widziałem go rano. - Greyson uniósł szklanekę i skinął na kelnera. Megan nie była pewna, czy po tym koszmarnym posiłku zdoła wstać od stołu.

Oczywiście, jeśli nie, mała Leora chętnie zaprowadzi go do swego pokoju. Co za radosna wizja.

Co takiego zrobiła dla niego Justine? Przed Gwiazdką... I nie byłby tam, gdzie jest?

Templeton Black zginął tuż przed Bożym Narodzeniem.

Ale przecież to było samobójstwo. Zostawił nawet list pożegnalny. Tera mówiła, że Vergadering nie podejrzewa morderstwa. A przecież nie odpuściliby, gdyby mieli powody myśleć, że było inaczej.

Vergadering podejrzewał wszystkich i wszystko.

Zresztą, co za różnica? To już koniec. To już nie jej sprawa.

Ciekawe, czy inna myśl kiedykolwiek bolała bardziej. Chyba nie. Oto pierwsza pozycja w kategorii rozpaczy i użalania się nad sobą.

- Widziałeś go? - Twarz Winstona, jak u wszystkich demonów krwi zawsze rumiana, wyraźnie poczerwieniała. Gdyby miał brodę, wyglądałby jak rozjuszony Święty Mikołaj. - I nie powiedziałeś nam?

- Chyba właśnie to zrobiłem.

- Tak, ale... tak. Spodziewałem się, że powiesz nam wcześniej.

Greyson wzruszył ramionami.

- A ja spodziewałem się, że wcześniej nam powiesz, że znikają twoi *rubenda*. Może wyjaśnisz, czemu to przemilczałeś?

- To co innego. To sprawy prywatne.

- Podejrzewaliście, że w mieście jest agresywny demon i nie uprzedziliście nas. - Baylor wodził wściekłym wzrokiem od Winstona do Gunnara i z powrotem, jak rozgniewany nauczyciel, który chce ustalić, kto pierwszy zaczął wojnę na papierowe kulki. - Grey ma rację. Powinniście byli nam powiedzieć.

- Nie byliśmy pewni, co się dzieje - odparł Gunnar. Ciemne włosy opadały mu na czoło; odgarnął je z oczu, ale tylko pogorszył sytuację. Nie najlepiej znosił stres. - Nie chcieliśmy wzbudzać paniki. Justine zlizwała bitą śmietanę z palców.

- To niepoważne.

- I dotyczy tylko nas - odciął się Winston. - Wy też mieliście takie problemy? Nie? Więc to nieważne.

- Dla mnie tak. Naraziliście nas na ryzyko. - Justine dyszała ciężko.

- Ryzykujemy codziennie, ryzykiem jest nawet ta rozmowa. A jeśli to jedno z was? Może ktoś dąży do wojny?

- Jeśli to ktoś z nas, to na pewno Greyson - syknęła Justine. - To on wciska nam kit o aniele.

- Nie wciska kitu. - W końcu temat, na który Megan mogła się wypowiedzieć. - Ja też go widziałam. I czułam. Wczoraj. Zaatakował mnie.

Chciała na niego spojrzeć, upewnić się, że postąpiła właściwie. Nie zrobiła tego. To, co mówi i robi, to już nie jego sprawa. Sam tego chciał, a przypieczętował to, mówiąc Winstonowi, że się zastanowi.

Winstonowi, który przyglądał się jej spod uniesionych brwi.

- Poczulaś go? Możesz go wyczuć?

Jasne. Nie zapytał: „Zaatakował cię? Nic ci nie jest?”, tylko: „Poczułaś go?”

Wszyscy pochylili się nad stołem... Wszyscy oprócz Greysona, który bawił się komórką. Megan poczuła się nagle jak w staroświeckim serialu kryminalnym, a elegancka jadalnia stała się pokojem przesłuchań z lampą świecącą jej prosto w twarz.

- Czułam pustkę - odparła w końcu. - Nieobecność. Yezer chyba też są w stanie to wyczuć, jeśli się skoncentrują.

- Zwłaszcza jeśli porusza się w płaszczyźnie duchowej - dodał Greyson. - Ale nie sądzę, żeby akurat to się wydarzyło.

Gunnar znowu odgarnął włosy z czoła.

- Nie? A niby czemu?

- Wydaje mi się, że posługuje się ludźmi jako tarczami.

- Na przykład? Chwila wahania.

- Wydawał się szczególnie zainteresowany tym duchownym z Windbreaker. Właśnie tam go widziałem. Megan miała wrażenie, że żywi się wyznawcami. Jeśli się nad tym zastanowić, to wcale nie jest głupie. Fanatycy, chcący uwierzyć za wszelką cenę... tylko ich zbierać.

- Może wybrałem złą branżę - mruknął Baylor. Greyson uniósł brew.

- Może.

Kolejny niespokojny pomruk wśród zebranych. Megan spodziewała się, że ktoś zarzuci mu brak wychowania, ale nie. Dziwne.

Win odchrząknął.

- Rzecz chyba w tym, że anioł w ogóle tu jest. I niewykluczone, że poluje na nas, tak?

Wszyscy skinęli twierdząco.

- Moi Yezer czuwają - dodała Megan.



- Ale nie możemy tak po prostu siedzieć tu i czekać na atak. Musimy się zastanowić, jak rozwiązać ten problem - ciągnął Win. - Ty i Greyson widzieliście anioła; może i wy zastanowicie się nad wyjściem z tej sytuacji? Dzisiaj wszyscy przemyślimy tę sprawę, a jutro po południu ustalimy plan działania.

Mam nadzieję, że do tego czasu będziecie coś mieli.

Świetnie. Może nikt inny nie poczuł się niezręcznie - sądząc po Greysonie, który w ogóle już niczego nie czuł - ale ona owszem.

Udawała jednak, że wszystko jest w porządku. W tej sytuacji nie może okazać słabości, więc tego nie zrobi. Uśmiechnęła się zatem, jakby to był doskonały pomysł, skinęła głową, starannie unikając wzroku Greysona.

Ale i tak czuła na sobie jego spojrzenie.

## Rozdział 21

Widok z jej okna ani trochę nie przypominał zapierającej dech w piersiach panoramy, którą zaledwie dzień wcześniej podziwiała z balkonu na czternastym piętrze, ale miała to w nosie. Wyglądała przez okno, ale niczego nie widziała; budynki za szybą trwały w milczeniu, jakby patrzyły na nią przez łyżę. Wszystko było zamazane. Kiedy ta koszmarne kolacja wreszcie dobiegła końca, złapała dwie butelki burbona i Nicka, i zaciągnęła do swojego pokoju. Swojego małego, obskurnego pokoju.

Greyson wyszedł z Leorą. Położyła mu dłoń na ramieniu i wyszli razem. Ta myśl paliła ją żywym ogniem.

Mogła zadzwonić do Tery. I może powinna to zrobić. Ale nie wiadomo dlaczego, myśl o jej współczuciu - Megan zawsze wiedziała, że przyjaciółka ma także prawdziwe emocje - w połączeniu z jej bezpośredniością i... Nieważne. Nie, gdyby miała być szczerą, tak boleśnie szczerą, jak zawsze doradzała to pacjentom, przyznałaby, że nie chciała u swego boku Tery, bo wolała kogoś bardziej związanego z Greysonem. Mężczyzny, który nie będzie jej zmuszał do mówienia.

Poza tym, do cholery, i tak musi być tu z Nickiem, bo najwyraźniej nadal zamierzał grać rolę jej anioła stróża. Więc po co tu Tera? Żeby znowu skakali sobie do gardeł i zaraz potem flirtowali na jej oczach? Nie wyobrażała sobie gorszego sposobu spędzenia najbliższych dwóch godzin niż przyglądanie się, ze złamanym sercem, jak dwie piękne istoty są o krok od namiętej erotycznej sesji tuż pod jej bokiem.

- Jak myślisz? - zapytał. - Yezer zdołają wytropić anioła?

- Tak sądzę. - Ponownie wyjrzała przez okno. Tym razem wyobraziła sobie anioła, jak ją obserwuje. Znowu zobaczyła, jak spada z dachu, ponownie przeżywała moment, gdy myślała, że go zabiła, i nie mogła sobie przypomnieć, co wtedy czuła. Wszystko spowijał mrok; wypełniały ją o wiele mroczniejsze wspomnienia. To nie fair, że Greyson wydawał się potężniejszy, ale nic nie mogła na to poradzić. Owszem, myślała, że kogoś zabiła, ale działała w obronie własnej. I, choć o tym w ogóle nie chciała myśleć, nie był on pierwszą... istotą, którą zabiła, prawda? Pokonała Oskarżyciela. I Ktana Leyak.

Czy Greyson zabił Templetona Blacka? Czy zlecił to zabójstwo? Chciał przecież prosić Winstona o śmierć Oriona Maldona, bo ten im zagrażał, spiskował przeciwko nim i chciał ich zabić.

Ale dlaczego otwarcie mówił przy niej o Maldonie, a nie wspomniał o Blacku?

A ona nie pytała. Niby dlaczego? Znalaziono go martwego w więzieniu Vergadering. Zostawił list pożegnalny. Skąd miała wiedzieć, że to było morderstwo?

Nick westchnął.

- Megan, nie wiem, co powiedzieć.

Nie był to temat, który chciała poruszyć.

- Nic nie mów, tylko jeszcze mi nalej, dobrze? Dolał i jej, i sobie.

- Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie, byłem pewien, że wy...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Dobrze, przepraszam, po prostu pomyślałem, że może chciałabyś...

- Ale nie chcę. Uśmiechnął się.

- Dobrze, nie chcesz. O czym będziemy rozmawiać?

Proste ciemne włosy opadały mu na czoło; pod mocno zarysowanym podbródkiem widziała rozpięte guziki eleganckiej koszuli; muszki pozbył się już dawno, a wieczorowe spodnie zmienił na dżinsy.

Megan nie chciało się przebierać. Siedzieli na środku łóżka, butelki stały między nimi. Zadarła spódnicę, żeby usiąść po turecku. Miała wrażenie, że są na pikantnym pikniku.

Uśmiechnęła się.

- Czytałeś ostatnio coś dobrego?

- Mnóstwo. Porozmawiamy o wszystkich książkach po kolei.

I tak też się stało. Przez mniej więcej godzinę rozmawiali o literaturze, a poziom burbona w ich butelkach obniżał się, w miarę jak humor Megan się poprawiał. W końcu ogarnęła ją wariacka wesołość, która zapowia-

dała załamanie czające się tuż-tuż. Przemieszczali się na łóżku, aż w końcu siedzieli wsparci o wezglowie, ramię przy ramieniu, i zaśmiewali się z telewizji i wszystkiego dokoła.

Nick opróżnił kolejną szklanę.

- Miałaś jakieś wieści do rodziny? No wiesz, od pogrzebu...

- Nie i wcale się ich nie spodziewam, więc mnie tym nie zaskoczyli.

- Przykro mi.

- Nic nie szkodzi - powiedziała i naprawdę tak myślała. Byłaby tego samego zdania, nawet gdyby nie wypila tyle, że teraz wszystko było jej obojętne. Greyson, ten kłamliwy skurczybyk, miał naprawdę lepszy pomysł; to o wiele lepsze niż siedzieć na trzeźwo przy kolacji z uczuciem, że ma kamienie w żołądku.

Wyszedł z Leorą. Cholera.

- No naprawdę, to znaczy, może byłoby inaczej, gdyby w moim życiu nie pojawiły się demony. Ale teraz mam... no wiesz, mam... mam Yezer. I Terę, i Briana... Rozumiesz?

Skinał głowę.

- Tak. Ja też bardzo długo nie miałem nikogo po tym, jak... po tym, jak zginęli moi rodzice. A potem poznałem Greya, a jemu było zupełnie obojętne, co się stało i kim byłem.

- Jak to?

Zawahał się i jej pytanie, zadane w dobrej wierze, z czystej ciekawości, nabrało nowego znaczenia.

- Nie musisz odpowiadać, to znaczy, jeśli rzeczywiście nie chcesz...

- Nie, w porządku. - Dolał sobie, wychylił jednym haustem. Była ciekawa, czy jest równie pijany jak ona. Chyba nie, ale na najlepszej drodze; opróżnił już swoją

butelkę i teraz podkradał jej alkohol. - No cóż, wiesz, że jestem półkrwi inkubem.

Z uśmiechem uniosła brew.

- Tak, coś mi się na ten temat przypomina.

- Och, no tak.

Był tak blisko; wyciągnęła rękę i pogładziła jego kolano.

- Nic nie szkodzi, naprawdę. Mów dalej.

- Cóż. Moja mama była sukubem. Ona... Była wspaniała. To znaczy, surowa, ale wspaniała. A mój ojciec był w części demonem duszy - *vershet*, w Ameryce jest ich bardzo mało - a częściowo demonem wody. Liczył, że wdam się bardziej w niego niż w nią, ale odziedziczyłem cechy obojga. W każdym razie... jego rodzina zupełnie nie akceptowała mojej matki, nie chciała, żeby się pobierali. Sytuacja wcale się nie zmieniła po moim narodzeniu.

- Kiepska sprawa.

- Tak. W końcu sprawy się ułożyły, ojciec znalazł pracę... W rodzinnej firmie go nie chcieli, a nikt inny go nie przyjął ze względu na opinię, jaką wystawili mu krewni. Pamiętam, że było dobrze. Pamiętam, że byłem szczęśliwy. I wtedy... gdy pewnego dnia wróciłem do domu, miałem wtedy sześć lat, zastałem u nas Vergadering. Czarownice nie wpuściły mnie do środka.

- Nie żyli? - zapytała miękko. Skinął głową.

- Chyba się pokłócili. To tylko moje przypuszczenia; nikt mi nigdy niczego nie powiedział, nie pozwolili mi przejrzeć akt, nic. Zabił ją, a potem popełnił samobójstwo.

- O Boże. - Zacisnęła prawą rękę na jego kolanie, lewą uniosła do szyi. - Nicku... Tak mi przykro....

- Tak, to rzeczywiście do bani. - Uśmiechnął się, ale w jego oczach widziała smutek. - Jej krewni mnie nie

chcieli, bo... Cóż, uważali, że to moja wina. A jego rodzina widziała we mnie półkrwi inkuba, bali się, że go zdeprawowałem, że jestem nieczysty czy coś takiego, sam nie wiem. Więc trafiłem do szkoły Vergadering, szkoły z internatem dla demonicznych sierot albo dzieci niebezpiecznych rodziców. Przypomniała sobie jego energię, ból i gniew. I jego uwagi pod adresem Tery.

- To chyba nie było dobre miejsce. Roześmiał się, krótko i gorzko.

- Cóż, można tak powiedzieć.

- A szkoły dla demonów? Dla osieroconych demonów?

- Wtedy wszystko wyglądało inaczej, Meg. To było zaledwie trzydzieści lat temu, ale w tym czasie wiele się zmieniło. Wtedy po tym, co zrobił mój ojciec, nie tylko krewni matki uważali, że jestem skalany; utrzymywało tak całe społeczeństwo demonów. Hańba ojca przeszła na mnie. Wszystko się zmieniło, kiedy miałem szesnaście lat i zdobyłem stypendium. Wtedy poznałem Grey-sona i... cóż, jak powiedziałem, on się tym nie przejmował.

Poczuła łzy pod powiekami. Zamrugała szybko, schyliła głowę, licząc, że ich nie widział.

- To w jego stylu, prawda?

- Megan... co się stało? Cholera. Nie chciała tego.

- Musisz jego zapytać.

- Zapytałem.

- Więc wiesz, co się stało.

- Znam jego wersję wydarzeń.

- Co... Nie, lepiej nie, nie chcę wiedzieć. Powiedz mi co innego. Powiedz mi, czym się zajmujesz w Miami. Nigdy o tym nie mówisz.

- Jestem striptizerem. Otworzyła usta z wrażenia.

- Naprawdę?

- Nie, ale to byłoby ciekawe, nie sądzisz?

To wcale nie było aż takie śmieszne, ale Megan i tak śmiała się głośno, za głośno. Pokój chwiał się i kołysał jak łódź na jeziorze; za mało, by zrobiło się jej niedobrze, ale wystarczająco, by sobie uświadomiła, że wypła morze alkoholu.

- Jakim cudem nie masz dziewczyny? Jesteś taki zabawny. - Zabrzmiało: „Jstś tki zbawny”. Miała nadzieję, że nie zauważył.

- A co jedno ma z drugim wspólnego?

- Dla mnie ma. I dla wszystkich kobiet z głową.

- Więc może po prostu nie spotkałem kobiety z głową. A może wcale nie wydaję się im zabawny. Albo po prostu im się nie podobam.

- Jak możesz im się nie podobać? - Cholera, trochę za głośno. - Mnie się podobasz.

- Chyba jesteś pijana. Znowu zachichotała.

- Chyba tak. A ty? Zamyślił się.

- Ja chyba też.

- To dobrze. Nie chcę, żebyś był trzeźwy, kiedy ja jestem pijana.

- Oczywiście, to byłoby nieuprzejme z mojej strony. Gdybym był trzeźwy.

- No właśnie.

To rozbawiło ich oboje i parsknęli śmiechem, aż Megan zrobiło się niedobrze. Powoli pokręciła głową.

- Ale poważnie: dlaczego nie masz dziewczyny? Znam cię tyle czasu i nigdy się z nikim nie umawiałeś, prawda?

- Tak. Rzadko się umawiam, ja...
  - Ale... Ale jesteś inkubem. Ty chyba musisz... Oj, przepraszam, nie powinnam o to pytać, prawda? Ale chciała wiedzieć i była na tyle pijana, że mogła zapytać. Na tyle pijana, że siedziała naprzeciwko niego, z ręką na jego piersi. Czowała bicie jego serca; równe, silne, wprawiające jej dłoń w drżenie.
  - Nie szkodzi - odparł. Poklepał jej dłoń, powoli, uroczyście. Po czym zawahał się i powtórzył ten gest.
  - Owszem, muszę, jak to ujęłaś. Ale na dłuższą metę... Nie mógłbym związać się z kobietą śmiertelną i zachować w tajemnicy całej tej demonicznej kwestii. A kobiety mojej rasy... nie chcą mieć ze mną do czynienia. Uważają, że... Powiedzmy, że mam nie najlepszą reputację.
  - Jak to? Uniósł brwi.
  - Cała ta sprawa z moim ojcem. Wszystko przeszło na mnie, zapomniałaś już?
  - Ach, tak. Więc umawiasz się ze zwyczajnymi kobietami. Na krótko.
  - Można tak powiedzieć. Jedna noc to krótki czas, prawda?
  - Więc sypiasz z wieloma kobietami - powiedziała i te słowa ją zaszokowały. Co ona wyprawia? Nadal trzymała rękę na jego piersi, miała odsłonięte nogi, długą spódnicę zadarła niemal do bioder. Sama w pokoju hotelowym leczy złamane serce w towarzystwie piekielnie przystojnego mężczyzny. Którego naprawdę lubiła. I który jej się naprawdę podobał.
- I właśnie dlatego nie powinna nawet myśleć o tym, o czym sama przed sobą udawała, że nie myśli. Greyson wyszedł z Leorą. Co teraz robią? Rozmawiają? Żartują? A może coś innego? Czy patrzy na nią tak, jak zawsze patrzył na nią, Megan?



Nick albo nie wyczuł jej pijackich rozważań, albo nie zwracał uwagi na to, jak powietrze wokół nich nagle znieruchomiało. Albo był zbyt pijany; nie tylko ona miała problemy z formowaniem słów.

- No, tak. Nie jestem z tego dumny.

- Owszem, jesteś. Parsknął śmiechem.

- No dobrze, może trochę jestem. Troszeczkę. Ale poważnie, Megan, jestem już na to za stary. - To żałosne. Żałosne i... - Ich oczy się spotkały. - Samotny. Jestem samotny.

- Nie powinieneś. Jesteś wspaniały. Niby czemu miałbyś być sam?

- Nikt inny nie podziela twojej opinii. To znaczy, nie uważa, że jestem wspaniały. - Zamrugał, jakby miał kłopoty z koncentracją. - Uważają, że jestem niczym. I może mają rację.

- Nie, nie mają.

Powoli pokręcił głową, a raczej nią zakołysał.

- A ja uważam, że mają. Bo niby dlaczego ciągle jestem sam? Coś musi być ze mną nie tak. Denerwuję się, gdy jakaś kobieta naprawdę mi się podoba, dziwnie się przy niej czuję. A te, z którymi się umawiam, są takie głupie. Nie są takie jak ty, mądre i w ogóle. One...

- Myślisz, że jestem mądra?

Nawet biorąc pod uwagę przypadkowe, wstydlive myśli, które wcześniej przebiegały jej przez głowę, sama nie do końca wiedziała, czemu to zrobiła. Może spowodowała to jego opowieść o smutnym życiu i odruch, by go pocieszyć. A może fakt, że prawił jej komplementy, których tak bardzo potrzebowała teraz, gdy czuła, że znajduje się niżej niż plankton w łańcuchu pokarmowym szczęścia i inteligencji. A może gdzieś w mrocznym zaułku jej duszy - póki nie zjawił się Roc, nie miała

demona osobistego i mimo to robiła różne rzeczy, których nie powinna, rzeczy, do których innych namawiały demony - cały czas myślała o tym, że Greyson wyszedł z kolacji z Leorą i cały czas zastanawiała się, co razem robią. Czy zdawał sobie sprawę, ile bólu sprawił jej widok ich razem. I ta ciemna część jej duszy pragnęła zemsty.

A może po prostu alkohol nie tłumił bólu tak skutecznie, jak na to liczyła, i postanowiła spróbować czegoś innego.

Nieważne; pochyliła się i pocałowała Nicka. Mocno, prosto w usta, nadal trzymając rękę na jego piersi.

Poczuła jego zdumienie; opuściła tarcze ochronne i Nick prawdopodobnie zrobił to samo. Nie spodziewała się, że przeczyta go z taką łatwością; to znaczy, oczywiście nie czytała go tak, jak zwykłych ludzi, ale wyczuwała jego zaskoczenie. Czuła, jak błysk pożądania przenika wprost do jej ego i tam zostaje.

- Megan - zaczął, ale nie dała mu dokończyć. Położyła mu dłoń na karku, tam, gdzie krótkie włosy łaskotały jej palce, i pocałowała mocniej.

Serce Megan dudniło głośno. To jest złe, nie powinna tego robić, powinna się natychmiast odsunąć. Teraz, zanim sprawy zajdą za daleko. O pocałunku można zapomnieć, można go zbyć wzruszeniem ramion i nie zostanie po nim żaden niesmak; to nic takiego, zwłaszcza między dwojgiem pijanych przyjaciół. Powinna przestać, przeprosić go i rozważyć, czy nie zemdleć.

Ale nie zrobiła tego. A po chwili jego wahanie przerodziło się w coś innego; nakrył jej policzek dłonią, rozchylił usta i - o cholera - dowiedziała się, czym jest pocałunek demona seksu.

Ogarnęła ją czysta erotyczna energia, tak silna, tak ostra, że cała zeszywniała. Czuła, że się rozplýwa; kiedy

dotknął jej języka, krzyknęła, już rozpalona. Czuła, jak topnieje, jak przepelnia ją gorąca fala pożądania, która sprawiała, że pragnęła zadrzeć sukienkę, ściągnąć majtki i pozwolić, by brał ją, jak tylko zechce.

Doświadczyła już czegoś podobnego w restauracji Mitchella, gdy spotkali się po raz pierwszy, i nie wiedziała, kim jest Nick. Wtedy to były tylko jego oczy, jego dłonie. Teraz... teraz to wszystko spotęgowało się dziesięciokrotnie.

Ale to nie to samo, co z Greysonem. Z tym nic się nie może równać. Ale i tak jest dobrze, musiała to przyznać.

- Nie możemy - wymamrotał. - Nie możemy tego zrobić, do cholery.

- A właśnie że możemy. - Przesunęła dłonią po jego piersi, pochyliła się, żeby pocałować go w szyję. Dziwne. Zupełnie inna niż u Greysona. Skóra Nicka była piżmowa, korzenna, chłodniejsza w dotyku. Odchylił głowę, żeby ułatwić jej dostęp, choć jednocześnie złapał ją za ramiona, jakby chciał ją odepchnąć.

Ale nie zrobił tego. Całowała płatek jego ucha,ssała go i poczuła nowy, silniejszy przyływ pożądania.

- Nie możemy, Grey to mój przyjaciel, ja nie...

- Zamknij się. - Zrobiła to za niego. Zamknęła mu usta pocałunkiem, przyjęła jego energię i oddała mu ją, aż jęknął. Zdawała sobie sprawę, że Nick ma rację, że postępują źle, ale jakoś o tym zapomniała. Jakimś cudem nie mogła się powstrzymać.

Jakimś cudem nie mogła przestać zastanawiać się, czy siedem pięter wyżej Greyson robi to samo z Leorą. A może już skończyli i śpią, wtuleni w siebie na tym wielkim łożu. Czy wsunął jej już pierścionek na palec...

Nick napierał swoją mocą, gęstą od pożądania i czerwoną od gniewu, jak zawsze w jego wypadku. Nagle przestała myśleć. Pozwoliła za to, by wplótł palce w jej

włosy i ułożył ją obok siebie. Pozwoliła, by przejął kontrolę, by pogłębił pocałunek; rozchyliła wargi pod naporem jego ust. Przyływ mocy sprawił, że drżała.

- Nie możemy - szepnął. Przesunął dłoń wzdłuż jej żeber, zatrzymał tuż poniżej piersi. Emanował ciepłem. - Nie powinniśmy.

- Nie obchodzi mnie to. - Znalazła skraj jego koszuli, wsunęła dłoń pod spód, dotknęła nagiej skóry. Bez *sgaegas*; to inne plecy. To inny mężczyzna.

Wiedziała o tym. Wiedziała, że nie całuje się z Greysonem, że moc w niej to nie moc Greysona.

Owszem, była ciepła i przyprawiała ją o dreszcze, ale to nie była moc Greysona.

I właśnie tego chciała, mimo ukłucia bólu, mimo przecucia w głębi duszy, że popełnia jeszcze większy błąd, niż jej się początkowo wydawało.

Ale, Jezu, ależ on całował. Jej ciało reagowało instynktownie, nie czekało na polecenia umysłu. Opłótła go prawą nogą, przyciągała coraz bliżej, poczuła na sobie jego twardość, tak blisko, że jęknął i jego dłoń dotarła do celu. Wygięła się w łuk pod jego dotykiem. Dotykał delikatnie, zataczał dłonią powolne koła, drażnił jej sutek przez sukienkę. Czuła to w całym ciele, odpowiedziała gardłowym jękiem i pocałowała go, musnęła zębami jego język. I poczuła kolejny przyływ mocy i pożądania. Przyjęła je i oddała mu; powróciły po chwili falą, której nie mogła się oprzeć, mogła jedynie pozwolić, by obmyła ją i zabrała resztki zdrowego rozsądku. Resztki wątpliwości.

Pozwoliła, by jej dłonie błądziły po jego klatce piersiowej, by czuły rytm jego serca. Dotykała jego żeber, przesunęła je niżej, znalazła wypukłość w dżinsach i potarła tak mocno, że gwałtownie wstrzymał oddech.

- Do cholery, Megan.

Spódnica krępowwała ją w talii, dłonie Nicka mocowały się z nią niecierpliwie, jego usta zsuwały się coraz niżej wzdłuż szyi, do piersi. Krew dudniła jej w uszach. Była miękka, bezwładna, przepełniona mrocznym pożądaniem. Dotknęła suwaka jego spodni. Pieścił jej uda palcem, ledwie muskał skraj jej majteczek i zaraz uciekał, powracał i uciekał, aż złapała się na tym, że porusza biodrami, szuka jego palców, zła, że nie ma ich tam, gdzie tego pragnie...

W pierwszej chwili myślała, że pukanie do drzwi to tylko gra wyobraźni, tym bardziej że rozległ się męski głos wołający jej imię. Ale nie ustępował, był coraz bardziej natarczywy. Tak głośny, że nie mogła go dłużej ignorować.

Greyson stał pod jej drzwiami.

## Rozdział 22

Nick zdał sobie z tego sprawę chwilę później. Odskoczyli szybko do siebie, jakby wpadł między nich zdechły kot.

- Megan, otwórz, proszę. Musimy porozmawiać.

W lustrze nad toaletką widziała rozpaloną kobietę; włosy, upięte na czubku głowy, opadały kosmykami na twarz, zsunęło się ramiączko sukni. Miała opuchnięte usta i rozmazany tusz.

Wyglądała, jakby przed chwilą robiła... dokładnie to, co robiła.

Nick patrzył na nią wzrokiem pełnym zażenowania.

- Cholera, wiedziałem, że tak będzie, cholera...

- Uspokój się, dobrze?

Megan wsunęła włosy za uszy, rozpuściła je, przeczesła palcami.

- Nie zrobiliśmy nic złego. Znowu głos Greysona zza drzwi:

- Meg, proszę. Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie chcesz ze mną rozmawiać, ale... proszę cię, do cholery.

- Nie zrobiliśmy nic złego. - Nick staczał walkę ze swoją koszulą; wsadził ją w spodnie, uznał, że nie wygląda to najlepiej, więc ją wyciągnął i powtórzył wszystko od początku. - To znaczy... cholera, jestem pijany. Zrobiliśmy. Zrobiliśmy.

- Wcale nie. Tylko trochę się całowaliśmy. To nic takiego.

- Nie według niego - sapnął Nick.

Megan była skłonna przyznać mu rację i bardzo ją to złościło. Niby dlaczego martwi się tym, że Greyson się dowie? Przecież zerwali ze sobą, prawda? Co go, do cholery, obchodzi, z kim ona się całuje? Albo troszeczkę pieści? Nie, nie będzie miała wyrzutów sumienia z tego powodu; nie posunęli się dalej niż licealiści pod nieobecność rodziców, którzy pojechali po pizzę. Co to było? Pierwsza baza? No, może druga. Nie miała pojęcia, ale trzecia to zdaje się naga skóra, więc... nieważne. Nie posunęli się za daleko, w tym rzecz.

- *Bryaela*, wiem, że nie śpisz, widzę, że pali się światło. Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym to wszystko musiał ci powiedzieć przez drzwi.

Jeszcze tylko szybkie zerknięcie w lustro. Przetarła oczy i usta, żeby wyglądać normalnie. Zacisnęła dłoń na zimnej gałce w drzwiach. Żołądek podszedł jej do gardła. Nie było to najprzyjemniejsze uczucie, wzmocnione dodatkowo zdenerwowaniem, strachem i rozpaczą. I podnieceniem nadal buzującym w jej krwi.

- Błagam cię...

Opierał się o framugę, równie pijany jak przedtem, ale już mniej elegancki. Miał ciemne kręgi pod oczami, rozpiętą koszulę, poplamioną, jeśli się nie myliła, rozlaną whisky. Spowijał go zapach szkockiej i dymu tytoniowego; nie przykry, lecz niepokojący; demony ognia czasami palą, czerpią z tego energii. Greyson jednak robił to rzadko i nigdy nie w takich ilościach, by czuła od niego zapach dymu.

Widok Greysona w takim stanie zabolął ją jak cios w samo serce.

Stali tak, mierząc się wzrokiem, może przez minutę, a może godzinę. Megan nie umiała tego ocenić. Wciąż kręciło się jej w głowie; nie wiedziała, czy wciągnąć go do pokoju i rzucić mu się na szyję, czy kazać się wynosić i dać jej święty spokój. Okłamał ją, tak, nadal była o to wściekła. Nadal wszystko ją bolało.

Ale tak bardzo go kocha. A on jest taki smutny. Tak bardzo za nim tęskni. Boże, jak za nim tęskni.

- Dziękuję - powiedział. - Mogę wejść? Proszę? Skinęła głową. Obawiała się, że gdyby otworzyła usta, wydobyłyby się z nich skrzek albo charkot, jedno i drugie upokarzające i żenujące. Na głosie nie można polegać. Więc tylko skinęła głową, cofnęła się i zamknęła za nim drzwi.

- Meg. - Wyciągał do niej ręce, ale zmienił zdanie. Nie odrywał oczu od jej twarzy. - Meg, ja... przepraszam, cholera. Przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Sknociłem. Wszystko sknociłem i jest mi tak cholernie przykro...

Otworzyła usta z wrażenia.

Jeszcze nigdy tego nie powiedział. Nigdy. Nigdy. Ani jej, ani nikomu innemu. Nigdy nie słyszała, by słowo

„przepraszam" padło z jego ust. Oczy ją piekły. Wybrał akurat to, co zabolę ją najbardziej. Może zdawał sobie z tego sprawę, a może nie. W innej sytuacji uznałaby, że wiedział, jak to na nią podziała, ale nic na to nie wskazywało, nie zawahał się, nie czekał, by zobaczyć, jak to przyjęła.

- Ale wiem, że możemy.... Zastanawiałem się nad tym. Nad nami. Możemy to jakoś naprawić, prawda? Wymyślimy coś. Nie mogę...

Jego dłoń dotknęła policzka Megan. Zamknęła oczy. Teraz i ona płakała. Do cholery.

- Wiem, że nigdy ci nie powiedziałem... Och... Cześć, Nick.

Megan odwróciła głowę i zobaczyła Nicka stojącego pod drzwiami łazienki, z dłońmi w kieszeniach i spuszczonego wzrokiem.

- Cześć.

- Słuchaj, mógłbyś zostawić nas samych? Musimy pogadać i...

Urwał tak nagle, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje; przez jedną szaloną chwilę sądziła, że skończył zdanie, a ona po prostu go nie rozumiała.

I wtedy do niej dotarło, że rozgląda się po pokoju, a na jego twarzy pojawia się wyraz przerażenia.

Przycisnął dłoń do twarzy Megan, opuścił rękę, zacisnął na jej palcach. Jego energia otoczyła ją, muskała jej ramię, słaba imitacja tego, co by było, gdyby stali bliżej, ale dość silna, by wyczuła, jak ją opływa i cofa się.

- Nie.

Co „nie"? O co mu chodzi? Co on wyczuwa?

Rozejrzała się szybko wokół siebie ponownie. I zobaczyła Nicka ze zmierzwionymi włosami, ze śladami szminki na szyi, zobaczyła skłębioną narzutę na łóżku,



dwie szklanki wtulone w siebie na nocnym stoliku. O nie, cholera, nie, nie, nie... Greyson pokręcił głową.

- Nie. Proszę, nie, powiedz, że... Nie, cholera, oszalałem, tak? Jestem bardziej pijany, niż mi się zdawało? - Jego wymuszony śmiech niósł się echem w martwej ciszy. - Błagam, powiedz, że...

Megan już otwierała usta, żeby coś powiedzieć - sama nie wiedziała co. Pewnie coś w stylu: „Ale o co ci chodzi?”

Nie zdążyła. Nie wiedziała, co wywołało wybuch - może wstyd i żal na twarzy Nicka. A może, dotykając jej, Greyson wyczuł na niej energię Nicka, poczuł resztki rozpaczliwego, palącego pożądanego, które ogarnęło ją wcześniej. Może zadziało jedno, może drugie, może połączenie obu czynników. Nie był głupi; w przeciwnym razie nie zaszedłby tak wysoko. Natychmiast wszystko zauważył.

Zresztą nieważne, po czym się zorientował. Ważne, że teraz patrzył na pokój takim wzrokiem, jakby odkrył w nim zakrwawione ciała najbliższych, a w następnej chwili, zanim zorientowała się, co zamierza, znalazł się w połowie pokoju.

Zaskoczył ją i zdumiał dźwięk, jaki się rozległ, gdy pięść Greysona wylądowała na twarzy Nicka. Nick osunął się na ścianę i ukrył twarz w dłoniach. Nie bronił się.

- Przepraszam - wychrypiął, nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdy spadł kolejny cios.

- Greysonie, przestań! - Podbiegła do niego, zawahała się, czując się jak słaba idiotka w kiepskim filmie, ale naprawdę nie wiedziała, co robić.

Nick leżał na ziemi w kałuży krwi. Nadal nie stawiał oporu. A Greyson zadawał kolejne ciosy i krzyczał coś w języku demonów. Czy powinna starać się go odciągnąć, powstrzymać?

Wszystko jedno. Wyciągnęła rękę, chwyciła go za ramię i zaraz się cofnęła, gdy jego pięść stanęła w płomieniach.

Ogień rozprzestrzenił się po jego ramieniu, wpełzał na plecy, pochłaniał koszulę, odsłaniał nagą skórę pod biało--niebieskim płomieniem. Było tak gorąco, że czoło Megan pokryło się potem; cofnęła się, ale nie przestawała mówić:

- Greysonie, proszę cię, przestań... Naprawdę do niczego nie doszło, to była moja wina, nie bij go, proszę...

Odskokzył. Dostrzegła wyraz jego twarzy, oczy jak rozżarzone węgle. Greyson pochylił się nisko, ukrywając twarz w dłoniach.

Płonącą skórą dotknął dywanu. Krzyknęła, gotowa rzucić się do łazienki po wodę, ale ogień zgasł i na nim, i na podłodze.

- Nie, cholera jasna, nie, proszę, nie. Nie z Meg, Nicku. Proszę, nie z nią.

- Chwileczkę. - Była to chyba jedna z głupszych rzeczy, jakie w życiu powiedziała, ale w tej chwili już nic jej nie obchodziło. Nie teraz, gdy Nick leżał na podłodze. Opuchlizna pokrywała jego oczy i nos. Tępo wpatrywał się w sufit.

To wszystko jej wina.

- Czy już za nic nie odpowiadam? To była moja wina, Greysonie, to ja...

- Co? Ty... Co?

O cholera. A podobno taka inteligentna z niej kobieta. Jakim cudem udało jej się wszystko tak bezbłędnie sknocić?

- Pocałowałam go - powiedziała najspokojniej, jak umiała. - Ja zaczęłam. Ale to było wszystko. Kilka pocałunków, nie posunęliśmy się... Zresztą, właściwie czemu tak cię to wścieka? Zerwaliśmy, zapomniałeś już? Wyszedłeś z Leorą. Co ty z nią robiłeś?

- Z... Jak to, co z nią robiłem?

- No właśnie: co z nią zrobiłeś? Nie ukrywałeś, że wychodzicie razem. Co niby miałam sobie pomyśleć? Myślisz, że ja nie...

Zerwał się na równe nogi i wbił w nią płonące spojrzenie, aż się cofnęła. Nie mogła znieść malujących się w nich bólu, gniewu i niedowierzania. Żalotne szczątki jego zaufania raniły Megan jak odłamki lustra.

- Czy ty... dlatego to zrobiłaś? Żeby się zemścić? Wciągnęłaś w to Nicka, bo wyszedłem z Leorą?

- Zraniłeś mnie - odparła, ale zabrzmiało to tak tandetnie, że miała ochotę sama się spoliczkować. - Wyszedłeś z nią, postarałeś się, żebym to widziała i... i...

- I dlatego wykorzystałaś Nicka?

- A ty nie wykorzystałaś Leory?

- To co innego. Ona nic mnie nie obchodzi!

- Więc ją wykorzystałaś.

- Może i tak, ale nie wskoczyłem z nią do łóżka. Nawet jej nie tknąłem.

- My też niczego nie zrobiliśmy - powtórzyła. Chciała powiedzieć to głośno, żeby zabrzmiało dumnie i pewnie, ale nie była w stanie. - Naprawdę, do niczego nie doszło. Pocałowałam go... Całowaliśmy się przez chwilę i tyle. Greysonie, przepraszam, jestem pijana i załamana, i byłam taka wściekła... Nie możemy po prostu o tym zapomnieć? Przejść nad tym do porządku dziennego?

Szarpnął głową, jakby podsunęła mu amoniak pod nos.

- Nie mieści mi się to w głowie... Nie mogę teraz. Nie mogę tu być. Nie teraz.

- Ja...

- Nie spodziewałem się tego po tobie.

- A ja nie spodziewałam się, że mnie okłamiesz.

- Oczywiście. Wszystko moja wina. Ależ ze mnie drań, że chciałem poczekać na odpowiedni moment...

- Skoro tak to widzisz, za co chciałeś mnie przeprosić? Skoro i tak masz rację, po co przeprosiny?  
- Masz rację. Niepotrzebnie zwracałem sobie głowę. - Spojrzał na Nicka, który z trudem dźwigał się z podłogi. - Przepraszam, Nicku - mruknął, odwrócił się i wyszedł.

Obudziła się z dudnieniem w głowie. Przez jedną koszmarną chwilę senna mara towarzyszyła jej na jawie i wydawało jej się, że źródłem bólu jest anioł, który przysiadł u wezgłowia łóżka i ścisną jej skronie jak w imadle.

Niestety. Wraz ze świadomością powróciły wspomnienia i nawet słoneczny blask poranka nie zdołał przyćmić wyrazu rozpaczony w oczach Greysona. Jęknęła, ale zabrzmiało to jak szloch; przekreśliła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę.

- A cóż to za fochy o poranku? - zapytała Tera.

Tera? Skąd, u licha... Megan podniosła głowę i zobaczyła przyjaciółkę siedzącą na skraju łóżka. W rękach miała dwa kubki z, jak Megan miała nadzieję, kawą. Albo z cykuta. W tej chwili równie chętnie wypiłaby jedno i drugie.

- Słyszałam, że wczoraj sporo się działo - zaczęła spokojnie Tera.

- O Boże. - Megan opadła na poduszki. - Wszyscy wiedzą?

- Jasne. Cały hotel. Dziwisz się? Nie co dzień zdarza się coś takiego. Demony szaleją.

- Bo całowałam się z Nickiem? Skąd...

Mało brakowało, a Tera zakrztusiłaby się kawą.

- Całowałaś się z Nickiem? Jakim cudem?

- A nie o to ci chodziło?

- Co takiego? Całowałaś się z Nickiem? Tak naprawdę, z języczkiem? I jak było? Wygląda na dobrego kochanka.

Kto by pomyślał, że taka z ciebie ochocza dzierlatka. Niedługo cierpiałas.

- Ochocza... W którym wieku żyjesz? - Megan wzięła kubek i wypła spory łyk. Gorąca kawa parzyła w język. Nie zwracała na to uwagi.

- Ejże, to nie ja całuję się na prawo i lewo. Greyson wie?

Skrzywiła się.

- Tak, wie.

- Och. Ale heca.

Drzwi do łazienki otworzyły się i stanął w nich Nick w obłoku pary. Miał na sobie tylko dzinsy.

- Och. Cześć, Tero.

Rany demonów goją się bardzo szybko, na twarzy Nicka został tylko blady ślad sińców. Ale wystarczyło to i lekka opuchlizna wokół nosa.

Odchrząknął.

- Dzień dobry, Megan.

Chciało jej się płakać, gdy usłyszała te słowa. Dlaczego nadal się do niej odzywa? Nadal wita ją po tym, co mu zrobiła? Każdy, nawet najmniejszy siniak na jego twarzy, każda pęknięta żyłka, każda sekunda bólu, odkąd Greyson zobaczył jej szminkę na jego szyi... To wszystko jej wina. Tylko i wyłącznie jej wina.

Ale coś jej podpowiadało, że nie czas na takie rozmowy, nie przy Terze. Odpowiedziała więc na powitanie tonem, którym chciała dać mu do zrozumienia, że docenia, i na tyle zgaszonym, by wiedział, że jej przykro.

Tera spojrzała na Megan:

- Ile ty właściwie spałaś? Myślałam, że może wyskoczymy na zakupy, ale jeśli jesteś zmęczona, nie ma sprawy. Pewnie nie zmrużyłaś oka: najpierw całowałaś się z Nickiem, potem Greyson go sprzął, a potem jeszcze to morderstwo...

- Morderstwo?

- Co?

Megan i Nick odezwali się jednocześnie. Wymienili spojrzenia, co sprawiło, że poczuła się odrobinę lepiej. Skinął głową, żeby mówiła dalej.

- Morderstwo? Tero, o czym ty mówisz?

- Nie wiecie? Nick westchnął.

- Widzisz, Megan, to geniusz. Już rozumiem, czemu się przyjaźnicie.

Tera łypnęła na niego gniewnie.

- Jestem zdziwiona i tyle. Nie przyszło mi do głowy, że możecie nie wiedzieć. Myślałam, że śmierć Gretneg to wielkie wydarzenie.

Serce Megan zatrzymało się w piersi. Nie, to nie Greyson, to nie może być Greyson. Nawet Tera nie byłaby taka beztrocka, gdyby chodziło o niego, gdyby to on zginął, prawda?

- Tero, kto? To nie... Kto zginął?

- Och. Ta, jak jej tam... ta suka. Megan przełknęła ślinę.

- Justine.

## Rozdział 23

Tera skinęła głową. - Tak, Justine.

Pierwszą myślą Megan było: „Dzięki Bogu, że nie Greyson”, ale jednak chwilę później zrobiło jej się wstyd, że nie jest jej nawet odrobinę przykro.

- Co się jej stało? Zamordowano ją? Jak?
- O rany, jakim cudem przegapiliście to wszystko? -Tera zerknęła na Nicka, który zastygł w bezruchu na krześle przy biurku. - No tak. Emablowałaś tutaj bożka seksu, tak? Podobno ją zarżnięto. Niewiele o tym wiem, przecież nikt mi niczego nie powie, ale Roc powtórzył wszystko, co usłyszał od Malleusa.
- Gdzie Roc?
- Na śniadaniu. Na mój koszt. Ej, czy Greyson nadal za wszystko zapłaci?
- Zakładam, że tak. Tak mówił. - Megan zamknęła oczy. Najwyraźniej współczująca i troskliwa Tera to już przeszłość. Ale i tak nie powinna narzekać, dostała więcej, niż oczekiwała. A pytanie o opłatę za pokój miało sens, wybrała tylko nieodpowiedni moment. Ale kiedy Tera wybierała właściwe chwile? Odnalazła Roca w myślach, podążając za niewidzialną nicią, która łączyła ją z Yezer. Szarpnęła i czekała.
- Wezwałam Roca. Będzie tu lada chwila.
- Opadła z powrotem na poduszkę. Teraz jeszcze tylko prysznic, nowa głowa, nowy żołądek i ostatnie dwadzieścia cztery godziny równie dobrze mogłyby nie istnieć.
- Więc pewnie ci powie i tak. Moim zdaniem zamieszana jest w to ta kobieta z FBI.
- Co? - Megan usiadła tak gwałtownie, że przed oczami zatańczyły jej barwne plamy. Złapała się za głowę, by nie dopuścić do eksplozji mózgu, i z powrotem opadła na posłanie.
- Tak, gdy przyszedłam, wyprowadzali ją z hotelu. Była cała umazana krwią. Chyba u Justine jest niezły bałagan. Ej, dobrze się czujesz? Zrobiłaś się trochę zielona.
- Tak, ja... wczoraj trochę za dużo wypiałam.
- Och. Siadaj, pomogę ci.
- Tero, to... Jak to?

- Zaufaj mi. Chodź tutaj.

Megan posłuchała, mimo żywiołowych protestów żołądka. Nadal miała na sobie suknię wieczorową - po wyjściu Greysona padła na łóżko i zasnęła. Trzeba ją będzie oddać do prania; choćby nie wiadomo jak długo wisiała w łazience pełnej pary, takie zagniecenia nie ustąpią.

A może po prostu ją spali. Żeby nigdy więcej na nią nie patrzeć.

Tera uniosła ręce i wyszeptała coś; Megan opłynęła chłodną energią, od głowy w dół. Ból ustąpił.

Żołądek się uspokoił. Była bardziej rześka, choć to akurat mógł być efekt kofeiny.

- Lepiej?

- Tak, dzięki.

Lepiej... to sprawa względna. Bez kaca fizycznie rzeczywiście czuła się lepiej. Ale nie psychicznie i emocjonalnie. Miała wrażenie, że runęła w otchłań rozpacz.

Tera spojrzała na Nicka.

- A jak ty się czujesz? Zawahał się.

- Och, proszę. Obiecuję, żadnych wrednych sztuczek czarownic. Chyba już wystarczająco ci się oberwało.

Tera stanęła za Nickiem, trzymając ręce nad jego głową. Spojrzenie, które posłał Megan, byłoby zabawne w każdej innej sytuacji. Albo gdyby nie wiedziała tak dużo o jego dzieciństwie.

Siedział spokojnie, po chwili zniknęły resztki opuchlizny i siniaki, a Nick wyprostował się, uwolniony od, co Megan знаła z autopsji, koszmarne bólu głowy. Zapewne czuł się jak ona. Jednak po zastanowieniu doszła do wniosku, że to złe porównanie. Biedak zapewne czuł się znacznie gorzej.

- Dzięki - mruknął.



- Nie ma sprawy. A teraz...

Znowu pukanie do drzwi. Roc. Megan go wyczuwała.

- Wejdz.

Zmaterializował się w pokoju, zgodnie z wypracowanym kompromisem, choć właściwie teraz nie było to już takie ważne. Po koszmarne krępującym spotkaniu w pewne deszczowe popołudnie przed kilkoma miesiącami zabroniła mu zjawiać się bez uprzedzenia w jej sypialni bez względu na porę dnia i nocy. Więc teraz zawsze pukał. Małe oczka pociemniały natychmiast.

- Co się stało? Jesteś bardzo nieszczęśliwa.

- Greyson zdybał ją w łóżku z Nickiem - wyjaśniła Tera.

Megan łypnęła na nią gniewnie.

- Wielkie dzięki, Tero.

Ironia nigdy nie docierała do czarownicy.

- Nie ma sprawy.

- Naprawdę? - Roc był pod wrażeniem. - Co zrobił? Nick posłał jej spojrzenie, nie wiedziała, oskarżyciel-

skie czy błagalne. Wolą się nad tym nie zastanawiać.

- Nieważne. Co z Justine?

- O rany. Ale jatka. To znaczy, widziałem ją już po wszystkim, ale Malleus był jednym z pierwszych na miejscu zbrodni i wszystko mi opowiedział. Mówił...

- Chwileczkę, co tam robił Malleus?

Oczka Roca poruszyły się w sposób, który wcale nie przypadł Megan do gustu.

- Roc, co on tam...

- Mówił, że tylko przechodził. Usłyszał krzyk. Wpadł do środka i zobaczył, cytując: „Lady Riverside całą we krwi, martwą jak... jak trup, a agentka FBI darła się na całe gardło, od stóp do głów we krwi. Chyba ją załatwiła, ot co”.

Dobrze go przedrzeźniał. Megan roześmiałyby się, gdyby to, co opisywał, nie było tak makabryczne.

- A jak zginęła Justine? Od noża? Od kuli?

- Sam ci powie. Zaraz tu będzie.

- Tutaj? Dlaczego?

Roc rozejrzał się niespokojnie. Na tyle niespokojnie, na ile jest to możliwe w wykonaniu małego zielonego demona.

- Roc, co się dzieje?

Znowu pukanie do drzwi. Dlaczego Roc jest taki nieszczęśliwy? Chyba jest sposób, żeby się tego dowiedzieć, prawda?

Zwlekła się z łóżka, omal nie upadła, zaplątawszy się w długiej sukni. Idiotycznie się czuła, przyjmując gości w kreacji wieczorowej. Koszulka i dzinsy, które nosiła poprzedniego dnia, leżały na łóżku. Malleus był już za drzwiami, ale co tam. Zabrała ubranie.

- Wpuście go. Zaraz wracam.

Tera, o dziwo, wykazała się taktem. W łazienkowym lustrze Megan zobaczyła kobietę, która wdała się w barową bójkę z cysterną tuszu i przegrała sromotnie. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, a jej cera przybrała ów martwy połysk wieprzowiny w plastiku.

- Koszmar - mruknęła i zabrała się do pracy. Zajęło jej to zaledwie kilka minut - w końcu chciała wyglądać znośnie, a nie pięknie, zresztą wątpiła, by teraz było to w ogóle możliwe - i wyszła z łazienki. Wyszorowała zęby, umyła twarz, spięła włosy długą srebrną spinką. Nie chciała jej zgubić. Był to prezent od Greysona, ale miała do wyboru - albo spinka, albo ciężkie włosy bez życia wokół twarzy. Teraz przynajmniej wyglądały schludnie.

Tak przynajmniej jej się wydawało. Ale kiedy trzy potężne demony spojrzały na nią jak na zwłoki w trumnie, zaczęła w to wątpić.

- Co? - Spuściła wzrok. Była boso, ale przecież... Och. Maleficarum przestąpił z nogi na nogę i za jego plecami zobaczyła pudełko... Serce w niej zamarło. Na samym wierzchu leżała jej książka. Którą zostawiła przy łóżku Ieuranlier Sorithell.

- Pani... - Malleus tarł oczy pięściami. - Przynieśliśmy. .. Lord Dante nam kazał...

- Dlaczegoś to zrobiła, pani? - zapytał Maleficarum. - Dlaczegoś od nas odeszła? Lord Dante jest w rozpacz, a jakże. Już myśleliśmy, że... kiedy kupił...

- Co mamy teraz robić? - Malleus podniósł zaczerwienione oczy. - Nie wiemy, co robić!

- Ano - sapnął Spud bez przekonania. Wydawał się jeszcze bardziej przejęty niż bracia; kiedy na niego spojrzała, po jego policzku płynęła wielka łza.

Sądziła, że jest zbyt wyczerpana, żeby płakać, a jednak... Miała oczy pełne łez. Otarła je, zanim zdążyły popłynąć, zdołała się powstrzymać.

To się dzieje naprawdę. Jej rzeczy. Wszystko, co trzymała w jego rezydencji. Pudło było spore, ale nic w tym dziwnego, skoro zawierało jej bieliznę, suknie z szafy, kosmetyki, szczotkę do włosów i...

Boże, wszystko. Kazał im jechać do domu i usunąć z niego wszelkie ślady jej obecności.

Nie poczekał nawet, aż zjazd się skończy. Nie dał sobie czasu, by zobaczyć, czy może jednak nie powrócą uczucia, z których się zwierzał poprzedniego wieczoru, nadzieje, że może jednak im się uda.

To wszystko, co powiedział, i to, czego nie zdążył powiedzieć.

I już pewnie nigdy nie powie.

Zagryzła usta, odchrząknęła. Bracia wydawali się bliscy spazmów. Jeśli zaraz nie weźmie się w garść, rozszołchają się na dobre.

- Dziękuję, chłopcy, bardzo mi... Dziękuję.

- Myśleliśmy, pani, że z nami zamieszkaś - chlupnął Maleficarum. - Chodzi o coś, cośmy zbroili? Nie chcieliśmy, naprawdę, możemy...

- Nie! Nie, skądże, to nie wasza wina, niby dlaczego? Jesteście wspaniali... wszyscy trzej. Malleus wytarł nos rękawem.

- Skoro jesteśmy tacy wspaniali, czemu odchodzisz?

- Będziemy jeszcze lepsi - obiecał Maleficarum. -Przyrzekamy. Naprawdę nie chciałem wejść do łazienki w zeszłym tygodniu, kiedy byłaś, pani, pod prysznicem. Wiem, że tego nie lubisz. Nic nie widziałem, słowo honoru. To się nie powtórzy. Mogłabyś, pani, wieszać jakąś tabliczkę na drzwiach albo...

- Więc to twoja wina, Maleficarum. Pani nie chce, żebyś ją ciągle oglądał, mówiłem ci już. Panie nie lubią, gdy się je ogląda nago. Dlaczego taki jesteś?

- Och!

- To ty oblałeś ją drinkiem! I zapytałeś ją, czy ma okres, bo jest taka blada, jakby to była twoja sprawa! Nic dziwnego, że nas zostawia, skoro ciągle wtykasz nos w...

- Była blada! Chciałem pomóc! Pokazać, że mi zależy! Co, mam się nie troszczyć o jej zdrowie?

- Wtykanie kinola w jej łono w niczym nie pomoże, dupku! To sprawa jej i lorda Dantego! To wszystko twoja wina!

Chichot Tery sprowadził Megan na ziemię. To nie jest dziwaczny szkolny spektakl, a trwanie w osłupieniu, czy to z rozpaczy, czy rozbawienia, nie jest najlepszym sposobem załatwienia tej sprawy.

- Chłopcy! Chłopcy, przestańcie, proszę!

- A Spud? W zeszłym miesiącu eksperymentował na niej z nowym cieniem do oczu i co? Wyglądała jak gruźliczka! Nic dziwnego, że nie chce wyglądać, jakby lada chwila miała wypluć sobie płuca!

Spud milczał, tylko coraz bardziej nerwowo zacierał ręce.

- Chłopcy! - spróbowała jeszcze raz. - Chłopcy, dosyć tego!

Spud zalał się łzami. Malleus i Maleficarum wydawali się urażeni; objęli go, klepali po plecach, a Malleus posyłał jej rozpaczliwe spojrzenia.

- Bardzo mi przykro. Ale tu nie chodzi o was, zrozumcie. Naprawdę, to nie wasza wina, po prostu... Stłumiła chęć, by powiedzieć, że czasami dorośli nie mogą dłużej razem być, choć nadal bardzo się kochają. Stłumiła tę chęć, bo o ile początek zdania przeszedłby jej przez gardło, to jego druga część przyprawiała ją o mdłości. Nie powie tego bez łez, a tych wystarczy w wykonaniu Spuda.

Z przepastnych kieszeni czarnych spodni wydobył ogromną białą chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

- Już cię nie zobaczymy - sapnął Maleficarum. - Dlaczego nie możesz z nami zostać? Nie chcesz już z nami mieszkać?

- Chyba zaraz się popłaczę - mruknęła Tera. Megan nie zwracała na nią uwagi.

- Oczywiście, że chciałabym z wami być. - Oto kolejna odsłona szkolnego spektaklu pod tytułem *Życie po rozwodzie*. Czy raczej, tak byłoby, gdyby się rozwodzili, co nie wchodzi w rachubę, bo do rozwodu trzeba ślubu, a tego nie było.

I najwyraźniej już nie będzie. Postarała się stłumić swoją rozpacz i mówiła dalej:

- Ale ja... to nie takie proste. Są pewne rzeczy, których chcę ja, oraz inne, których chce on, i nie wiemy po prostu, jak je pogodzić, i dlatego...

- To bez sensu. - Malleus wyrwał Spudowi chusteczkę, której ten nie chciał oddać, siłowali się przez chwi-

łę, ale Malleus okazał się silniejszy. Otarł oczy czystym krawędziem. - Jeśli go kochasz, nie możecie tego naprawić?

- Ja... Nie, nie możemy. Posłuchajcie, naprawdę wolałabym, żeby było inaczej. Wcale tego nie chciałam, po prostu tak jest. - Oczy ją piekły. Jeśli to przetrwa, jeśli pozbędzie się ich z pokoju, będzie mogła uciec do łazienki pod prysznic i wreszcie po raz pierwszy porządnie sobie popłucze, ale pewnie nie ostatni.

- Ale on cierpi! - zaczął Maleficarum. - Siedzi tam na górze i gapi się w przestrzeń! Idź do niego, pani, i wyjaśnijcie sobie wszystko. Jesteś nam potrzebna, naprawdę. Nie możesz choćby spróbować? Dla nas?

Tak, to zdecydowanie najgorszy poranek w jej życiu. Kara za to, co zrobiła Nickowi. Patrząc na to w ten sposób, zasłużyła na jeszcze więcej.

- Przykro mi, naprawdę. Ale nie mogę. To on musi do mnie przyjść, jeśli chce coś uratować. To skomplikowane, ale uwierzcie mi, nie mogę do niego iść.

Spud znowu się rozszochał. Stali tam we czwórkę, na oczach zainteresowanej widowni. Tera w końcu przestała się śmiać, ale kątem oka Megan nadal widziała jej rozbawioną twarz. Po dłuższej chwili Maleficarum skinął głową.

- No cóż. Jeśli mówisz, pani, że nic się nie da zrobić, to się nie da. Ale będzie nam cię brakowało, pani. Nie wiemy, co bez ciebie zrobimy.

- Przecież nadal możecie mnie odwiedzać. - Zabrzmiało tandetnie, ale głowa bolała ją za bardzo, żeby się przejmowała takimi drobiazgami. W końcu dotarło do niej: traciła nie tylko Greysona, ale ich także. A przecież kochała ich, naprawdę. Czasami doprowadzali ją do szaleństwa, ale byli jej rodziną... Już nigdy ich nie zobaczy. Są zbyt zajęci, by ją odwiedzać, nawet gdyby Grey-son im na to pozwolił.

Zanim wczoraj do niej przyszedł, była pewna, że to będzie możliwe. Teraz... pewnie nie. Ale i tak to powiedziała.

- Możecie mnie odwiedzać. Zawsze będę na was czekała.

I dopiero wtedy zaczęła płakać. Bracia tłoczyli się wokół niej, klepali po plecach, głaskali. Spud nawet podsunął jej swoją chusteczkę, ale podziękowała.

- Mnie też będzie was brakowało - wykrztusiła. -Nie chciałam tego.

Kiwali głowami. Malleus wziął ją za rękę.

- Czy chcesz, pani, żebyśmy mu coś przekazali? Milion rzeczy, ale chyba już nic nie zmieni sytuacji. Nie mogła mieć do siebie pretensji o reakcję na jego kłamstwa, na podejście do jej pracy, na wszystko inne. Ale o to, że chciała wykorzystać Nicka, by się na nim zemścić - owszem. O to, że skrzywdziła obu.

- Powiedz, że bardzo mi przykro.

## Rozdział 24

Gdy półtorej godziny później weszła do jadalni, Gret-neg siedzieli przy stole. Na cześć Justine białe świece zastąpiono czarnymi, a ponure twarze zebranych wychylały się z ciemnych kołnierzy.

Megan także wystąpiła w czerni. Włożyła prostą czarną sukienkę do kolan, z długimi rękawami.

Uznała, że wyglądała na tyle nobliwie, iż można by pomyśleć, że się przejęła. I to prawda, przynajmniej częściowo. Przejęła się, że anioł - bo że to anioł, nie miała najmniejszych

wątpliwości - zaatakował kolejnego demona, tym razem skutecznie. Przejęła się, że Justine nie żyje; nie lubiła jej, lecz nie życzyła jej śmierci. Spojrzała na krzesło, które Justine zajmowała poprzedniego wieczoru; teraz spowijał je kir.

Ale nie było w niej miejsca na żal. Po prostu nie było. Usiadła. Winston odchrząknął.

- A zatem... Wszyscy wiemy, co się wydarzyło. Zebrani skinęli głowami. Baylor zabrał głos.

- Nie znam szczegółów.

- To ta agentka FBI - wyjaśnił Gunnar. - Prawdopodobnie oszalała.

- To był anioł. - Greyson poruszył się na krześle. Megan dostrzegła to kątem oka. Nie chciała na niego patrzeć. Nie mogła. Wystarczyło, że usłyszała jego głos, a od razu się zaczerwieniła.

Co sobie myślała, do cholery? Mścić się na Greyso-nie, całując się z Nickiem? To nie tak. Chciała poczuć, że nadal jest atrakcyjna. Poza tym naprawdę lubiła Nicka, zależało jej na nim, wiedziała, czym jest, i jeśli już ma być szczerą, wiedziała, że jest bezpieczny ze względu na przyjaźń z Greysonem, ale... No tak. Postąpiła źle, ale sam fakt, że facet, który co noc ma nową kobietę, który może mieć każdą, zainteresował się nią, ukoił jej obolałe ego.

Zresztą kto nie chciałby zrobić tego z demonem seksu, zwłaszcza jeśli chodzi tylko o noc niezobowiązującej zabawy? Przecież nie oszalała, uznając, że jeśli już ma wskoczyć komuś do łóżka, inkub o potężnej energii seksualnej jest odpowiednim partnerem..

Zresztą to nieważne i nie tłumaczy jej postępuku. Nie usprawiedliwia tej koszmarnej pomyłki. Ale nie kierowała się jedynie chęcią zemsty, nie tylko. Chociaż tyle.



I naprawdę nie chciała nikogo skrzywdzić, a już zwłaszcza Nicka.

- Megan? - Głos Winstona wyrwał ją z ponurych rozważań.

- Co? Uniósł brwi.

- Zgadzasz się z Greysonem?

- Ja... - Rozejrzała się dokoła, zerknęła na Greysona, który milczał z kwaśną miną. Uznała, że przyznanie mu racji to najbezpieczniejszy wariant. Skinęła głową. - Tak.

Greyson spochmurniał jeszcze bardziej.

- Nie pojmuję tylko, skąd się tam wzięła ta agentka - podjął przerwany wątek Baylor. - Jeśli Justine zamordował anioł, mógł to zrobić sam. Nie potrzebowałby do tego głupiego człowieka. A Justine... Nadal nie mieści mi się w głowie, by mogła tego dokonać agentka FBI.

- A co dokładnie zrobiła? - dociekał Gunnar, co Megan powitała z radością. Pragnęła się dowiedzieć - a raczej uważała, że powinna - ale nie chciała sama pytać.

Baylor łypnął niepewnie na Gunnara.

- Co z tobą, Gunnar? Czemu jesteś taki ciekawski? Gunnar wydawał się urażony.

- Nie jestem wścibski, po prostu uważam, że powinniśmy wiedzieć. A jeśli zaatakuje i nas? Nie chcę...

- Rozerwała ją na strzępy. Od szyi po krocze. - Greyson spojrzał na Megan. - Wyrwała jej serce.

Megan odwróciła wzrok.

- Rzecz w tym - wtrącił się Winston - że jeśli to naprawdę anioł, w co jestem skłonny uwierzyć, do tej pory zaatakował Megan i zamordował Justine, naszą przyjaciółkę. Kto z nas będzie następny? Jak możemy się zabezpieczyć?

- Co mówią twoje Yezer? - Baylor zwrócił się do Megan. - Znaleźli już jakieś ślady?

O cholera, nawet nie zapytała. Oczywiście Roc powiedziałby jej, gdyby coś mieli, ale i tak powinna była zapytać. Sprawdzić.

- Nadal szukają.

- Nic dobrego nam z tego nie przyjdzie - sapnął. -To koszmar. Czuję się, jakbym stał przed plutonem egzekucyjnym. Jak ciele prowadzone na rzeź. Jak kaczka do odstrzału.

- Jak banał na końcu języka - podsunął Greyson.

- Greyu, nie czas na żarciki.

- Cóż, ani na nic innego. Wiecie, co o tym sędzę, i co, moim zdaniem, powinniśmy zrobić.

Megan spojrzała na niego. Nie wiedziała, co według niego powinni zrobić. Och, domyślała się - pewnie miało to coś wspólnego z wielebny Waltherem, w końcu to ich jedyny trop poza agentką Reid - ale jeśli szczegółowo przedstawił swój plan, zrobił to, zanim się zjawiała.

A teraz pozna jego plany tylko razem z pozostałymi, prawda? Nie będzie więcej długich rozmów w środku nocy. Nie będzie telefonów. Nie będzie długich wieczorów na kanapie, długich śniadań... Czy nic już nie będzie?

Zdusiła zdradzieckie myśli. Nie czas na szloch i żale. To czas żałoby, tyle że nie żalosne resztki związku mieli opłakiwać. Zginęła kobieta. Śmierć czyha na pozostałych. Megan nie uśmiechała się perspektywa śmierci. Ani jej, ani Greysona.

- Nie możemy przecież wpaść w tłum ludzi, by zaatakować ich przywódcę - stwierdził Win. -

Naprawdę, Greyu, zgadzam się, to nasz najlepszy trop, jeśli Yezer nie znajdą anioła. Ale w tym strasznym hotelu mówią, że jest zajęty od rana do wieczora.

- Może anioł go obserwuje. Był tam wczoraj.

- Wczoraj podążał za agentką Reid - zauważył Baylor. - Tak przynajmniej mówiliście.

- Dzisiaj jest tam horda jego wyznawców. Anioł może się ukryć za każdym, o ile jeszcze nie dorwał wielebnego. Nie zapominajcie, że gdy tylko dostał w swoje szpony agentkę Reid, posłał ją właśnie tam. Moim zdaniem bada sytuację.

- Najwyraźniej jego celem jest wielebny - mruknął Gunnar. - Tymczasem natknął się w okolicy na grupę demonów i uznał, że skoro już tu jest, fajnie będzie nas pozabijać.

Megan otworzyła usta. Przecież Winston i Gunnar tracili *rubenda* od wielu tygodni. Czy to też sprawka anioła? Zamknęła je jednak, nim zdążyła coś powiedzieć. Nie chciała się kłócić, w ogóle nie chciała się odzywać. Przede wszystkim jednak miała wrażenie, że nie były to właściwe słowa. Coś kazało jej trzymać język za zębami. Być może instynkt; zaufała mu.

Nie oparła się jednak pokusie i zerknęła na Greyso-na, lekko przechylał głowę, więc pomyślała, że chodzą mu po głowie te same podejrzenia.

A Winston wypowiedział je na głos:

- Gunnar, przecież zabija naszych *rubenda*. Więc jakim cudem dopiero teraz miałby się zorientować, że tu jesteśmy?

- Nie wiemy tego na pewno. To tylko teoria Greyso-na i Megan. Nie mamy pewności.

- To jedyna sensowna teoria, jaką na razie mamy -zauważył Baylor. - Jeśli masz lepszą, Gunnar, słuchamy.

Czekali. W końcu Gunnar zaczął:

- Może już od dawna poluje na egzorcystę.

- Och, litości.

Te słowa ożywiły wspomnienia Megan.

- Może naprawdę tak jest. Przecież duchowny wsławił się dopiero kilka miesięcy temu, prawda? -

Zerknęła na Greysona, zapomniała na moment, że nie powin-

na tego robić. Na jedną cudowną chwilę zapomniała

O wszystkim, co wydarzyło się poprzedniego dnia. - Sam to mówiłeś, pamiętasz? Że zjawił się w czerwcu nie wiadomo skąd?

Milczał tak długo, że wszystko wróciło i Megan spochmurniała.

- Tak, czytałem coś na ten temat.

- Więc zaczął od nas, potem zajął się egzorcystą -podsumował Winston.

- Chodźmy tam - zaproponował Baylor. - Może egzorcysta jest kluczem do całej sprawy.

- Albo agentka FBI - dodał Winston. - Możemy chyba z nią porozmawiać.

- Jasne, Win. - Greyson rozparł się na krześle. -

i policja, i federalni ochoczo cię do niej zaprowadzą. Na małą pogawędkę. W cztery oczy.

- Justine byłaby w stanie to załatwić - mruknął Baylor. W jego głosie brzmiał nie tyle smutek, co rozczarowanie. - Weszłaby wszędzie. Kto ją zastąpi? Potrzebny nam do tego demon seksu.

- A twój przyjaciel Nick? - Win spojrzął na Greysona. - Może on?

Megan udało się nie skrzywić.

Twarz Greysona pozostała niewzruszona.

- Nie jest czystej krwi.

- Och, tak. Jego ojciec... Co za bałagan. Ale jeśli uważasz, że ma w sobie dość krwi inkuba... Czy on kiedykolwiek. ..

- Nie.

- A pytałeś go? Może zna kogoś...

Greyson wstał. Zdjął marynarkę z oparcia krzesła i powiedział:

- To bez sensu. Wczoraj Megan i Asterope Green usiłowały przesłuchać agentkę Reid; bełkotała od rzeczy.

Rozmowa z nią nic nie da. Egzorcyzmy kończą się o dziewiątej. Wybierzemy się tam wtedy i trafimy na anioła. Może Megan poprosi o pomoc swoją przyjaciółkę czarownicę.

Mówił o niej, jakby prawie się nie znali. Z trudem skinęła głową.

- Poproszę.

- Proponuję, żebyśmy dzisiaj odpuścili sobie uroczystą kolację i spotkali się tu koło ósmej.

- Ale po co? - zapytał Gunnar. Greyson uniósł brwi.

- Żeby zabić anioła.

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? - Gunnar przyglądał włosy i rozejrzał się dokoła, jakby się obawiał, że ściany zaduszą ich wszystkich i musiał co chwila sprawdzać, czy sufit się nie obniża. -

Przecież może wszystkich nas pozabijać. Moim zdaniem trochę przesadzasz.

- Wolisz siedzieć beczynnym i czekać, aż nas wykończy, jedno po drugim?

- Nie sądzę... To znaczy, nie wiemy nawet, czy na nas poluje.

Winston odsunął się od Gunnara i przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

- Gunnar, ten anioł zabija naszych *rubenda*. Naszych ludzi. Zaatakował Megan, zabił Justine. Jak myślisz, chce nas zaprosić na herbatkę?

Przy stole zapadło milczenie - to znaczy panowało cały czas, ale teraz stało się jakby głębsze. Gunnar, zazwyczaj blady, poczerwieniał.

- Nie, ale nie uważam, że należy zaraz ruszać do hotelu z pistoletami w dłoniach. Powinniśmy trzymać się tutaj razem, poczekać, aż po nas przyjdzie. Zastawimy na niego pułapkę i pokonamy.

Baylor przechylił głowę.

- To nie jest zły pomysł.
- Ja wolę wersję Greya - odparł Winston. - Więc na razie jest trzy do dwóch. Idziemy dzisiaj.
- Megan się nie wypowiedziała - zauważył Baylor. Winston łypnął gniewnie.
- Oczywiście, że zgadza się z Greysonem.
- Ale sama tego nie powiedziała. Wyciągasz pochopne wnioski.

Greyson westchnął przesadnie głośno.

- Idę tam dzisiaj, z wami czy bez.
- Ja też - zapewnił Winston.

Wszyscy patrzyli na Megan. Wszyscy poza Greysonem, który wbił spojrzenie w mozaikę zdobiącą przeciwległą ścianę.

- Pójdziemy wszyscy - zdecydowała. - Greyson i Winston nie mogą iść tam sami.
- Dobrze. - Winston dotknął jej ramienia. - Megan, przedostatniej nocy sama go pokonałaś, prawda? Dzięki demonowi duszy, którego masz w sobie. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale... spotkaj się z Nickiem, przyjacielem Greysona, i zastanówcie się, jak wykorzystać wasze moce. On też ma w sobie krew demonów duszy, prawda?

- Tak - odparła. - Ale...
- Greyu, powiedz Megan wszystko, co powinna wiedzieć, i dopilnuj, by Nick przyszedł.
- Może ty to zrobisz.
- Dlaczego? - zdumiał się Win.

Greyson zawahał się, zerknął na Megan tak szybko, że nie dostrzegłaby jego spojrzenia, gdyby nie czekała na ten gest.

- Pomyślałem, że tak będzie prościej.
- Och, nie, mam zaplanowane całe popołudnie. - Winston wstał, zabierając notes leżący koło nakrycia.

Jeśli mamy walczyć z aniołem, muszę dopilnować, żeby moje sprawy były w porządku. Nie uważacie, że to dotyczy nas wszystkich?

## Rozdział 25

Choć nie wyglądało, że biegnie w stronę wind długim białym korytarzem, to jak dla niej przesuwał się zbyt szybko; musiała go gonić, nim zdołała chwycić go za ramię.

- Poczekaj, Greysonie!

Jeszcze nigdy nie widziała w jego oczach takiego chłodu. Wyrwał ramię z jej uścisku.

- Czego chcesz?

- Mówiłeś, że opowiesz mi o aniele.

- Może zapytasz Nicka?

- O tym też musimy porozmawiać. O Nicku.

- Megan, nie interesują mnie szczegóły. A raczej, powinienem był powiedzieć, dalsze szczegóły.

- Ale to nie tak, jak...

- Przekaze ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. Nie wydaje mi się, żebyśmy w tej chwili mieli sobie dużo do powiedzenia, prawda?

Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się i ruszył przed siebie. Ona także, ale zatrzymała się.

Czekała.

Wcisnął guzik. Drzwi windy się otworzyły. Megan wśliznęła się za nim, zanim zdążyły się zamknąć.

Poczuła lodowaty powiew - Greyson był wściekły. I dobrze; ona też. Kiedy wyciągnął rękę, by wcisnąć guzik otwierania drzwi, zasłoniła konsolę własnym ciałem.

- To nie wina Nicka.

- Tak, już mówiłaś. Bardzo dziękuję. Czuję się o wiele lepiej, wyobrażając sobie, jak ty go uwodzisz, a nie odwrotnie.

- Nikt nikogo nie uwodził. To nie było...

- Oczywiście, to był zbieg okoliczności. Poleciałaś na niego, tak?

Zamknęła oczy i głęboko zaczerpnęła powietrza, by się trochę uspokoić. Nie udało się, ale nie po to tu przyszła.

- Do jasnej cholery, coraz lepiej. Co dalej, Megan? Opowiesz mi wszystko ze szczegółami?

- To nie jest wina Nicka. Myśl o mnie, co chcesz. I tak odejdziesz, i nie wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia. Ale nie obwiniaj Nicka. On... usiłował do tego nie dopuścić, nie chciał...

- Może mi jeszcze pokażesz, jak się do niego lepiłaś, jak napalona nastolatka? Fajnie będzie, co? Jak widzisz, niczego tak nie pragnę, jak móc to sobie dokładnie wyobrazić, najlepiej z najdrobniejszymi szczegółami.

- Wyobrażaj sobie, co chcesz, ale do niczego nie doszło. On nawet nie... my nie... to było kilka pocałunków i nic więcej. Byliśmy pijani. Ja byłam zraniona i zła. I, co mnie osobiście wydaje się dosyć istotne, wtedy nie byliśmy już razem. Przecież cię nie zdradziłam.

Pociemniał na twarzy. Nigdy nie widziała go takiego. Winda jakby się skurczyła; Megan zadrżała z zimna i objęła się ramionami. Nagle uświadomiła sobie, że znajdują się sami w ciasnym pomieszczeniu zawieszonym na linach.

Wczoraj stracił nad sobą panowanie; zdarzyło się to po raz pierwszy. Po raz pierwszy widziała go w takim stanie. Nie chciała oglądać powtórek.

- Tak, masz rację. Zostawiłaś mnie, nim uwiodłaś mojego najlepszego przyjaciela. Poprosiłem cię o rękę,



a ty odmówiłaś, a potem go uwiodłaś. Dzięki, że mi o tym przypomniłaś. Jak mógłbym o tym zapomnieć.

- Nie zerwałam z tobą, żeby kogokolwiek uwodzić. Nie chcę się z nikim spotykać. Ja... - Cholera. Nie wiedziała, co powiedzieć. Oczy ją piekły. Zamrugła, może to powstrzyma łzy. Chyba podziało, ale wyglądała przy tym idiotycznie. - Byłam na ciebie wściekła. Jak mogłeś to przede mną zataić? Jak mogłeś... Jak mogłeś tak mnie zranić? Nie ufać?

Stali tak przez dłuższą chwilę. Megan starała się opanować. Spodziewała się, że Greyson znowu zacznie krzyczeć.

Nie zaczął. Westchnął tylko; czuła, że napięcie ustępuje, a jego gniew niknie.

- Czy to ważne? Co to ma za znaczenie, Megan? To bez sensu. Już koniec. Odmówiłaś. Nie ma dla nas przyszłości.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci.

Nie pierwszy raz przeszło jej przez myśl, że mogłaby mu po prostu ulec. To, w jaki sposób o tym mówił, sam fakt, że wczoraj do niej przyszedł, kazały jej sądzić, że jej zgoda może wszystko zmienić, wybawić ich z rozpacz.

Przecież już raz straciła pracę. No dobrze, nie straciła; sama odeszła z Serenity Partners, grupy terapeutów, do której należała. Zrezygnowała. Było jej przykro, ale przeżyła, jakoś się z tym uporała. Ale wtedy wiedziała, że może otworzyć własny gabinet. I nadal miała program radiowy.

A co najważniejsze, to była jej decyzja. Jej. Owszem, podjęła ją niejako pod przymusem w dniu, gdy żywiła się czymś nieszczęściem - smutkiem siostry zmarłego pacjenta, za którego śmierć była pośrednio odpowiedzialna - ale porzucenie praktyki nie stanowiło warunku. Nikt nie stawiał jej warunków w sytuacji, która warun-

ków nie toleruje. Nikt nigdy nie zatajał przed nią istotnych informacji.

Więc nie powiedziała tego. Nie mogła.

- Czy mógłbyś mi łaskawie powiedzieć wszystko, co powinnam wiedzieć? Na dzisiajszy wieczór?

Zamknął oczy, zastanawiał się. Skinął głową.

- I bardzo cię proszę, wybac Nickowi. Wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, ale naprawdę jest niewinny. Zabolało mnie, kiedy zobaczyłam, że wychodzisz z Leorą... Rozumiesz? Chciałam tylko, sama nie wiem... zapomnieć. To był błąd i bardzo mi przykro z tego powodu. Nick ma straszne wyrzuty sumienia. Ja też. Proszę.

Spojrzał na nią, ale nie przerywał milczenia.

- To twój przyjaciel, przecież wiesz.

- Spróbuję - powiedział w końcu.

- Dziękuję. Cisza.

Jego uśmiech nie był nawet cieniem dawnego, ale i tak serce Megan zabiło szybciej.

- Będziemy tu stali do rana?

- Co? Och, nie. - Odwróciła się, wcisnęła czternaste piętro. Ruszyli w górę.

To jednak nie był najlepszy pomysł. Owszem, musi się od niego sporo dowiedzieć, nie wyobrażała sobie lepszego źródła informacji, zwłaszcza że pozostali byli pochłonięci spisywaniem testamentów.

Nieźła zabawa, prawda?

Ale powrót do apartamentu i rozmowa z nim... Trudne. Cholernie trudne. Ciężko siedzieć na krześle, zamiast obok niego. Nie uśmiechać się, nie żartować. Dziwnie się czuła na krześle, marzła bez Greysona u boku. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, chciała dotknąć jego uda, jego dłoni. Miała wrażenie, że to nie Greyson. Jakby rozmawiała nie z nim, lecz z jego sobowtórem.

Oboje zachowywali się ostrożnie, jakby oficjalnie. Jakby chwilowe zawieszenie broni mogło lada chwila dobiec końca, pęknąć jak sufit nad ich głowami i ich pogrzebać.

A jeśli nie sufit, zapewne sprawi to anioł. Megan przestała analizować reakcje Gunnara i Baylora, skupiła się na Greysonie i Winstonie. Żeby z własnej woli narażać się na niebezpieczeństwo?

- Oczywiście, zakładając - zakończył, rozparty na kanapie, z zamkniętymi oczami - że to cholera nie zostało uprzedzone i nie czyha na nas. A zapewne tak się stało.

- Uprzedzone? Jak to?

Wyprostował długie nogi, kładąc stopy na niskim stoliku. Nie otwierał oczu, więc Megan mogła zrobić to, o czym marzyła przez cały dzień; napawać się jego widokiem. Ostrymi liniami policzków, niemal orlim nosem. Nie był przystojny w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, a zarazem był.

Uwielbiała na niego patrzeć, i tyle. A teraz, kiedy zamknął oczy, rozkoszowała się widokiem, wiedząc, że to zapewne jedna z ostatnich okazji, by się napatrzeć.

Spojrzał na nią, unosząc jedną powiekę; szybko uciekła wzrokiem.

- Bo jeden z nich go wynajął i pewnie już zdążył go uprzedzić.

- Co? Myślałam, że sprowadził go egzorcysta.

- Och, zapewne. Ale niewykluczone, że zatrudnił go ktoś, kto wiedział o jego obecności i o tym, że szykujemy zjazd - tak więc mógł to być każdy z nas.

- Ale dlaczego?

- Pomyśl tylko, *bry...* Megan. - Zabolało. - Kiedy reszta z nas wyginie, jeden przejmie władzę nad całym miastem.

- Ale przecież każdy z nas włada swoim, że tak powiem, gatunkiem. Czy twoje demony zaakceptowałyby mnie jako...

Skrzywił się. No tak. Cholera.

- Chciałam powiedzieć: czy demony krwi Winstona zaakceptowałyby Baylora, ciebie czy mnie jako Gretneg? Myślałam, że to... kwestia pochodzenia. Czy to nie tak, że Carter po prostu przejmie władzę, gdyby tobie coś się stało?

- Do pewnego stopnia jest to, jak ujęłaś, kwestia pochodzenia. Lecz także kwestia pieniędzy, która dominuje nad wszystkimi innymi. Carter teraz nie ma szans na przejęcie klanu. Nigdy go nie zaakceptują. Ale Gretneg z innego klanu, dość silny i zdecydowany? Dość przebiegły, by wyeliminować pozostałych? Demony doceniają takie posunięcia. Dowiódłby, że jest zdolny kontrolować przebieg wydarzeń, że potrafi je aranżować.

W tym momencie wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce.

- Jak wtedy, gdy zaaranżowałeś śmierć Templetona. Nie drgnął, ale wiedziała, że trafiła w sedno.

- Tak.

Wiedza i potwierdzenie faktów to dwie różne sprawy. Zakręciło jej się w głowie. Nie była zaskoczona, a jednak... Przeszkadzało jej to i nie przeszkadzało zarazem. Siedziała tępo wpatrzona w przestrzeń, nie wiedząc, co mówić, co myśleć.

Po chwili Greyson odchrząknął.

- Na swoją obronę chcę powiedzieć, że on pierwszy chciał mnie... nas zabić. Czarownice z bronią, pamiętasz? W domu Maldona?

Jakby mogła o tym zapomnieć.

- Pamiętam. Ale to nie był jedyny powód, prawda?

- Chciałem tego uniknąć, ale okazało się to niemożliwe.  
- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś? Do tej pory? Wtedy na nią spojrział jak dawniej, z lekkim uśmiechem i drwiną w oczach. Pod Megan ugięły się kolana.

- Nie pytałaś.

- A powiedziałbyś, gdybym zapytała? Spoważniał.

- Nigdy cię nie okłamałem. Nigdy, jeśli pytałaś mnie wprost.

Jakaś jej część chciała się sprzeciwić. Zresztą nieważne; przemilczenie to także kłamstwo. Ale nie miała siły. Ani ochoty.

Chciała, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Chciała choćby przez chwilę udawać, że jest jak dawniej.

Jakby to było najlepsze rozwiązanie.

- Justine to zorganizowała, tak? To była ta przysługa. O tym mówiła na pogrzebie Templetona.

- Tak.

- Pozostali wiedzą?

- Myślę, że tak.

- I nie mają nic przeciwko temu? Wzruszył ramionami.

- Mało mnie to obchodzi.

Coś jeszcze przyszło jej do głowy - nie mogła pojąć, jakim cudem o tym zapomniała; widać umknęło jej to w natłoku wydarzeń.

- Więc możliwe, że atak *litobory* koło mojego domu, to sprawa jednego z moich demonów? Na przykład Roca?

Pokręcił głową.

- Nie sądzę. Chyba mieliśmy rację w tej sprawie. To jeden z nas. Pewnie za wszystko jest odpowiedzialna jedna i ta sama osoba. I to się trzyma kupy.

- Jak to?

- Zdołałaś uciec aniołowi. Jako, w pewnej części, demon duszy stanowisz dla niego zagrożenie.

Demony duszy są rzadkie, a takie, które wyglądają jak ludzie - wręcz niespotykane. Podczas wojen - walczyliśmy z czarownicami, ale anioły włączyły się do walki, chcąc ugrać coś dla siebie - mieliśmy niewielu demonów duszy, zazwyczaj były to mieszańce, mający najwyżej jedną czwartą krwi demonów duszy. I nie były tak potężne jak ty.

- Demony duszy mogą walczyć z aniołami.

- Tak.

- Dlaczego nie wzięliście do pomocy tych, które nie wyglądają jak ludzie? Tych niewidzialnych?

- Bo, jak powiedziałem, są bardzo rzadkie, stanowią mały procent nas. Są jak Yezer, małe i kruche. Nie sposób nad nimi zapanować. Owszem, są w stanie zabić anioła, ale też wszystko inne, co wejdzie im w drogę. A ze względu na... Cóż, może powiem tak: zazwyczaj nie przepadają za tymi z nas, którzy udają ludzi.

- I ktoś o tym wiedział. Wiedział, że będzie tu anioł i że mogłabym się z nim zmierzyć.

- Tak myślę. Zwłaszcza że ten, kto to zorganizował, przypuszczał, że... Nieważne. Rzecz w tym, że stanowisz zagrożenie i już to samo stanowi wystarczający powód.

- Więc nie ma to nic wspólnego z... - Gwałtownie zamknęła usta. To znacznie poważniejsza sprawa niż małżeńskie plany Winstona wobec Greysona czy niechęć Justine do ludzi w świecie demonów. Jeśli Greyson uważa, że chodzi o coś więcej, wierzy mu.

- Co?

- Nic. Naprawdę sądzisz, że o to chodzi? Skinął głową.

- Więc kto pociąga za sznurki? Wzruszył ramionami.

- Mam pewne podejrzenia. Nic konkretnego, ale chyba mam rację. Jak zwykle.

- Skromny jak zawsze.

- Skromność jest przereklamowana.

Tym razem uśmiechnęli się oboje; ich spojrzenia spotkały się, patrzyli sobie w oczy trochę za długo. Wstał.

- Wracaj do siebie i powiedz Nickowi, co się dzieje. Będzie nam potrzebny. I nikogo nie wpuszczaj, prócz Tery i braci.

Jego głos zmienił się nieznacznie, gdy wymawiał imię Nicka, ale powstrzymała się od uwag. Miała tylko jeszcze jedno pytanie:

- Greysonie.

Był już przy drzwiach.

- Tak?

- Rytuał. Kiedy ostatnio mówiłeś, że powinnam go wykonać ze względu na własne bezpieczeństwo, nie robiłeś tego, żeby... no wiesz...

Jego ręka zastygła na gałce. Wbił wzrok w podłogę.

- Nie. Nie do końca.

- Och. - Nie żeby robiło to jakąkolwiek różnicę, poza nasileniem bólu w piersi. Ale cieszyła się, że wie.

Nadal czekał przy drzwiach. Na drżących nogach ruszyła przez pokój.

- Dobrze, więc do zobaczenia później. Zadzwoń po rozmowie z Nickiem. Chyba że ty do niego zadzwonisz.

- Jasne. Jak chcesz.

Drzwi się otworzyły; stała przez chwilę, nawet nie kryjąc, że pochłania go wzrokiem, że chce się nim nasycić, chce, by jego twarz mocniej wryła się w jej pamięć. I tak na nią nie patrzył.

- Dobrze. Do widzenia.

Skinał głową.

- Dowidzenia.

Zrobiła już krok na korytarz, gdy złapał ją za ramię i wciągnął z powrotem do pokoju. Czowała ciepło jego ciała. Drzwi za jej plecami zamknęły się z trzaskiem.

- Nie myślałaś chyba, że pozwolę ci tak po prostu odejść? - rzucił cichym, nagłym głosem.

Gorący oddech Greysona muskał skórę Megan. Nim zdążyła odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem.

## Rozdział 26

Jej ciało stanęło w płomieniach. Nie dosłownie; prawdziwy ogień kłębił się już pod sufitem. Inny buzował w jej umyśle; rozgorzał wraz z pierwszym przyływem energii. To były inne płomienie: głębsze, gorętsze, splecione z lodowatym smutkiem.

Oddała Greysonowi moc, gdy poczuła jego język w ustach; rozpałał ją, rozlewał ogień w jej żyłach, ostre ukłucia energii i pożądania kumulowały się między jej nogami, napinały mięśnie.

Przez chwilę myślała, że powinna odepchnąć Greysona, przerwać. To bez sensu. Niezdrowe. Niczego nie zmieni, a wszystko utrudni.

Ale nie była w stanie. Nie tylko dlatego, że jedną dłoń zaciskał na jej pośladkach, drugą wplótł we włosy, przyciągając Megan do siebie. Nie tylko dlatego, że jego pocałunek budził ją do życia, dawał poczucie bezpieczeństwa po raz pierwszy od strasznej sceny, jaka wydarzyła się poprzedniego dnia.

Nie, po prostu nie chciała. Pragnęła



go. Kochała. Jak mogłaby mu odmówić, skoro wyrzekła się już wszystkiego? Ta świadomość nie da jej spokoju do końca życia.

Oplotła go nogą, wyciągnęła mu koszulę zza paska, wsunęła pod nią rękę. Tym razem nie jęknęła, czując jego skórę i wypustki na plecach; nie miała sił na jęki, bo już płakała, a w głębi duszy obawiała się, że nie będzie mogła przestać.

Pocałował ją mocno, niemal boleśnie. Przesunął dłoń z włosów na twarz, musnął policzek, szyję i przez cienki materiał sukienki objął pierś.

Jęknęła, odrzucając głowę do tyłu; pochylił się, całował jej szyję, mruczając coś niezrozumiale. Coś, czego bała się usłyszeć.

Jego skóra pod palcami Megan była rozpalona; cały drżał. Nie wiedziała, czego pragnie bardziej: przesuwać po niej dłońmi czy wbić w nią paznokcie, zerwać z niego koszulę i pociągnąć go na podłogę. Nie chciała czekać. Jego moc buzowała w jej żyłach; czuła, że zaraz eksploduje.

Przesunęła się, odnalazła jego usta, oddała mu moc. Jęknął.

- Meg. Cholera jasna, Meg.

Oderwała stopy od podłogi i oplotła nogami jego talię. Oparli się o ścianę: chłód za plecami nie studził ognia, nie koił rozszalałych myśli.

Czuła jego erekcję; nie wiedziała, jaki dźwięk wydobył się z jej ust i nic jej to nie obchodziło.

Wiedziała tylko, że w tej pozycji nie może dosięgnąć guzików jego koszuli; była tak zamroczone, że nie potrafiła go rozebrać. Między nią a tym, czego pragnęła, wyrosła biała bariera; szarpała, usiłowała ściągać mu ją przez głowę. W końcu dała za wygraną, wplotła palce w jego włosy, pogłębiała pocałunek, aż poczuła krew.

Poczuła kolejny, jeszcze silniejszy przyływ mocy. Rozpoznała jego energię. Nie czas na myśli. Nie czas na zmartwienia, nie teraz, gdy jego zdecydowana dłoń odnalazła wnętrze jej ud. Ledwie musnąwszy skraj pończochy, przesunął się wyżej, tam, gdzie najbardziej chciała go poczuć.

Wystarczył dotyk w połączeniu z mocą i emocjami. Zbyt wiele. Wtuliła się w Greysona, wygięła w łuk, zadrżała, nie słyszała własnego głosu, zagłuszał go jego ochryply pomruk.

Oderwał ją od ściany, pokonał pokój kilkoma długimi krokami i otworzył drzwi do sypialni. Odsunął się od niej. Czują, że się rozgląda.

Malleus, Maleficarum i Spud siedzieli w małych fotelikach przy toalecie. Szeroko otworzyli oczy ze zdziwienia.

Powinna się przejąć ich obecnością, spieszyć tym, że spod zadartej do pasa sukienki widać jej czarne majteczki, że ją słyszeli, że wiedzieli, co się dzieje. Ale nic jej to nie obchodziło. To oznaczałoby wydatek energii, a tę chciała zachować dla Greysona.

- Precz - warknął niewyraźnie.

Bracia, jeśli chcieli, albo gdy im kazano, umieli się poruszać z szybkością błyskawicy. Megan była pewna, że chętnie zostaliby i patrzyli, co będzie dalej. Nie dlatego, że kręciło ich podglądanie, ale dlatego, że chcieli mieć pewność, że wszystko się ułoży.

Ale tak nie będzie. Choć w tej chwili nawet to jej nie obchodziło.

Wybiegli z pokoju. Greyson pocałował Megan, jeszcze zanim zamknęły się za nimi drzwi.

Kolejny szok. I więcej płomieni; buzowały pod sufitem, jakby ściany polano benzyną. Rozdzierały jej ciało, jakby wypełnione prochem strzelniczym. Wydyszała jego

imię, powtarzała je, gdy układał ją na łóżku i zsuwał sukienkę.

Usiadła, uklękła. Nareszcie mogła dosięgnąć guzików, zedrzeć z niego koszulę i całować. Mocno, namiętnie. Oderwali się od siebie, by mógł zdjąć z niej sukienkę. Megan ściągnęła mu koszulkę, mocowała się z paskiem nagle niezręcznymi palcami.

Z ustami na jej wargach cytował Yeatsa. Jęknął, gdy rozpięła suwak i znalazła go nabrzmiałego, wilgotnego. Zacisnęła na nim dłoń, głaskała, spowijała rozżarzoną pomarańczowym światłem tańczących wokół nich płomieni.

Zdjął jej stanik. Jego dłonie powędrowały do piersi Megan, na zębra. Jej skóra płonęła, gdziekolwiek jej dotknął. Napierała na niego, szukała jego dotyku, wtuliła się w jego pierś, dotykała skóry tak gorącej i cudownej. Całowała go, drażniła zębami, schodziła coraz niżej, niżej, aż objęła go ustami. Ostatni raz. Nie chciała o tym myśleć, nie teraz. Skupiła się na nim, na dymnym smaku skóry. Na jego dłoniach w jej włosach, przyspieszonym oddechu i głosie, szepczącym jej imię.

Zatracała się w nim, gdy odsunął się, przewrócił ją na plecy i jednym szybkim ruchem zdjął jej majteczki. Pieścił wargami prawe udo, rozsunął je łagodnie.

Wygięła się w łuk. Jej ciało wibrowało, drżało, w głowie miała ogień i dym. Czowała go w ustach, w sobie, czowała, jak wypala rozpacz i żal. Wszystko zniknęło, gdy dotknął najwrażliwszego zakątka jej ciała tym cudownie rozdwojonym językiem i doprowadził ją do krzyku.

Drugi orgazm huczał jej w żyłach, niósł drzenie i łzy. Nie odsunął się, sprawiał wrażenie, że jeszcze długo zostanie tam, gdzie jest.

Chwyciła go za włosy, pociągnęła w górę. Dość. Dość. Już za wiele, nie mogła dłużej czekać.

Jego usta błędziły po jej brzuchu, po żebrach, a w ślad za nimi podążały jego dłonie. Drżała, gdy pieścił jej sutki, gdy brał je w usta powoli, metodycznie, obawiała się, że straci resztki rozumu.

- Greyson. Greyson, proszę...

Uniósł głowę. Ich oczy się spotkały; miała wrażenie, że jej dusza eksploduje. Nie mogła oderwać od niego wzroku, patrzyła, gdy w nią wchodził.

Zatrzepotała powiekami. Chciała zamknąć oczy, odchylić głowę, by zaczerpnąć więcej powietrza. Jego dłonie na to nie pozwalały, czuła palce Greysona na twarzy. Nie mogła uciec, mogła tylko na niego patrzeć, w jego oczy, ciemne w rozpalonej złotej twarzy.

Powolny ruch. I kolejny. Tortura. Wierciła się pod nim, chciała, żeby przyspieszył, nie mogła już wytrzymać...

Znowu ją pocałował. Z tym pocałunkiem napłynęła nowa, jeszcze silniejsza fala energii. Nie była w ogniu. Była płomieniem, żywym ogniem, nieugaszonym, rozpalonym żarem. Oba jej serca waliły jak oszalałe. I nie były to małe ogniki pod sufitem ani mdłe słońce prześwitujące przez zasłony. Płonęła. Płonęli oboje.

Megan stanęła w ogniu, Greyson płonął taką jasnością, że nie mogła na niego patrzeć. Stanowił jedyne światło w ciemnym, zimnym świecie, ona zaś była spragnioną, zdesperowaną ćmą; z tą energią nadeszło wyczucie jego myśli i nagle wiedziała, że Greyson myśli o tym samym, że czuje to samo.

- Meg - szepnął, muskając wargami jej ucho. - Meg?

W odpowiedzi objęła go ciaśniej, oddała energię. Całą. Wszystko, co czuła, wszystko, co miała. Całą miłość i namiętność. Niczego nie zachowała dla siebie. Zadrżał. Przyspieszył.

Coraz szybciej, coraz mocniej. Łóżko dygotało. Megan odwzajemniała jego ruchy. Oplatał ją ramionami,

przytłaczał sobą. Napięcie narastało. Rozkosz, pragnienie...

Znowu zamknął jej usta pocałunkiem. Ostatni raz. Moc huczała w niej, wszechogarniająca jak pożar lasu, wypełniała wszystkim, co mu dała i nim. Dawne uczucia, spotęgowane, zmieszanie z bezradnością i żalem, pożądaniem i miłością, których nigdy tak silnie nie czuła. Szczytowała z krzykiem. Otworzyła oczy i patrzyła na niego, gdy jej wtórował.

Położył głowę na jej ramieniu. Podniosła rękę, chciała go pogłaskać po włosach, po karku, ale znowu uniósł głowę. Patrzył jej w oczy, spojrzeniem głębokim i szczerym jak nigdy. Widziała ślady wilgoci w jego lekko zaróżowionych oczach.

- Wyjdź za mnie.

Jak łatwo byłoby powiedzieć „tak”. Łatwo, bo przecież tego pragnęła. Bardzo. Boże, jak bardzo. Chyba wyczuł jej wahanie, jej pragnienie.

- Megan, wyjdź za mnie. Proszę.

Na czym polega jej problem? Czy naprawdę praca jest dla niej ważniejsza niż ukochany mężczyzna? Ale, do cholery, dlaczego nie może mieć jednego i drugiego? Dlaczego musi dokonywać wyboru? Że już nie wspomni o porzuceniu człowieczeństwa. Z tym akurat mogła się pogodzić; nie bardzo chciała być demonem, ale chciała mieć dzieci, a jeśli wtedy będzie to możliwe - w porządku. Nie miałyby nawet nic przeciwko temu, żeby mieć je zaraz. W końcu jutro kończy trzydzieści dwa lata - równie dobry wiek jak każdy inny.

Ale dlaczego oprócz człowieczeństwa musiała dla niego zrezygnować ze wszystkiego innego? Jeśli to zrobi, stanie się... Nie wiedziała, kim. Nie będzie mu równa. Była z siebie dumna, ze swoich osiągnięć. Dlaczego musi z tego zrezygnować? Jeśli to zrobi, po co jej było to wszystko?

Od początku była świadoma różnic między nimi, przepaści, której nie mogła pokonać. Po pierwszych kilku miesiącach przestała się zamartwiać, że nic dla niego nie znaczy, że jest tylko przelotną miłością. Kiedy oboje przestali spotykać się z kimkolwiek innym - a raczej, gdy Greyson oznajmił, że nie chce spotykać się z innymi kobietami - rozstała się z lękiem i niepewnością. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Ale nigdy nie chciała być od niego zależna. Nie chciała znaleźć się na słabszej pozycji.

I tak pozwoliła mu przejąć kontrolę w wielu sprawach, ale jej praca nie powinna być jedną z nich. Nie powinien za nią podejmować tej decyzji. Jeśli mu na to pozwoli, co dalej? Czy będzie musiała prosić o pozwolenie, żeby spotkać się z Terą czy Brianem? Wyskoczyć na frytki?

Zdawała sobie sprawę, że to idiotyczne, ale wszystko sprowadzało się do tego samego mechanizmu.

Nie chciała od niego zależeć i nie chciała, żeby przejął kontrolę nad jej życiem.

- Chcę nadal pracować - powiedziała.

Opadł na nią i zaraz się odsunął tak, że została sama i zmarznięta na środku łóżka.

- A więc ja ci nie wystarczam?

- Nie! To nie tak! Oczywiście, że... Greyson, ja po prostu uważam, czuję, że też powinnam mieć coś do powiedzenia. Że coś wnoszę, coś więcej niż rolę klaczy rozplodowej. Chcę być twoją partnerką, a nie podwładną, do cholery...

- I myślisz, że tym byś była? Tu nie chodzi o... To zbyt niebezpieczne. Ile razy mam ci powtarzać? -

Zsunął się z łóżka, włożył spodnie, rzucił jej sukienkę. Była mu za to wdzięczna. Nie ma nic gorszego niż kłótnia nago. -Nie chcę ryzykować, że coś ci się stanie.

- Pomyśl tylko! Jestem w niebezpieczeństwie z powodu moich demonów! Z powodu zajmowanej pozycji. To nie ma z tobą nic wspólnego, prawda? Więc czy nie moglibyśmy...

- Meg. - Włożył koszulę, ale nie zawracał sobie głowy zapinaniem guzików. - Albo chcesz za mnie wyjść, albo nie. Jeśli to wszystko jest dla ciebie ważniejsze ode mnie, chyba znam odpowiedź.

- Ja tylko chcę mieć głos w decyzji.

- Wygląda na to, że masz. - Zakrył oczy dłońmi, masował skronie, jakby chciał rozpędzić ból. - To nieskomplikowane pytanie. I nie chodzi o równość, do cholery, tylko o bezpieczeństwo. Twoje. Naszych dzieci. I to, jak je wychowamy. Nie będę w kółko pytał. Wyjdiesz za mnie czy nie?

- Chcę mieć coś swojego! Coś, co sama osiągnęłam i co zachowam. Naprawdę tak trudno to zrozumieć? Wczoraj mówiłeś, że może coś wymyślimy. Nie możemy?

- Tak czy nie, Megan?

Zapięła stanik, włożyła sukienkę, wstała.

- Jeśli nie możemy o tym porozmawiać, jeśli ciągle wywierasz na mnie presję, jeśli chcesz, żebym wszystko rzuciła, żebym zrobiła, jak ty chcesz, a ty nawet nie możesz mnie wysłuchać, to... - Nie mogła powiedzieć „nie”. Nie przeszłoby jej przez gardło. - Muszę już iść.

Koło łóżka stało krzesło Malleusa. Greyson opadł na nie, ukrywając twarz w dłoniach.

- Dobrze. Idź.

- Ja... Później o tym porozmawiamy. Kiedy ochłoniemy. - Zabrzmiało tak tandetnie, że się skrzywiła.

- Jasne. Później. Ja tymczasem sobie poczekam, tak? A ty zdecydujesz, czy chcesz być ze mną, czy nie. Kto jest dla ciebie ważniejszy: ja czy obcy ludzie i ich problemy?

- To nie fair.

- Powtarzam, Meg: życie nie jest fair, do cholery. Nie podnosił głowy. Stała tam, walcząc z chęcią, by położyć mu rękę na ramieniu, uklęknąć, objąć go. Niezdecydowana, zaciskała dłonie. Greyson uniósł głowę tak, że zobaczyła puste spojrzenie czerwonych oczu.
- Miałem wrażenie, że wychodzisz.
- Później porozmawiamy - powtórzyła i uciekła, nim zdążyła zrobić coś naprawdę głupiego.

## Rozdział 27

Gdy tylko otworzyła drzwi do swojego pokoju, zaatakował ją potwór o silnych ramionach, jego bliskość wprawiała umysł Megan w wibracje. Tera. Obejmowała ją.

Megan jęknęła, próbując wyplątać się z jej uścisku.

- Tero, co, do cholery...
- Gdzieś ty była? Spotkanie skończyło się dawno, przed czterema godzinami. Nick i ja dostajemy szału ze strachu. W tej chwili szuka cię po całym hotelu. Po raz trzeci.
- Och. Hm. Byłam z Greysonem. Rozmawialiśmy. O aniele i w ogóle.
- I nie przyszło ci do głowy, żeby do nas zadzwonić? Nick ma cię pilnować. Miałaś zadzwonić po spotkaniu, żeby po ciebie przyszedł. Wyobrażasz sobie, jak się poczuł, kiedy tego nie zrobiłaś? Jak myślisz...
- Przepraszam, dobrze? Przepraszam. Nie pomyślałam. Na spotkaniu niewiele się dowiedziałam, a muszę, żeby... Po prostu nie pomyślałam.



Wyraz twarzy Tery zmienił się; starannie umalowane niebieskie oczy otworzyły się szeroko, idealnie uszmkowane usta złagodniały.

- Pogodziliście się?

- Nie.

- Znowu ci się oświadczył?

- Trzy albo cztery razy, o ile pamiętam. Ale nie chce się zgodzić, żebym... Nie chcę o tym rozmawiać. W kółko powtarza, że gdybym naprawdę chciała za niego wyjść, nie miałyby to znaczenia, a on nawet nie próbuje zrozumieć, że nie chodzi o to, że nie chcę, tylko... Zresztą nieważne. Ty mnie rozumiesz. Dlaczego ci to tłumaczę? Usiadły na łóżku. Tera sięgnęła po torebkę z logo znanego projektanta i wyjęła zestaw małych buteleczek.

- Trzymaj.

- Co? Och, dzięki. - Stłumiła uśmiech. Cała Tera: podkładała alkohol z samolotu.

Megan wychyliła zawartość buteleczki jednym haustem i westchnęła. Burbon palił przelyk i rozluźnił ściśnięty żołądek.

Tera wypła łyżek.

- Może on ma rację.

- Co? Jak możesz w ogóle...

- Chciałam tylko powiedzieć, że skoro tak się zapierasz, może naprawdę wcale nie chcesz za niego wyjść.

- Ależ chcę. Kocham go. Po prostu nie pojmuję, czemu nie godzi się na żaden kompromis. Czemu nawet nie chce o tym rozmawiać.

- Ha. Bo ty oczywiście chcesz. Słuchaj, nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że wiem, o czym mówię - w końcu to ty zarabiasz na życie gadaniem, ja cię tylko czasami słucham - ale nie wydaje ci się, że tylko szukasz wymówek, bo obawiasz się, że stracisz kontrolę? Albo dlatego, że wszystkie decyzje, których się bałaś, które od siebie

odsuwałaś, nagle są tuż-tuż? I teraz szalejesz, więc szukasz jakiegokolwiek powodu, żeby tego nie zrobić, żeby... Cholera, sama nie wiem. Co poradziłabyś pacjentowi?

Megan, zawstydzona, przez chwilę patrzyła na Terę z szeroko otwartymi ustami. Nigdy nie podejrzewała jej

O taką przenikliwość.

- Chyba masz rację. Mniej więcej. To znaczy, kim będę, jeśli zrezygnuję z pracy? Kolejną kobietą u boku bogatego męża. Taką, która całymi dniami chodzi na zakupy, szydełkuje i nie wiem, co jeszcze. A jeśli on się mną znudzi? Wiesz, że demony mają kochanki. Mają żony, które siedzą w domu, i kochanki, które z nimi wychodzą, bawią się i... Więc jeśli tak będzie? I nie będę miała nic innego, nawet pracy?

- Megan, znam Greysona od pewnego czasu, choć naprawdę poznałam go dopiero, gdy ty się pojawiłaś. Ale nie zdradzał nawet Lexie, a przecież łączył ich tylko seks.

i nie chcę się tu rozklejać, ale przecież on za tobą szaleje. Naprawdę myślisz, że jeśli za niego wyjdiesz, nie da ci wszystkiego, czego tylko pragniesz? Nie widzisz, że on tylko czeka, byś wraziła gotowość poświęcenia, a kiedy już to zrobisz, dopilnuje, żebyś nie musiała tego robić? Przecież to cały on. Zawsze był taki.

Megan znowu zwilgotniały oczy. Chyba będzie musiała zainwestować swoje skromne oszczędności w chusteczki jednorazowe.

- Myślałam, że go nienawidzisz. Tera wzruszyła ramionami.

- Ty się bawisz na swój sposób, ja na swój.

- Ale to... Dobra, nieważne. Masz rację. On naprawdę tak działa, tak myśli, ale nie kiedy mówisz, że bawi się na swój sposób. Musiałby mi pozwolić na pracę.

- A może po prostu chce pracować razem z tobą, żebyście razem byli szczęśliwi.

- Jezu, zamkniesz się w końcu? Od kiedy jesteś głosem rozsądku i namawiasz mnie, żebym to zrobiła? Zdajesz sobie sprawę, że wtedy byłabym demonem?

- Wiem. - Tera się uśmiechnęła. - Ale wiem też, że nie przejdzie ci, póki za niego nie wyjdiesz, więc miejmy to z głowy.

Szkoda, że buteleczka w jej dłoni była już pusta. Nie żeby dalsze picie było dobrym pomysłem. Tego wieczoru czeka ją walka na śmierć i życie, więc chyba lepiej nie pić na umór. Cholerna walka o życie, zawsze komplikuje rozrywkowe plany.

- Więc uważasz, że powinnam się zgodzić - stwierdziła.

- Uważam, że powinnaś się dobrze zastanowić, co cię uszczęśliwi za dziesięć czy dwadzieścia lat, i zdecydować, który wariant...

Obie podniosły wzrok - drzwi otworzyły się gwałtownie. Wszedł Nick, pochmurny, póki nie zobaczył Megan.

A wtedy jego twarz zmieniła się, przypominała chmurę gradową.

- Gdzieś ty była, do cholery? Już przeczesywałem w myślach to cholerne jezioro. A ty? - Łypnął groźnie na Terę. W jego oczach pojawiły się czerwone błyski. - Miałaś do mnie zadzwonić, kiedy się czegoś dowiesz. Dawno wróciła? Co takiego robiłaś, że nie mogłaś mnie zawiadomić, że żyje?

- Kochaliśmy się do utraty tchu - prychnęła Tera. - Nie żałujesz, że to przegapiłeś?

- Przepraszam, Nicku. Wróciłam dosłownie przed chwilą i musiałam z nią porozmawiać - wpadła im w słowo Megan w nadziei, że rozładuje wściekłość widoczną na twarzy Nicka. - Przepraszam, że się nie odezwałam. Ja... byłam z Greysonem. Rozmawialiśmy.

- Och. - Złagodniał, ale ból malujący się w jego oczach nie zniknął.

Odetchnęła głęboko.

- Tero, możesz zostawić nas na chwilę samych?

Przez moment wydawało się, że Tera zacznie żartować. Megan kurczowo wbiła palce w poduszkę; jeśli się odezwie, zdzieli ją po głowie.

Nie zrobiła tego, wstała.

- Będę u siebie. Zadzwoń, dobrze? Chcę wiedzieć, jak było na spotkaniu i w ogóle.

Megan skinęła głową. Za Terą zamknęły się drzwi. Nadal nie miała pojęcia, co powiedzieć. No dobrze. Musi to zrobić. Cokolwiek.

- Nicku, bardzo mi przykro, naprawdę. Pokręcił głową.

- Nie... To znaczy, w porządku, ale to także moja wina. Powinienem był cię powstrzymać, ale...

- Nie chciałeś mnie urazić - dokończyła za niego. -Dziękuję. Doceniam, naprawdę.

- To nie do końca tak. Oczywiście, nie chciałem urazić twoich uczuć, ale... Cholera, Megan, jestem facetem, półkrwi inkubem. To nie było z litości, rozumiesz? Ale mimo wszystko...

- Nie powinnam była do tego dopuścić, bardzo przepraszam.

Spuścił głowę tak, że nie widziała jego oczu.

- Dzięki. Nie ma sprawy. To była także moja wina, ale dzięki.

- Rozmawiałam z Greysonem. - Dlaczego nie wzięła od Tery jeszcze jednej buteleczki? Idiotka. - Jeszcze raz powiedziałam mu, co się wydarzyło, że to nie była twoja wina i że nie powinien mieć do ciebie pretensji. Powiedział, że się postara. A kiedy będziemy gotowi, mamy do niego zadzwonić.

Usiadł na skraju łóżka, w bezpiecznej odległości od Megan, ale, jak zauważyła, na tyle blisko, by w razie konieczności, z łatwością ją dosięgnąć. Boże, jest cudowny. Nigdy sobie nie wybaczy, że go skrzywdziła.

- Więc z nim rozmawiałaś.

- Tak.

- I co? To znaczy, nie musisz mi mówić, ale... Pogodziliście się?

Westchnęła i wytłumaczyła wszystko od początku. To znaczy, prawie wszystko. O seksie nie wspominała, ale pewnie i tak się domyślał.

Pokręcił głową.

- I co zrobisz?

- Nie wiem. Wiem, czego chcę, ale wiem też, że nie chcę zawierać małżeństwa - Boże, nie wierzę, że w ogóle o tym mówię - przekonana, że Greyson uważa, iż zrobię, co mi każe.

W tym momencie rozdzwonił się telefon, serce podeszło jej do gardła. Jakby wiedział, że o nim rozmawiają. Co byłoby bardziej zaskakujące, gdyby nie dzieliły ich teraz takie dramaty, ale mimo wszystko...

Może chciał porozmawiać. Może wreszcie zrozumiał.

Ale to nie był Greyson, lecz Brian.

Przez chwilę pokój zawirował. Głos Briana należał do innego świata, do rzeczywistości odległej od tego cholernego hotelu. Dziwne, że niepokoi ją w tym klaustrofobicznym światku, w jaki przerodził się zapowiadany relaksujący tydzień w luksusie.

- Brian? Co jest?

- Nie wpuszczą mnie na górę, póki nie podam numeru pokoju, a nie chcą mi go podać. Więc?

- Co? Jesteś tutaj? Dlaczego?

- Hm, agentka FBI zamordowała tu dzisiaj kobietę. Gorący temat.

- Och, no tak. - Podała mu numer pokoju i rozłączyła się, niepewna, dlaczego jego obecność budzi w niej tak silny niepokój. Nie pasował tutaj. Nie dzieliła z nim tej części swego życia. Wiedział o niej wiele i akceptował ją, ale rozmawiali o pacjentach i pracy, o pisaniu, o telewizji, książkach i filmach, nie o tym.

Jeśli straci pracę... Czy zachowa przyjaźń Briana?

Może to nie fair. Po kilku pierwszych rozmowach wycofał się, nie chciał mieć nic wspólnego z demoniczną częścią jej życia, lecz nie krytykował jej otwarcie. Dogadywał się jakoś z Greysonem, choć nie do końca mu ufał ze względu na jego demoniczność. Ale ją postrzegał jako kobietę.

Człowieka. Chciał, żeby nim pozostała, uważał, że w pewnym sensie Megan poniża się, wiążąc się z demonami. Nigdy tego nie powiedział, ale wiedziała, że tak myśli. Wiedziała, że sprawiła mu zawód. Ale tak naprawdę to było bez znaczenia. Nie podejmie przecież życiowej decyzji na podstawie zdania przyjaciela, choć chciałaby, żeby zaakceptował jej decyzję i by nie wpłynęła ona na ich znajomość.

Ale to nieważne, zwłaszcza nie teraz. Chwilowo nie miała czasu, żeby martwić się Brianem.

Nie miała też czasu, żeby z nim gawędzić. Czas, jak to czas, przeciekał przez palce; dochodziła piąta, a liczyła, że zje coś i zdrzemnie się przed spotkaniem

o ósmej. Do tego jeszcze musi podzielić się planem z Nickiem i Terą, zastanowić się, kto zatrudnił anioła. Cholera, trzeba było zapytać Greysona, kogo podejrzewa... Myśl o nim otworzyła istną puszkę Pandory, z której wyfrunęły kłopoty, z jakimi wkrótce przyjdzie jej się zmierzyć.

Jej nastrój się nie poprawił, gdy drzwi się otworzyły

i zobaczyła, że Brian nie jest sam. Przyprowadził Julie. Cholera.

Och, bardzo ją lubiła, ale fakt, że jest policjantką współpracującą z FBI, obecnie znacząco obniżał jej atrakcyjność towarzyską.

Lepiej jednak tego nie okazywać. Uśmiechnęła się więc, uściskała ją, pochwaliła nowe ułożenie długich do ramion kasztanowych włosów. Megan zawsze miała wrażenie, że Julie, zamiast rozwiązywać zagadki kryminalne, powinna doić krowy na jakiejś farmie; była w niej ta zdrowa, rumiana otwartość, jaka kojarzy się z reklamami szamponów.

Ale tym razem, mimo serdecznego powitania, w piwnych oczach nie było uśmiechu. Julie usiadła za biurkiem, Brian oparł się o ścianę.

- Megan, ta zamordowana kobieta, Justine Riverside... Znałaś ją, prawda? Brała udział w tym spotkaniu, na które przyjechał twój chłopak.

Cholera, cholera, cholera. Co jeszcze wie? Czy Brian powiedział jej wszystko?

No dobra. Uczciwość to najlepsze wyjście, zwłaszcza że nie miała pojęcia, co i czy w ogóle cokolwiek wie Julie.

- Tak, znałam Justine.

- Bo Greysona łączyły z nią interesy.

Między uczciwością a głupotą jest jednak pewna różnica.

- Julie, czy to jest oficjalne przesłuchanie? Co tu się dzieje?

- Nie, nie przesłuchuję cię - zapewniła Julie. - Po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego Elizabeth zrobiła coś tak strasznego. Wiem, że rozmawiała z tobą, zanim wyjechałaś, zastanawiałam się więc, czy wspominała coś o Justine, czy mówiła, że się znają.

- A gdzie jest Greyson? - Brian rozglądał się ciekawie. - Myślałem, że wybierze lepszy pokój.

Na miłość boską, czy w każdej rozmowie musi się pojawiać jego imię?

- Nie ma go tu. Elizabeth nie wspominała o Justine. Słabo ją znałam, więc chyba niewiele ci pomogę. Julie zmarszczyła brwi. Megan nie wiedziała, czy to rozczarowanie, czy podejrzliwość, i nie miała pojęcia, jak to ustalić. Czytanie przedstawicieli prawa to kiepski pomysł. Z upływem lat utwierdziła się w przekonaniu, że wielu z nich miało podobne zdolności, w każdym razie mieli je lepsi policjanci, którzy denerwowali się, gdy ich czytała. A zresztą, nawet gdyby zaryzykowała, uniemożliwiła to obecność Briana. Wiedziałby od razu i byłby wściekły.

- Kiedy wróci Greyson? Chciałabym z nim porozmawiać.

- Nie wiem. Będziecie przesłuchiwać wszystkich? Z tego, co wiem, sprawa jest jasna. To znaczy, wiadomo, kto zabił Justine, prawda?

Julie przechyliła głowę i patrzyła na Megan tak jak Spud, gdy eksperymentował z nową szminką.

- Mogę być z tobą szczerą?

O, nie. Z takich pytań nigdy nie wynika nic dobrego. Ale co mogła powiedzieć? Przecież nie mogła się nie zgodzić.

- Oczywiście.

- Elizabeth w ostatnich dniach... zachowywała się bardzo dziwnie. Rozmawiałam z nią dzisiaj rano i... To normalne w przypadku morderców... To znaczy, zwyczajnych ludzi, którzy nagle pękają...

Normalne, że są zagubieni, że niczego nie pamiętają. Chyba wiesz, o czym mówię.

Megan skinęła głową. Wiedziała, i to bardzo dobrze. Jeden z bonusów jej pracy.

- A Elizabeth jest... Gdybym nie pracowała z nią wcześniej, gdybym jej nie znała, powiedziałabym, że



udaje po to, by uznano ją za niepoczytalną. Ciągłe paplała o białym świetle, czarownicach i demonach. Megan i Nick ani drgnęli, za to Brian się poruszył. Na szczęście Julie tego nie zauważyła.

- To nie jest część oficjalnego śledztwa, dlatego ci

o tym mówię - ciągnęła Julie. - Tak, oficjalnie sprawa jest jasna, Elizabeth przyznała się do winy. Ale coraz z nią gorzej. Ślini się. Zasypia w trakcie rozmowy. Nie jest pod wpływem narkotyków, ale w ogóle nie kontaktuje. I zastanawiałam się, bo mówiła o tobie.

- O mnie? - Czyżby głos jej się łamał? Oby nie.

- Mówiła, że do niej przyszedł, tak mi się przynajmniej zdaje. Mówiła też coś o jeszcze jednej kobiecie i całej armii. I broń, w kółko mówiła o broni. Że broń tam jest, że ją do tego zmusza, że światło też tego chce. Nie panowała nad... - Rozdzwoniła się jej komórka. -Przepraszam na chwilę.

Megan ledwie ją słyszała. Nie broń. Gunnar.

Elizabeth wiedziała, że to on. Mogłaby go zidentyfikować. A Justine oczywiście znała go i wpuściła do pokoju. Następnie Elizabeth z siłą anioła - sprytne posunięcie, o które nie podejrzewała Gunnara - weszła do środka i odwalila za niego brudną robotę. Nie przypuszczała, że wszystko tak zorganizuje, by na niego nie padł nawet cień podejrzenia.

Gunnar, który usiłował ukryć zniknięcia *rubenda*. Gunnar, który nie chciał jechać do hotelu

Windbreaker i stawić czoło aniołowi. Gunnar, którego Megan zawsze uważała za najnudniejszego, najsłabszego spośród Gretneg; kolekcjonował rybki, do jasnej cholery.

Zerknęła na Nicka, dostrzegła zrozumienie w jego oczach. Tę samą palącą niepewność, co robić w obecności Julie i Briana.

- O Boże! - Głos Julie wyrwał ich z zadumy, ale nie uspokoił rozszalałego bicia serca Megan. - A teraz... O Boże. Tak, dobrze.

Rozłączyła się i, ściągnawszy brwi, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w aparat.

- Coś się stało, kochanie? - zapytał Brian. Pokręciła głową.

- Elizabeth nie żyje.

- O cholera, naprawdę? Julie skinęła głową.

- Ale... jej ciało... Dopiero co umarła, a już się rozkłada. Jakby nie żyła od kilku dni, a nie od dwudziestu minut.

Megan zrozumiała wszystko tak nagle, że musiała zacisnąć dłonie, by ukryć szok. Anioł ją zabił. Zabił ją tamtej nocy, tuż przed albo tuż po tym, jak zaatakował Megan. Stąd krew. Stąd brak kontaktu z Elizabeth. Anioł albo w odpowiednich chwilach kierował jej ciałem, albo przebywał w nim, poruszał jej ciałem jak marionetką. Ta myśl sprawiła, że żołądek podszedł jej do gardła; zakryła usta dłonią. Na szczęście nie była to zbyt gwałtowna reakcja jak na rozmowę o rozkładzie. Julie chwyciła ją za rękę.

- Megan, przepraszam! Nie pomyślałam... Chyba nie chcesz tego słuchać.

Megan zbyła ją machnięciem ręki. Dobrze. A więc to Gunnar. A anioł... Nie tylko ją widział, widział ją z Greysonem, Nickiem, Rokiem, braćmi i... Terą.

Terą czarownicą. Terą, na którą, jeśli wierzyć Greyso-nowi, anioł zapoluje równie chętnie jak pierwszy lepszy demon. Owszem, jako czarownica Tera jest chroniona lepiej niż pozostali, ale mimo wszystko... Jeśli zaatakuje ją zniecka? Nie wyczuła go podczas egzorcyzmu, nie widziała go, w przeciwieństwie do pozostałych.

Megan wstała, potykając się z pośpiechu.

- Słuchajcie, dopiero teraz do mnie dotarło, która jest godzina. Czas na mnie. Umówiłam się z Greysonem. Muszę już iść. Nicku? Nicku, idziemy. Zadzwoń do Greysona i powiedz, że zaraz przyjdziemy. Tylko się odświeżę. Spotkamy się u Tery. Pospiesz się.

## Rozdział 28

Kiedy wyszła z łazienki z włosami splątanymi na plecach, wyglądała idiotycznie, ale nikt nie powiedział słowa. Liczyła, że Briana i Julie już nie będzie.

Myliła się. Julie rzeczywiście poszła, ale Brian został.

- Poprosiłem, żeby przyniosła nam coś do picia - powiedział. - Chciałem z tobą porozmawiać.

Spojrzała na Nicka. Stał do niej tyłem, rozmawiając przez telefon. Oby z Greysonem.

- Brianie, to nie jest odpowiedni moment...

- Co tu się dzieje? Jesteś przerażona. To sprawka demonów, prawda? Demon opętał Elizabeth Reid i zmusił ją do morderstwa.

- Nie, Brianie, to nie demon. Naprawdę.

- Więc co się stało? Megan, chcę pomóc. Coś cię ściga?

- Coś... Tak, pewna istota. Nie człowiek. Poluje na nas wszystkich. Zaatakował mnie, napadł

Elizabeth, coś jej zrobił, zabił Justine. A teraz chyba czyha na Terę. Albo na nas. Naprawdę muszę już iść, ja...

- Mogę pomóc?

- Co?

- Czy mogę pomóc w jakiś sposób?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z jednej strony niewykluczone, że Brian, jako człowiek mający zdolności parapsychiczne, mógł im się przydać. Z drugiej, było to niebezpieczne. Nie mogła go w to wciągać, nie mówiąc, z czym walczą.

Ale fakt, że to zaproponował, sprawił, że poczuła łzy pod powiekami. Jej wcześniejsze obawy znikły, gdy patrzyła w jego uczciwą twarz. Zawsze będzie jej przyjacielem, bez względu na wszystko.

- Ja...

- Greysona nie ma - oznajmił Nick.

Jeszcze nigdy nie widziała go tak zmartwionego, był przejęty bardziej niż owej feralnej nocy, gdy pukanie Greysona przerwało ich niefortunną sesję erotyczną.

Serce skoczyło jej do gardła i biło tak głośno, że miała wrażenie, iż całe jej ciało wibruje jak przegrzany głośnik.

- Jak to?

- Nie ma go. Malleus nie wie, gdzie jest. Wyszedł po południu, po twoim wyjściu, jak się domyślam, i do tej pory nie wrócił.

- A jego komórka?

- Nie odbiera.

Ugięły się pod nią nogi. Nic mu nie jest, na pewno. Może poszedł się przejść, czy raczej przejechać - czasami tak robił, gdy musiał coś przemyśleć - i widząc, kto dzwoni, nie odbierał.

- Spróbuj ze swojej - wykrztusiła.

Wybierał numer, a ona starała się opanować panikę. Mówił, że ma pewne podejrzenia, kto jest odpowiedzialny za te zbrodnie. Nie poszedłby do pokoju Gunnara, nie poszedłby do żadnego pokoju. Dobrze, że jednak niczego nie jadła. Znowu skończyłoby się wymiotami jak zawsze, gdy paraliżował ją lodowaty strach.

Dobrze. Teraz musi się skupić. Zadzwoń do Tery, upewnij się, że nic jej nie jest. I Roc, oczywiście. Dała mu wolne, póki nie dowiedzą się, co się dzieje. Powinna była wezwać go wcześniej, od razu kiedy wróciła do pokoju.

Niewidzialna nić łącząca ją z Yezer zadrżała, gdy jej użyła. Czekala na odzew. Nic. Ponowila próbe. Nic.

Niech to szlag. Gdyby nie wiedziala, jak powazna jest sytuacja, pomyslalaby, ze szykujaja dla niej przyjecie niespodzianke czy cos w tym stylu.

Jeszcze raz. Tym razem wreszcie doczekala sie slabego odzewu i od razu poczula sie lepiej.

- Roc zaraz tu bedzie - powiedziala do Nicka. -I jak?

Pokręcila glowa.

- Co mam robic? - zapytal Brian. - Powiedz. Wszyscy sie odwrócili, gdy rozleglo sie pukanie do drzwi. Roc, wyczuwala go, ale tez Julie. Cholera, zapomniala o niej.

- Nie mozesz nic zrobic, Brianie. Zabierz Julie. To nie bedzie najbezpieczniejsze miejsce tej nocy. Wiec idzcie.

Znowu pukanie.

- Zawioze ja do domu i wroce. - Polozyl dlon na klamce. - W porzadku? Wroce niedlugo.

- Lepiej nie. To niebezpieczne. Zmarszczyl brwi.

- Jesteś moja przyjaciółką. Wroce.

Teraz, gdy Greyson zniknal - nie, nie zniknal, sprostowala, byl tylko nieosiagalny - powinna wszystkich zebrać, zrozumiec, co sie dzieje, i zastanowic sie, co robic. Poza nim, tylko ona i Nick wiedzieli, kto stoi za atakami anioła.

A moze nie. Tera, na szczescie, byla bezpieczna, choc zirytowana, ze przerwali jej manikiur w hotelowym salo-

nie piękności. Rocowi nic nie groziło, choć złościł się, że przerwano mu ucztę - odkrył nad basenem grupę rozgoryczonych rozwódek.

Yezer nie znalazły anioła. Nie poruszał się na płaszczyźnie psychicznej, nie ukazał się im. A więc zapewne się ukrywa. Czai się. Czeka.

- Skoro wiemy, kto to - Tera z uwagą przyglądała się do połowy pomalowanym paznokciom - może po prostu wezwę Vergadering? Przyjadą po niego, a kiedy go zamkną, nie będzie na was polował.

- Zakładasz, że to wie, że go to obchodzi. - Czas nie był ich sprzymierzeńcem. Z każdą upływającą minutą oba serca Megan biły coraz szybciej, a w jej głowie pojawiało się coraz więcej makabrycznych obrazów. Jeśli anioł go dopadł... Jeśli zginął... Nie wolno jej tak myśleć, teraz powinna być silna i skoncentrowana. A nie jest. Przykre, ale prawdziwe. - A może to nie tylko Gunnar.

Ta myśl przyszła jej do głowy wkrótce po tym, jak namierzyli Terę. Skupiła się na Gunnarze pewna, że to on - i nie myliła się. Co nie znaczy, że nie współdziałał z Winstonem. Albo Baylorem. To interesy mroczne, ale równie realne jak polityka.

- Nie podoba mi się ten Baylor - sapnął Roc. - Jest taki... podejrzany.

Te słowa z ust małego, zielonego, pomarszczonego demona nabierały nowego znaczenia, ale Megan nie dyskutowała.

- To może być każdy z nich.

- Więc co robimy? - Tera otworzyła kartę dań. - Skąd się dowiemy, kto jeszcze? Spotykasz się z nimi o ósmej?

- Tak, mamy jeszcze tylko godzinę - odparł Nick. Pokój Tery był większy niż Megan; Nick siedział obok niej na małej sofie.

Był też ładniejszy, miał mały balkon i tłoczone tapety. W innej sytuacji Megan wolałaby usiąść na dworze, myśleć, czując muśnięcia bryzy na twarzy, ale nie dziś. Nie teraz, gdy obawiała się, że w mały balkon jest wycelowana lufa snajpera.

Cholera. Godzina. Tylko godzina. O ósmej ma stanąć do walki ze zdrajcą, któremu najwidoczniej bardzo zależało na jej śmierci.

Komu zaufać? Nie licząc zebranych w pokoju, do kogo się zwrócić? Kogo ostrzec?

Owszem, Winston chciał iść do hotelu Windbreaker i walczyć, ale może chciał ich wciągnąć w pułapkę? Może ustalił to wcześniej z Gunnarem, żeby ich zmylić. Albo Baylor... to samo. Każdy z nich. Jest jeden sposób, by się dowiedzieć - odnaleźć ich albo anioła i przekonać się, kto... o cholera.

Nick i Tera kłócili się o prawo jednostki czy coś takiego. Przerwali, gdy podniosła słuchawkę i zadzwoniła do pokoju Greysona - jej dawnego pokoju.

- Megan, co....

Uciszyła ich ruchem ręki wsłuchana w sygnał, póki Malleus nie odebrał.

- Pojechał do hotelu Windbreaker, prawda? Chciał mieć anioła na oku?

Długa cisza, na tyle długa, by utwierdzić ją w podejrzeniach.

- Nie mogę powiedzieć, dokąd pojechał, pani.

- Bo ci zakazał? Ale pojechał właśnie tam, prawda? Malleus, powiedz tylko: tak albo nie. Przecież tym sposobem nie złamiesz zakazu.

Znowu milczenie.

Znowu poczuła wilgoć pod powiekami. Irytowały ją te ciągłe łzy, ale tym razem pozwoliła, by dławili jej głos, zła na siebie za tę manipulację.

- Malleus, proszę. Tylko: tak albo nie. Westchnął.
- Tak.
- Jest sam? Nie sam, prawda?
- Nie, pani. Lord Dante umie o sobie zadbać, nie obawiaj się, pani.
- Jest sam? Chłopcy...
- Ze Spudem.

Odetchnęła z ulgą, ale zaraz znowu zamarła z niepokojem. Jest tam sam, ze Spudem, ale czy we dwóch zdołają stawić czoło aniołowi?

Nie mieli mocy demona duszy. Spud był silny i bezlitosny w walce, nie podda się do śmierci, ale o tym też wolą nie myśleć.

Zresztą, jak udało mu się tam ukryć? Jeśli Gunnar albo ktoś inny wejdzie do hotelu, zobaczy go.

Dlaczego uznał, że to dobry pomysł?

- Dzięki, Malleus. Bardzo ci dziękuję.
- Nie ode mnie się dowiedziałaś, pani. Nie chcę, żeby się na mnie złościł, a tak będzie, jeśli mu powiesz.
- Nie powiem, obiecuję.

Pożegnała się, odłożyła słuchawkę. Wszyscy patrzyli na nią z ciekawością.

- Jest w hotelu Windbreaker. Ma anioła na oku. Chyba szuka dowodów, sama nie wiem. Więc musimy tam jechać, i to już.

- Myślałam, że wszyscy razem pojedziemy o ósmej. Megan chwyciła torebkę i włożyła buty.

Spojrzała na

Terę.

- Owszem, ale my pojedziemy już teraz. Bo niewykluczone, że będziemy tylko my, a jeśli anioł dopadnie go wcześniej albo jeśli zauważy go Gunnar lub jego wspólnik... ja... Musimy tam być. I to zaraz.



Spojrzała na nich. Tera w sportowej bluzie i czarnych spodniach, pozornie beztroska jak zwykle. Nick nerwowo zaciskający dłonie, jakby szukał miecza. Roc skubiący cynamonową bułeczkę, którą ze sobą przyniósł; jej zapach budził w niej głód i mdłości zarazem.

I ona, metr pięćdziesiąt z kawałkiem, pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Zero mięśni. Zero doświadczenia w walce.

Ale miała moc. Miała zdolności. Tera jest czarownicą, a czarownice mogą pokonać i demona, i anioła. Nick jest wojownikiem. A Roc... Kto wie, do czego tak naprawdę jest zdolny? I jeszcze coś: buzowała w niej adrenalina zwierzęcia w potrzasku, panika kobiety, która musi chronić najbliższych.

Nie była to co prawda drużyna marzeń, ale musi wystarczyć.

## Rozdział 29

Nie dość, że wybrakowana, drużyna marzeń jechała osobnymi samochodami, co też nie było najlepszym rozwiązaniem. Megan nie miała tu swojego samochodu, przyjechała z Greysonem. Tera jeździła czerwonym sportowym cudeńkiem, w którym z trudem mieściła się jedna osoba. Nick dotarł tu z lotniska taksówką, a Roc, który nawet nie sięgał do kierownicy i poruszał się zwykle innymi kanałami, w ogóle nie miał prawa jazdy, dlatego też powrót Briana kilka minut po jej rozmowie z Malleusem okazał się bardziej pożądany, niż przedtem myślała. Nie dość, że się zjawił, to jeszcze w swym małym zagranicznym wozie miał miejsce dla trzech pasażerów.

I to wystarczyłoby, gdyby w momencie wyjścia Megan nie zastała na progu Maleficarum.

- Mai mówi, że jedziecie do hotelu. Jadę z wami.

- Dobrze - odparła, nie zwracając uwagi na zdumienie w jego ciemnych oczach. - Pojedziesz z Nickiem i Brianem, ja z Terą.

Wyglądał, jakby chciał zaprotestować - swoją drogą, ciekawe, na ile do przyjscia skłoniła go chęć pomocy, a na ile nadzieja, że wydusi z niej, czemu krzywdzi lorda Dante i co on, Maleficarum, może zrobić, by to zmienić - ale surowe spojrzenie Megan sprawiło, że ugryzł się w język.

Dobrze.

Jazda do niezbyt odległego hotelu Windbreaker ciągnęła się przez całą wieczność. Megan, nie dość, że się martwiła, zaczęła się także zastanawiać, czy to aby na pewno dobry pomysł. Może Greysonowi udało się jakoś ukryć w tłumie, może nawet przemycił Spuda, o którym można powiedzieć wiele, ale nie to, że nie rzuca się w oczy, potężny i groźny.

Ale ukryć taką grupę?

Krok po kroku. Faktem jest, że Greyson może znajdować się w niebezpieczeństwie. Gdyby coś mu się stało, a ona nie... Nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Nigdy.

- Dobrze - zaczął Nick, gdy wysiedli. Miał przy sobie miecz; wołała nie pytać, w jaki sposób przemycił go na lotnisku, ale przecież tego nie musiała wiedzieć. -Megan, jeśli coś tu naprawdę zacznie się dziać, będziesz głównym celem... Maleficarum, zostaniesz z nią.

Maleficarum skinął głową z niedowierzaniem na twarzy. Megan zrozumiała. Przecież to było oczywiste.

- Ja będę z Brianem. Nie zna cię ani ta istota, ani inni zamieszani w tę sprawę. Ale masz podobno zdolności paranormalne, tak? No właśnie. Więc możesz się

przydać i... Nie wiem właściwie, jakie masz doświadczenie w walce.

- W szkole średniej i na studiach uprawiałem zapasy. Megan zamrugała powiekami. Nie wiedziała o tym.

- Cóż, to może się przydać. Ale....

- A co ze mną? - niecierpliwiła się Tera. - Kto mnie ochroni?

- A potrzebujesz tego?

- Nie, ale byłoby fajnie, gdyby ktoś o tym chociaż pomyślał.

Nick się uśmiechnął.

- W takim razie będziesz ze mną i z Brianem. Dobrze?

- W porządku - odparła Megan.

Hotel Windbreaker wznosił się nad nimi, Megan wydał się większy, niż zapamiętała. Ten sam ponury budynek, brudne ściany, rzędy małych okienek. Przypominał bardziej więzienie niż hotel.

Spojrzała na zegarek, srebrne cacko, które kilka miesięcy temu dostała od Greysona. Znajdzie go, mają pół godziny do spotkania z pozostałymi w Bellrieve. Co będzie, jeśli... jeśli się nie zjawią?

To nie jej sprawa. Wyprostowała się, skoncentrowała, wychwyciła energię z powietrza. Mogłaby sięgnąć do zapasów Yezer, ale wolała z tym poczekać, póki nie będzie innego wyjścia.

- Idziemy.

W holu panowała cisza. Śmiertelna, straszna cisza. Spodziewała się jęków i wrzasków z sali balowej, w której Walther odprawiał egzorcyzmy. Słyszała jedynie świst powietrza w klimatyzatorze.

- Dokąd? - szepnął jej Nick do ucha.

- Nie wiem. Poczekaj. - Co zrobiłby Greyson na jej miejscu? Dokąd poszedłby, żeby mieć na oku wszystkich przychodzących, anioła i całą resztę?

Odwróciła się w stronę kantorku ochrony i zobaczyła go, jak wygląda zza ściany przy recepcji, zza przepierzenia, za którym dwie noce wcześniej spał recepcjonista. Jego rysy wykrzywiał grymas - może nie złości, ale z pewnością nie był to uśmiech powitalny.

- Co tu robicie? Cholera, nieważne. Chodźcie tutaj, powiecie mi.

Tak ją wita? Ona sprowadza na ratunek kawalerię, a on stroi fochy? No cóż, niczego innego nie mogła się spodziewać, zwłaszcza że kilka godzin temu odrzuciła jego oświadczenia. Po raz kolejny.

Kolejno przemknęli za recepcję. Za przepierzeniem siedział Spud, wpatrzony w szereg monitorów.

- Malleus powiedział, gdzie jestem?

- Nie, domyśliłam się. I wiem, kto jest odpowiedzialny za morderstwa. Gunnar.

Błysk aprobaty w jego oczach sprawił, że jej serce zaczęło bić żywiej.

- Nie tylko Gunnar. Wiesz, kto jeszcze? Przecząco pokręciła głową.

- No to siadaj, patrz i szykuj się. Ona zaraz przyjdzie.

- Ona? Ale przecież Justine...

- Justine? Skądże. Justine nigdy nie zadałaby się z aniołem, dziwię się, że....

- Aniołem? - Brian wpadł mu w słowo. - Jak to aniołem?

Greyson przewrócił oczami.

- O cholera, nie zauważyłem, że przyprowadziłaś też Prawdziwego Wyznawcę.

- Tak. Greyson, też się cieszę, że cię widzę. Jak to: anioła? Chyba nie oczekujecie, że...

- To nie taki anioł - wyjaśniła Megan. - To nie jest dobry anioł, to...

- Megan, anioły są dobre z definicji. Wiesz, twory boskie, obrońcy....

- Wojownicy - przerwał mu Greyson. - Nie obrońcy, wojownicy. Przypomnij sobie, Brianie, kto doprowadza świat do upadku w Apokalipsie? Kto ma ognisty miecz? A co powiesz o Arielu, Aniele Zemsty? Czy to przyjemny widok? Chcesz stanąć z nim oko w oko?

Nawet jeśli Briana zaskoczyła wiedza Greysona, nie dał tego po sobie poznać.

- A zwiastun dobrej nadziei? A ochrona Dzieciątka Jezus przed Herodem? A...

- Powtarzam, to nie taki anioł. Potraktuj go jak wolnego strzelca, dobrze? Zerwał z Bogiem i jest najemnikiem, przebiegłym jak samo piekło. To obraza boska, Brianie. Coś, co nie powinno istnieć. Jak Nephilim.

Brian się wzdrygnął. Greyson skinął głową.

- No właśnie. Oto, z czym mamy do czynienia. To nie jest istota, która wypełni cię błogim światłem.

Nie, on urwie ci głowę przy pierwszej okazji. Wykorzystuje tych ludzi, ich wiarę, żywi się nią, odbiera im wolną wolę i zdrowy rozum. Posłużył się kobietą, by zabić demona, rozerwał ją od szyi po brzuch, wyrwał jej serce. Chce karać, wszystko jedno kogo. Nie obchodzi go, że już dawno zawarliśmy pokój. Nie do końca prawda. Jeśli wierzyć poprzednim słowom Greysona i Tery, czarownice i demony starły anioły z powierzchni ziemi, ale chyba nie ma sensu mówić o tym teraz Brianowi.

Brian milczał. Greyson nie dawał za wygraną.

- Niczego nie czuje. Ma w nosie, czy byłeś ministrantem. Ma w nosie, czy w coś wierzysz, ale interesują go twoje zdolności. I dla nich zabije.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Więc idź. - Megan położyła mu rękę na ramieniu, chciała, żeby na nią spojrzął. - Idź, Brianie, bo musimy to zrobić, inaczej wszystkich nas pozabija.

Cisza się przeciągała, zaczęła tracić nadzieję, że kiedykolwiek się skończy. Nie tak dawno miała wrażenie, że Brian zawsze będzie jej przyjacielem. Teraz chyba osiągnęli kolejny kryzys.

Ale skinął głową. Nie patrzył na nią, tylko skinął głową.

- Dobrze. Dobrze, zostanę i pomogę.

- Świetnie. - Greyson ponownie skupił się na monitorach.

- Właściwie jak się tu dostałeś? - zainteresował się Brian.

Greyson się odwrócił.

- Przekonałem ochroniarzy, że są potrzebni gdzie indziej.

- Co? Jak? Nieważne. Wolę nie wiedzieć. Greyson nie zwracał na niego uwagi, wpatrywał się w monitory. Megan odważyła się podejść tak blisko, że czuła zapach jego skóry i wody po goleniu, co przyprawiło ją o bolesny skurcz żołądka, ale nie na tyle blisko, by go dotknąć.

- Lada chwila - mruknął. - Lada chwila dowiemy się, czy to tylko ona, czy oni oboje.

- Greyson, o kim ty...

- Cicho. Zobaczysz. Szykują się, czujesz?

Skoro o tym wspomniał, owszem. Czuła, jak pustka zatacza coraz większe kręgi, jak cisza spowija wszystko grubym kocem. Nie cisza pustego budynku. Cisza kostnicy czekającej, aż zmarli wstaną z grobu. Włosy stanęły jej dęba.

- Czuję - szepnęła. - Co to? Rozejrzył się.

- Wkrótce nas znajdą. Gotowi?

Megan ponownie zerknęła na monitor i po chwili znalazła obraz z sali balowej. Walther zwolnił. Poruszał się jak człowiek biegnący po morskim dnie, jego stopy tonęły w wykładzinie, ramiona przecinały zgęstniałe powietrze.

Tłum także poruszał się jakby w zwolnionym tempie. Większość zebranych siedziała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, jak dzieci wpatrzone w najwspanialszą kreskówkę świata.

Megan drżała na całym ciele. Coś było nie tak. Nie czuła nikogo dokoła. Opuściła tarcze - nadal nic. Za to czuła ich w sobie, czuła ruch, jej demoniczne serce wierciło się i ruszało, jakby chciało rozerwać klatkę piersiową i rzucić się na monitory. Przycisnęła rękę do piersi w absurdalnym geście ochrony.

Greyson obserwował ją w milczeniu.

Uczucie narastało, spływało w stopy, wzniosło się do głowy. Wypełniali ją, przepelniali, ich obawy i smutki jakby stłumione lekami psychotropowymi. Podawano jej kiedyś takie środki w szpitalu, gdy miała szesnaście lat i opętał ją Oskarżyciel. Pamiętała rozwlekłe ruchy, mechaniczne kiwanie się, uczucie waty w mózgu. Położyła dłonie na biurku, żeby uspokoić drżenie.

Greyson odwrócił się ponownie.

- Maleficarum, Nicku, jak szybko możecie wejść na dach?

- Winda...

- Nie, nie winda. Musicie pobiec schodami. I to bardzo szybko.

Spojrzeli na Briana. Skinął głową. Oddalili się cicho we trzech.

- Dlaczego na dach? - Tera otwierała szuflady, oglądała wyjmowane skrawki papieru.

- Bo mam przeczucie, że właśnie tam zaciągnie Megan, kiedy ją dopadnie.

- Jak to: kiedy mnie dopadnie? Greyson wskazał na monitor.

- Bo choć nie wiem, czego chce Gunnar, idę o zakład, że jej chodzi o ciebie.

Megan spojrzała. Do holu weszła Leora Lawden. Megan otworzyła usta z wrażenia.

- Nie, to niemożliwe. To nie ona.

- Zapewniam cię, że tak. Szczerze mówiąc, od początku myślałem, że to jej sprawka. Tylko jej. Dopiero kiedy zginęła Justine, zdałem sobie sprawę, że Gunnar także macza w tym palce.

- Ale jej ojciec... Chyba nie knuła przeciwko własnemu ojcu?

- Pewnie nawet nie wiedziała, czego chce Gunnar. Nie jest zbyt bystra. Nie sądzę, żeby zwracała sobie głowę takimi pytaniami, póki dawał jej to, czego chciała. -Skrzywił się. - Nie każda kobieta uważa małżeństwo z Gretneg za koszmar za życia.

- Ja nie... - zaczęła, ale nie dokończyła; ogarnęła ją fala energii, cisnęła ją na podłogę. Nie panowała nad swoim ciałem, nad myślami. Wyczuwała wszystko, czuła także straszne oślepiające białe światło jak wtedy, na dachu. To samo, które omal nie zabiło jej w pokoju Elizabeth Reid.

Jak przez mgłę czuła na sobie ręce Greysona, słyszała głos Tery, szepczący zaklęcia. Nie działały.

Zwinęła się w kłębek, szukając schronienia, ucieczki.

Nadchodzili. Byli coraz bliżej. Czuła triumf anioła, gdy drzwi do sali balowej stanęły otworem. Czuła, jak przejmuje władzę nad tłumem, jak nurza się w ekstazie znanej tylko narkomanom i psychopatom. Czuła żądzę krwi, z której istnienia nawet nie zdawali sobie sprawy. Myśleli, że podążają na krucjatę i w pewnym sensie mieli rację.



Mieli oczyścić świat z demonów.

A ona znajdowała się na pierwszym miejscu ich listy.

### Rozdział 30

Pulsowała w niej gęsta, mroczna energia, ciepła i słodka zarazem. Od Roca. Od jej demonów.

Rozszalały ból ucichł. Udało jej się wstać.

- Nadchodzą - wychrypiała. - Idą z sali balowej. Nadchodzą.

Greyson skinął na Terę. Jednocześnie złapali ją mocno za ręce.

- Teraz - rzucił Greyson.

Rozbrzmiewający w powietrzu głos Tery wypełniał uszy Megan. Pokój wirował wokół niej, tańczył, czuła, że staje się czymś innym, że przestaje istnieć w rzeczywistości, a staje się czymś, czym była zaledwie przez chwilę kilka dni temu. Świat znikł i nagle znalazła się na dachu, pod ciemniejącym letnim niebem, zabarwionym czerwoną łuną zachodu.

I nagle znowu mogła myśleć.

- Co tu robicie? Dlaczego tutaj?

- Bo on tu przyjdzie - powtórzył Greyson. - I właśnie tutaj mamy szansę go pokonać.

- Ale dlaczego? To bez sensu.

- Zastawimy na niego pułapkę. Co ważniejsze, tutaj nie może zapanować nad kolejnymi ludźmi, są za daleko. Poza tym lubi dachy. Anioły lubią otwartą przestrzeń. Źle się czują wśród ścian, w zamkniętych pomieszczeniach. Tak, to musi być tutaj.

Nie chciała się dłużej kłócić, a już na pewno nie o to. Mówił, co myślał. To powinno jej wystarczyć. Ale było coś, co mogła powiedzieć, i postanowiła to zrobić zaraz. Energia nadal w niej wirowała, dźwięczała, miała wrażenie, że skóra zaraz oderwie się od jej ciała. Odnalazła Greysona, licząc, że kontakt fizyczny pomoże jej się uspokoić, ale jego dłoń spoczywała w jej ręce całkiem bezwładnie.

- Nie wiedziałam, gdzie jesteś - powiedziała.

Tera ciekawie nadstawiała uszu z odległości kilku metrów. Maleficarum, Nick i Brian podeszli od strony drzwi na klatkę schodową. Roc nadal siedział jej na ramieniu. Ale Megan miała w nosie, kto to usłyszy.

- Myślałam... obawiałam się, że cię dopadł, że już cię nie ma.

- I...?

Nie odsunął się, ale też niewiele dał jej w zamian. Cóż, chyba nie mogła się spodziewać niczego innego.

- Ja nie...

Krzyki. Wrzaski. Drzwi stanęły otworem i dach zalał tłum ludzi: biznesmeni, pracownicy hotelowi. Żałośni uczestnicy spotkań z wielebnym. I Walther we własnej osobie - z ogniem w oczach, z ustami szeroko otwartymi w ryku, który przenikał ją do szpiku i uderzał prosto w mózg.

A nad nimi wszystkimi unosił się anioł. I nie był to już nijaki facecik, o nie. Ani to coś, co dopadło ją na dachu. Oto bestia, pomiot pierwotnego gniewu. Rozpalony wzrok, rozżarzona do białości, oślepiająca skóra, jej zarys aż wypalał źrenice. W dłoni ognisty miecz, biało-nie-bieskie płomienie, gwałtowne i żarłoczne.

Boże drogi, jakim cudem zdołają pokonać to...

Roc wbił palce w jej ramię, Greyson - w dłoń. Usłyszała krzyk Briana. Zobaczyła, jak Nick staje do walki z uniesionym mieczem i wyrazem piekielnej radości na twarzy.

A ona czekała. Nie wiedziała, co robić. Atakować czy czekać. Usiłować odczytać odczucia ludzi. Sprawdzić, czy zdoła przełamać jego władzę nad nimi. A może zużyje na to zbyt wiele energii. Ognisty miecz szybko zawirował. Trafił kobietę ostrzem; upadła, jej odcięte ramię upadło kilka metrów dalej.

Megan to wystarczyło. Wyrwała dłoń z uścisku Greysona, cofnęła się, przygotowana, że zasłoni ją sobą, że da jej jeszcze sekundę. Nie miała pojęcia, czy to zadziała, czy tylko zwróci na siebie uwagę anioła, ale zrobiła to mimo wszystko.

Opuściła tarcze i zaatakowała tłum całą swoją energią.

O Boże. Kontroluje każdego z nich, tłamsi każdego w tłumie. Ci ludzie nie mieli żadnych myśli. Ani odrobiny wolnej woli. Odniosła wrażenie, że nie mieli nawet dusz.

Napierała na nich całą mocą, całą energią, którą dawały jej demony osobiste, którą czerpała z powietrza, zewsząd. Zerwał się wiatr, przybierał na sile - to anioł odpowiadał na atak. Słyszała w duszy jego głos; był jak szelest motyli skrzydeł, zagłuszał ryk tłumy. Wparła stopy w ziemię, żeby nie upaść, i zaatakowała mocniej.

Moc anioła - półprzezroczysta, silna błona dokoła ludzi - zadrżała. Megan wychwyciła strzępy myśli, obrazów, powszechne uczucie błogości i mroczną radość, bezmyślną rozkosz zubożniętych żywych trupów.

Greyson coś krzyknął. Nie wiedziała co, nie mogła się skupić na jego słowach. Jego głos brzmiał w jej uszach jak bzyczenie owada, jak coś, co należy zignorować. Błona pękała; nie ustępowała jeszcze, ale Megan czuła, że się unosi, że uwalnia poszczególnych ludzi. Gdyby udało się wyzwolić choć kilku... Greyson rzucił się do przodu. Przenikliwy, kobiecy krzyk - to Leora. Megan odwróciła się, szukając jej

wzrokiem. I mało brakowało, a straciłaby władzę, jaką zyskała nad błoną.

Cholera. Leora tu jest, a jakże. Greyson biegł w jej stronę, ale było już za późno. Brian złapał ją i, objawszy za szyję, odciągał do tyłu. Gdyby nie to całe zamieszanie, uśmiechnęłyby się; Brian nie walczył z aniołem, ale nie bał się nikogo innego, a widząc, że Greyson rusza w stronę Leory, znalazł sobie odpowiedniego przeciwnika. Świetnie.

Ponownie skupiła się na błonie. Starła się nie zwracać uwagi na szalejącą dokoła wicher. Nie przychodziło jej to łatwo; słabła, wykorzystwała już bardzo dużo energii. Speszona, że jest za to wdzięczna, podziękowała losowi za tylu nieszczęśliwych ludzi na świecie i ponownie skorzystała z niewidzialnej nici łączącej ją z Yezer.

Energia buzowała w niej, tak gęsta i esencjonalna, że niemal spychała ją z dachu. I oto znowu błona, lepka, straszna. Szarpnęła. Poczowała, że słabnie... Jest! Kilku już jest wolnych, tylko kilku, ale...

Ktoś złapał ją od tyłu, pchnął na ziemię. Gunnar. Skąd się tu wziął, do cholery! Ale czy to ważne? Nie, zwłaszcza że trzymał pistolet wycelowany w jej głowę. Zostały jej zaledwie dwie sekundy życia.

Roc rzucił się do przodu, zacisnął kościste palce na broni. Ruch zaskoczył Gunnara na tyle, że Megan zdążyła unieść nogę i kopnąć go z całej siły. Prosto między nogi.

Grymas na jego twarzy byłby nawet zabawny, gdyby nie to, że pociągnął za spust.

Kula wbiła się w dach kilka centymetrów od twarzy Megan, odłamki betonu i strzępy smoły boleśnie zraniły jej policzek.

Gunnar upadł. Megan zatoczyła się w bok. Czas spróbować jeszcze raz, czas... O rany, ależ z niej idiotka.

- Roc, każ im się ujawnić. Niech walczą z aniołem, niech...

Roc pokręcił głową.

- Odeszli - odparł. - Anioł ich przegonił.

- Więc każ im wracać, do cholery! - Co za ironia losu; jedynym sposobem, by uratować tych ludzi, to sprawić, by poczuli się źle?

Ale lepsze to, niż pozwolić, by umarli w obłędzie, stwierdziła.

Roc zamknął oczy i zadrżał, wysyłając rozkaz. Yezer zaczęły się pojawiać: niebieskie, czerwone, pomarańczowe. Żółte demony zasypały dach jak dziwaczne konfetti.

Gunnar wstał, pistolet drżał w jego dłoni. Drugą trzymał się za krocze.

Tera coś krzyknęła. Pistolet wypalił. Po jego dłoni nie było śladu, z pustego rękawa trysnęła krew.

Wrzask Gunnara zagłuszył myśli Megan.

Czuła nacisk demonów osobistych - chciały odzyskać swoich ludzi. Widziała, jak Greyson krępuje sznurem stopy Leory, a Brian wykręca jej ręce do tyłu.

Gunnar uderzył Megan w twarz zdrową ręką.

Upadła, zbyt zaskoczona, by wydać z siebie głos. Tera wykrzyczała kolejne zaklęcie. Gunnar drgnął, ale Tera umilkła. Megan zdołała się odwrócić i zobaczyła, że przyjaciółka osuwa się na ziemię.

Nad ich głowami zebrały się ciemne chmury, zalewając wszystko lodowatym deszczem.

Anioł wydał rozkaz swojej trzódce.

Ludzie rozbiegli się po dachu, w świętym zapale tratowali się wzajemnie. Tak bardzo chcieli dopaść Megan.

Wyteżyła wzrok w ostatnim rozpaczliwym wysiłku i przez ścianę deszczu dostrzegła Nicka; z ponurą miną wywijał mieczem jak kosą; w drugiej dłoni trzymał pistolet; ogłuszający huk wystrzałów niósł się echem nad dachami.

Gunnar się uśmiechnął. Objął ją od tyłu, unieruchomił w uścisku. W lodowatym deszczu na plecach Megan z jego kikutu spływała gorąca krew. Szarpała się i wierzgała, jej stopy ślizgały się na mokrym dachu i wtedy zobaczyła, że Maleficarum i Spud brną ku niej przez tłum.

Nie dotrą na czas. Nie zdążą, bo anioł ją dostrzegł i już nadchodził.

Nie spuszczał z niej spojrzenia swych pustych, rozpalonych czarnych oczu. Jego usta wykrzywił uśmiech; nie mogła na to patrzeć. Czerwono-biały, zbyt intensywny, by istnieć naprawdę tu, na hotelowym dachu. Jej demoniczne serce tłukło się i szarpało.

Opierała się ze wszystkich sił. Wrywała. Na próżno. Oderwała wzrok od twarzy anioła i zobaczyła, że Greyson biegnie ku niej, a w ślad za nim - wielebny. Zdzielił kapłana w nos i parł do przodu, ale ludzi było zbyt wielu, deszcz i wiatr za silne.

Za silne, by dotarł do niej na czas. Bo oto zawisła nad nią ręka anioła - mocna, blada, płonąca. Megan patrzyła na nią tak, jak mucha obserwuje opadającą packę. Walczyła z nim całą swoją mocą. Przekuła ją w ostrze jak wtedy i zaatakowała.

Znowu oślepiający błysk. I ta sama energia w niej, tak intensywna, że zaczęła krzyczeć. Czekwała na uczucie ssania, na to, że anioł osłabnie, zblednie...

Nic z tego. Jego śmiech niósł się dokoła upiornym echem. Rozpętało się piekło: wszyscy ludzie, co do jednego, też zaczęli wrzeszczeć. Osuwali się na ziemię, rozpryskując kałuże. Ich myśli i wspomnienia przelatywały przez jej umysł w zawrotnym tempie: tego było zbyt wiele, nie pomogła nawet dodatkowa moc, którą zdobyła na Gwiazdkę. Ich wspomnienia, ich uczucia, rozrywały ją, ich rozpacz ją zabijała. Anioł był z nimi związany. A ona ich zabijała.

Jakaś mała cząstka jej duszy, wciąż jeszcze zdolna myśleć, podpowiadała, że musi zerwać tę więź. Musi ich uwolnić i skupić się na nim.

Wycofała się... I to był błąd. Ledwie cofnęła swoją energię, zaatakował ją, oplótł jej serce, dusił. Dławiła się. Nie mogła oddychać, nie mogła go pokonać, Gunnar nadal ją trzymał, choć miała wrażenie, że dzieli ją od niego warstwy waty. Jej ciało ulegało, nikła... Poczerniało jej przed oczami. Muśnięcie na ramieniu, lekkie jak piórko. I przyptyw mocy; dość, by odzyskała wzrok.

Nick. Dzięki ci, Boże. Nick. Dotykał jej jedną ręką, drugą zamachnął się i powalił Gunnara.

Megan także upadła. I dobrze, bo tym sposobem na ułamek sekundy wyzwoliła się z uścisku anioła. Chciała się odsunąć, szukała Nicka, rozpaczliwie szarpała nić łączącą ją z Yezer, ale nic nie dostawała w zamian. Za mało. Musi mieć więcej. Musi dostać wszystko.

Anioł ją dopadł, szarpnął, jego dłonie paliły skórę Megan. Krzyknęła, wyciągając ręce do Nicka.

Anioł ją puścił. Greyson skoczył mu na plecy. Jego skóra dymiała; anioł stanął w płomieniach, których nie mógł ugasić ulewny deszcz.

Roześmiał się. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się pięknie, przerażająco, tak że Megan miała ochotę skulić się na ziemi, zakrywając uszy. Ludzie zaczęli wrzeszczeć coraz głośniejsze, była pewna, że teraz słyszy ich całe miasto.

Nick nadal ją trzymał, bo chciała stanąć do walki, odciągnąć od Greysona anioła. Za bardzo się uśmiechał, a Greyson zbyt pobladł, by wierzyła, że to się może dobrze skończyć.

Musi coś zrobić, natychmiast, tu i teraz. Nie jest dość potężna, by pokonać anioła, nie teraz, gdy czerpał moc z tyłu ludzi; demony żywiły się rozpaczą i smutkiem, ale

demon zdawał się pochłaniać ludzi jako takich, jeśli dobrze interpretowała to, co widziała, i od początku był od niej silniejszy. Pewnie tamtej nocy udało jej się go pokonać przez zaskoczenie. O ile oczywiście można mówić o jego porażce, a nie o strategicznym wycofaniu się.

Potrzebuje mocy. Greyson zginie, jeśli jej nie zdobędzie. Nick, Tera, Maleficarum, Spud, Brian...

Wszyscy zginą, jeśli nie znajdzie źródła energii.

- Roc! - Jej krzyk rozmył się w otaczającej kakofonii. Zawołała go duchowo, patrzyła, jak się materializuje, jak zaciska kościste palce na jej dłoni. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, czego chce, ale on wiedział. Wyczytała to z jego oczu.

Świat spowolnił. Widziała wszystko ze szczegółami, widziała, jak Greyson blednie, a jego ogień maleje. Widziała, jak Tera wstaje, krzyczy i miota zaklęcie - śmignęło koło niej i Greyson spadł z pleców anioła, który runął na bok. Zaraz wstał. Greyson - nie.

Widziała, jak Maleficarum i Spud biegną w jej stronę. Widziała, jak Brian dotyka ludzi w tłumie, widziała, jak stara się przerwać błonę. Widziała, jak słabnie. Widziała, jak Yezer uwijają się w tłumie, robiąc to samo. Wymachiwały rozpaczliwie małymi piąstkami. Potrzebują jej. Wszyscy.

Więc skinęła twierdząco głową i Roc zaczął nucić.

## Rozdział 31

Jego głos, początkowo cichy, potężniał. Nie rozumiała słów w języku demonów. Przepływała przez nią energia,



gęsta, lepka i słodka moc Yezer. Dodawała sił jej demonicznemu sercu. Obu jej sercom.

Nick zacisnął dłoń na jej ręce. Czuje to? Wie? Nie miała pojęcia, ale liczyła, że tak. I nagle miała pewność, że tak jest, bo on także wlewał w nią swoją moc czerwoną od namiętności i czarną od gniewu. Otworzyła się, by ją przyjąć. Całą, do ostatniej kropli.

Przez moment unosiła się na niej jak pyłek w promieniach słońca - leniwie, lekko, wirując w tańcu. Opuściła tarcze ochronne, kazała im zniknąć, przyjmowała energię całym ciałem, pozwalając, by w jej ciele stawała się magia. Roc ciągle intonował. Coś mokrego dotknęło jej ust.

Krew Roca. Tylko odrobina. I jego usta; już chciała się odsunąć, ale zdała sobie sprawę, że nie zamierza jej całować. Oddychał w nią, to także było niezbędne. Poszybowała w górę tak wysoko, że obawiała się, iż rozprysnie się wśród gwiazd.

I wtedy przyszedł ból.

Wszystko spowięła czerwień. Jej umysł oszalał. Usta krzyczały. Całe ciało stanęło w ogniu. Jej serce biło, biło, biło; słyszała teraz tylko coraz szybsze tętno, krew rwącą przez ciało i umysł. To także bolało; głowa jej pulsowała - migrena do potęgi tysięcznej. Po policzkach spływały łzy, pot oblewał ciało, z nosa kapała krew.

Jej mięśnie napinały się i rozluźniały, żołądek podchodził do gardła. Zwymiotowała. Krwią. Ból był nie do wytrzymania. Chciała to skończyć, ale było już za późno.

Miała wrażenie, że kości jej pękają, ciało się rozpada, zamyka w sobie. Gdzieś w oddali czuła na sobie rękę Nicka i zdała sobie sprawę, że ścisną jego dłoń. Jej wnętrzności wibrowały, stąd wiedziała, że Tera jest w pobliżu.

Nie miała pojęcia, jak długo trwał ten ból. Ale poza bólem działało się coś jeszcze. Moc. Głębia. Coraz bar-

dziej otwarta świadomość: czuła wszystkich obecnych na dachu, każdą osobę, każdą jednostkę. Czuła ich więź z aniołem. Tak jakby chwytiała i przegryzała każdą nitkę zębami; robiła to, potrafiła, było jej o wiele łatwiej.

Nogi pod Megan zadrżały, gdy usiłowała wstać, odmawiały posłuszeństwa. Oparła się o Nicka; podtrzymał ją silnym ramieniem, gdy odwróciła się do anioła.

Tera dawała sobie radę, wykrzykiwała zaklęcia, machała rękami i miotła w anioła czymś, co do złudzenia przypominało fajerwerki. Nie mogła go pokonać, ale była w stanie odwrócić jego uwagę.

Brian biegł przez tłum; wiele osób przestało krzyczeć, teraz zapłakani ludzie kulili się na ziemi.

- Czego potrzebujesz, Megan? Co mam robić? - spytał Brian.

Bez słowa wzięła go za rękę. Poczuła jego szok i wtedy to do niego dotarło. Poczul jej nową siłę. Wiedział, co zrobiła.

Później będzie się tym martwić. Teraz Greyson się nie ruszał. Teraz miała inne sprawy na głowie. A jeśli podchodziła do tego zbyt melodramatycznie - trudno, nic na to nie poradzi.

Czerpała z jego energii, ile mogła, brała od Yezer to, co zabierały ludziom; teraz, gdy anioł stracił władzę nad tłumem, było tego mnóstwo. Czerpała moc Nicka.

I to wszystko wbiła w anioła najmocniej, jak mogła.

Mało brakowało, a znowu upadłaby, ale Nick ją podtrzymał. Anioł zaczął wrzeszczeć. Nigdy więcej nie chciałaby tego usłyszeć; ten dźwięk sprawiał, że i ona miała ochotę krzyczeć. Przerazały ją strach i ból w jego głosie, ale jego zaskoczenie, rozpacz, jego siła, coraz mniej jego, coraz bardziej jej... To ją upajało.

Może to źle. Za pierwszym razem niełatwo jej było się z tym uporać. Ale teraz? Wystarczyło rozejrzeć się

dokoła, popatrzeć na Greysona i gniew tłumiał wszelkie odruchy wstydu.

Anioł walczył. Zaciśnęła zęby i napierała dalej, mocniej, atakowała go gniewem, wściekłością, energią i bólem.

Osunął się na kolana. Tera coś krzyknęła. Zadrżał konwulsyjnie. I jeszcze raz. I jeszcze. Tracił energię, słabł...

Megan się wycofała. Już dłużej nie mogła. Przestawał wydawać się złem, był bezbronny, bezradny, taki... Krzyknął coś i Walther rzucił się na nią.

- Nie wolno ci... - Wielebny ryczał coś, czego Megan już nie słyszała.

Odskokczyła na bok, bo Walther wymachiwał nożem; ostrze lśniło w świetle księżyca, wycelowane prosto w jej serce.

Jedno serce. Biło już tylko jedno. Stało się.

Nie czas na te myśli. Nick i Brian pochwycili duchownego, powalili go na ziemię.

Anioł krzyczał. Megan podniosła wzrok i zobaczyła, jak Spud unosi dłoń trzymającą nóż. Spuściła głowę, zanim zadał cios.

Zapadła cisza. Wiatr umilkł. Deszcz ustał.

Rozejrzała się wokół. Ludzie kręcili się po dachu, płakali, jedni szli do schodów, inni, zagubieni, tulili się do siebie. Tera dyszała ciężko przy ścianie, odsuwała się od ciała anioła w stronę Nicka i Briana.

Spud wstał, odwrócił się, by spojrzeć na...

Greyson. Nadal nieruchomy.

Megan sama nie wiedziała, że umie poruszać się tak szybko.

Był ciepły. Wydawało się jej, że oddycha, ale nie miała pewności. Drżącą ręką szukała jego pulsu.

- Greyson, obudź się. - Nie zginął, prawda? Czy demony zapadają w śpiączkę? A jeśli tak, to czy się z niej

budzą? Był taki blady. Ciepły, ale blady. Uderzyła go lekko. - Greyson, obudź się!

Poruszył się, zakaszłał. Uniósł jedną powiekę i spojrzał na Megan. A ona, jak ostatnia idiotka, zalała się łzami.

- A teraz? - wychrypiał. - Teraz w końcu za mnie wyjdiesz, do cholery?

Obudzili się następnego dnia dopiero wtedy, gdy zza ciężkich zasłon zagłądało do pokoju popołudniowe słońce. Megan nie mogła sobie przypomnieć powrotu do Bellrievie ani chwili, gdy, całkowicie wyczerpana, znalazła się w łóżku. Jak przez mgłę pamiętała coś innego - Greyson pomógł jej się rozebrać i trzymał w objęciach, póki nie zasnęła.

Otworzyła oczy, przewróciła się na bok i poczuła na sobie jego wzrok. Podskoczyła.

- Jezu, ale mnie przeraziłeś. Co ty wyprawiasz?

- Nie śpię.

- Więc leżysz tu i gapisz się na mnie?

- Szczerze mówiąc, nie. Wykonałem kilka telefonów. Mam ci kilka rzeczy do powiedzenia. A potem wróciłem do łóżka i czekałem, aż się obudzisz. Jak się czujesz?

Jak się czuła? Dobre pytanie.

- W porządku. Obolała. I zakręcona. Ale poza tym w porządku.

Skinał głową.

- Więc wczoraj wykonałaś rytuał.

- Tak.

- I jak się z tym czujesz? Uśmiechnęła się lekko.

- W porządku.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, w końcu Greyson zamrugał i podniósł głowę.

- Rano rozmawiałem z Winstonem. On i Baylor zjawili się tuż po nas i zajęli się Gunnarem, więc na razie nie wiadomo, kto przejmie jego Meegra. Prosił, żeby mógł sam zająć się Leorą. Powiedziałem, że muszę omówić to z tobą.

- A jak ty uważasz?

- Niech mu będzie. W końcu to tylko dziecko. Uniosła brew.

- To bardzo wielkoduszne z twojej strony. Zaskakujesz mnie.

- Ranisz moje uczucia. Zawsze jestem wielkoduszny. A skoro już o tym mowa...

Pochylił się, demonstrując swe piękne plecy i grę mięśni pod skórą, i podał jej małą paczuszkę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- O, cholera... Dzisiaj są moje urodziny? Zapomniałam.

- Cóż, ostatnio miałaś sporo na głowie.

- Fakt. - Gdy rozerwała srebrzysty papier, jej oczom ukazało się małe aksamitne pudełeczko.

Wstrzymała oddech.

- Ostatnia szansa na zmianę zdania - powiedział bez uśmiechu. - Nadal mówisz „tak”?

Skinęła głową.

- Tak.

Uniosła wieczko. Miała wrażenie, że oczy wyskoczą jej z orbit. Nie dlatego, że brylant był wielki; oczywiście był, ale bez przesady. Ale był... doskonały. Właśnie taki wybrałaby sama.

- Nosilem go od półtora miesiąca. Może go w końcu włożysz? Chciałbym się go pozbyć.

Wyciągnęła do niego drżącą dłoń. Była szczęśliwa. I przerażona. I zakochana.

Greyson delikatnie wsunął jej pierścionek na palec aż do nasady. Przez chwilę, jak zahipnotyzowana, obserwowała grę światła w klejnocie, jakby nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że się stało.

- Myślałem o twojej pracy - mówił Greyson. - U nas, w Ieuranlier, wielu demonom przydałaby się terapia. Jest tam dość miejsca. Mogłabyś urządzić sobie gabinet w bocznym skrzydle. Jeśli ten pomysł ci się nie podoba, poszukamy czegoś innego, ale pomyślałem...

Nie, to nie było najlepsze rozwiązanie. Terapia demonów to nie to samo, co leczenie ludzi we własnym gabinecie. Ale czy mogłaby to robić? Teraz, gdy sama stała się demonem?

Wcale nie czuła się jakoś inaczej. Co do tego mieli rację i Greyson, i Roc. Było jak dawniej. Po prostu obawiała się zmian.

Czas z tym skończyć.

- Świetny pomysł.

- Co do audycji radiowej... Jeśli chcesz ją dalej prowadzić, wymyślimy coś. Może bracia będą ci towarzyszyć? Pragnąłbym, abyś z niej zrezygnowała, ale wolę mieć ciebie niż...

- Masz mnie - szepnęła. Co chwila zerknęła na pierścionek, czuła jego ciężar na palcu.

- Kocham cię, wiesz o tym. Moja mała, wędrowna duszyczka. Ja... ja cię naprawdę kocham, Meg.

- Stąd się wzięła *bryaela*? Z tego wiersza? Skinął głową.

- Nigdy na to nie wpadłam.

- Tak, zawsze mnie to dziwiło, ale co tam. Nie twoja wina, że nie masz mojego intelektu.

Pokazała mu język. Uniósł brew.

- No dobrze... ale wiesz, nie za bardzo widzę ten pierścionek. Koszula go zasłania. Zdejmij ją, żebym lepiej widział. Bardzo długo szukałem, więc chyba mam prawo obejrzeć go w pełnej krasie. Nie sądzisz?

Zachichotała, zsuwając ramiączko nocnej koszuli; już nie raz tak się przekomarzali.

- Lepiej?

- Hm... nie, gorzej. Zdejmij całkiem. Przeszkadza mi.

Wyciągnął do niej ramiona, ale powstrzymała go, ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Kocham cię.

Wyraz jego twarzy zmienił się; błysk ulgi, szczęścia, zanim powróciła nieprzenikniona fasada.

- Więc dobrze, że w końcu zgodziłaś się za mnie wyjść, prawda?

- Chyba tak - mruknęła, ściągając koszulę.

Jej dalsze życie zapowiadało się bardzo interesująco. Nie mogła się doczekać, co będzie dalej.

## Ciasto Megan z masłem orzechowym

### POLEWA

0,5 filiżanki mąki

0,5 filiżanki brązowego cukru (najlepszy jest muscovado; Megan kupuje go w delikatesach)

0,4 filiżanki masła orzechowego

3 łyżki stołowe masła albo margaryny (masło bardziej się nadaje)

Zmieszać mąkę z cukrem, zmiksować z masłem orzechowym i zwykłym, aż masa się połączy i przypomina wilgotne okruchy. Odstawić na bok.

### CIASTO

2 filiżanki mąki

1 filiżanka ciemnego cukru (i znowu: najlepszy jest muscovado)

2 łyżeczki proszku do pieczenia

0,5 łyżeczki sody

0,4 łyżeczki soli, ewentualnie dodać jeszcze szczyptę czy dwie



1 filiżanka mleka

0,5 filiżanki masła orzechowego

0,5 filiżanki zmiękczonego masła

2 jajka rozkłócone (to bardzo syte ciasto; warto wprowadzić w masę dużo powietrza, żeby ładnie urosło)

2 łyżki białego cukru, mniej więcej

Zmieszać składniki w dużej misce, miksować na pełnych obrotach przez trzy minuty, starannie zbierając ciasto z brzegów naczynia.

Nasmarować tłuszczem blachę. Wlać ciasto. Posypać kruszonką.

Piec przez pół godziny; sprawdzić patyczkiem, czy jest upieczone.

Nie panikować, gdy rozejdzie się zapach spalenizny. To posypka cukrowa.

To ciasto smakuje znacznie lepiej na drugi dzień. Pierwszego jest dobre, ale pyszne staje się, gdy postoi dobę (oczywiście przykryte).